



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Gaylord
CASE BINDER
Syracuse, N. Y.
Sheffield, Calif.



307
EKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 91.

PAMIĘTNIKI
Szymona Konopackiego



Szymon Konopacki

TOM II.

Cena 2^ł

W prenumeracie

WARSZAWA.
Redakcja i Administracja:
47. Nowy-Swiat 47.
—
1899.



L307-1977

PAMIĘTNIKI

Szymona Konopackiego

Tom II.

1977
2
1

L-50

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granońskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Swiat 47.

PG 7158

KS 85203

12

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Июня 1899 года.

Po powrocie moim do domu, zwierzyłem się przed siostrami, że postanowiłem się ożenić... One obie zbyt głośno powstały na mnie za niegodne, nieuczciwe łudzenie dobrej Salusi. Kochana matka, w drugim pokoju dosłyszawszy tak żwawą rozprawę, wchodzi i pyta, o co nam idzie. Młodsza moja siostra, która przyłgnęła do Józki, głos wymowny zabrała:

— Niech mama tę rzecz osądzi. On nie może zataić tego, że od lat czterech szalenie kocha Bierzynską. Będąc z ciotką w Berdyczowie, poznałam ją i upewniłam się, że cudnie piękna i dobra jak anioł; panna serdecznie mu sprzyja. On niezachwianie i dziś ją kochając, chce przecież starać się o Salusię dlatego jedynie, że ten związek podoba się naszemu ojcu.

Na to kochana matka załamując ręce:

— Ach! uchowaj cię Boże od tego grzechu! Tybyś ważył się zwodzić tę biedną dziewczynę jakąś wymuszoną na tobie przychylnością! Jakże ty Boga się nie boisz! Czyliż staniesz przed ołtarzem poprzysięgać dla niej miłość, kiedy w myśli i sercu jest inna?...

Ucałowałem rękę matki, mówiąc:

— Niech kochana mama będzie spokojną! Zaniecham jedną i drugą.

Młodsza moja siostra, mocno przekonana, że mam upragnioną wzajemność i że należy tylko cze-

kać, aby panna po skoficzonych niebawem latach osiemnastu prawnie wyszła z pod opieki wuja, powtarzała mi ciągle:

— Biedna Józia!

A ja, piekielne w sercu nosilem tortury. Przeklinałem położenie własne, że nie mam i nieprędko mieć mogę jakąś dzierżawę, gdziebym ją do swego domu wprowadził; bo udział dla starszego brata jest pierwszy a konieczny; przeklinałem też posag Bierzyńskiej, który utrudnia dla mnie ubogiego przystęp do niej, jako otoczonej czuwającą familią, z której odstraszał mnie najbardziej hardy jej wuj, a zarazem opiekun przekłętogo jej majątku. Zniechęcony do urzędu i do pozostania nadal w domu rodziców, dlatego tylko, że się nie czuł na siłach walczyć z pokusą, która ciągnęła mnie o mil kilka do Wołczyńca, radbym gdzieś na kraj świata uciekać od niej i od niefortunnej a rozkosznej męki. Dobry mój ojciec nie wspominał mi już o pannie Salomei; powziął pewnie wiadomość od mojej matki, jaką miałem zrobić ofiarę dla niego; ale ciągle mi powtarzał o potrzebie usługi publicznej, aby z lat młodych być znanym w obywatelstwie i zjednać sobie ufność współziomków. Te jego uwagi trafiały zawsze do mego przekonania, ale i wstydziły mnie przed własnym sumieniem. Panująca namiętność tak mną władała, że przeciw niej daremnie wzywałem pomocy Boga, jakby zakonnik, co wyrzekł się stosunków ze światem. Śród ciągłego bojuwania z niezwalczonem uczuciem serca a zimną rozważą, zawszem widział przed sobą ten jedyny środek: przykuć się gdzieś do najluchszej nawet pracy, byle daleko od niej, gdzieby ciążyący jakiś obowiązek nie dał i chwili swobodnej do marzenia o niej.

Tymczasem wyjechaliśmy do Żytomierza na wybory. Tam zwiahelskim marszałkiem naszym został Henryk hr. Iliński, a kandydatem jego Jan Weleżyński, członek Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk. Podkomorzym obrano Kazimierza Bu-

dzyńskiego; reszta urzędników powiatowych wyszła mi z pamięci, i wówczas mało dbałem o nich, bo cóż w mojem położeniu zajmować mnie mógł! Gdy w powiecie przyszło z kolei wotować na podsędków, kilka łaskawych głosów odezwało się, że proszą mnie na pierwszego bez wotowania. Za temi huknęła reszta:

— Prosimy!

Tu Karol Pruszyński, nasz powiernik, na głos zawołał:

— Ja proszę, aby przepis prawa był spełniony w tem, że jeśli jest jeden głos żądający balotowania, bez tajnych wotów obejść się nie może.

Zmieszał się mój ojciec i pocichu zapytał mnie:

— Co to jest? Ja w dobrej komitywie jestem z jego ojcem, rotmistrzem!

Odszepnąłem na to z uśmiechem:

— On słusznie gniewa się na mnie, bo okropnie i ze wstydem przegrał sprawę ze mną, o której potem kochanemu ojcu opowiem.

Stosownie do prawa, przeszedłem po raz pierwszy przez różgi powiatowe. Ale jakże widocznie oburzył się pan Karol, gdy marszałek hr. Iliński przeliczył wota i okazało się, że przeciw mnie było czterech, a za mną czterdziestu kilku. Ucieszył się mój ojciec tym tryumfem, a mnie dalsze podsędkowstwo dręczyło.

Wpływy po powiatach mego ojca za Giżyckim i za jego kandydatem, Henrykiem hr. Ilińskim, stały się tak głośnie, że nim przyszło do wotowania na marszałka gubernialnego i na prezesów, przewaga ojca mego na tych wyborach objawiała się grzecznościami pretendentów na te urzędy. Pamiętam szczególniej Mołodeckiego, jak w paśowym mundurze swoim małtańskim ponawiał częste wizyty na stancyi naszej. Został też obrany prezesem pierwszego departamentu, a cywilnego obrany był nadal Dąbrowski z Januszpola. W końcu generała Bartłomieja Giżyc-

kiego obrano marszałkiem gubernialnym, a kandydatem jego Henryka hr. Ilińskiego, który już był marszałkiem zwiahelskim.

Komburlej, lubo już oskarżony, w czym głównie obywatelom pomagał senator hr. Iliński, przecież najspokojniej jeszcze spełniał urząd gubernatora i po dawnemu wydawał bale, na których i ja bywałem. Pani podkomorzyna Zaleska, zjechawszy i na te wybory z pannami, odbierała hołdy od młodzieży zęcanej nieporównaną pięknnością rozkwitłych wdzięków panny Bierzyńskiej. Raz w ciągu dnia, gdy byłem u nich i zastałem pana Komburleja, zaledwie uklonem powitałem całe towarzystwo, on, starzec, widując mnie zawsze przy niej na balach, zbliżył się ku niej i szepnął coś na ucho, a potem zarumienioną wziął za obie ręce i z uśmiechem wstrząsał. Chociaż babcia zwała ją jeszcze robaczką, ona przecież miała już lat 17. Pomnę, że tam na jednym z balów, ubrana w suknię ciemno-amarantową, gdy tańczyła z generałem Liwenem, ja zachwycony, nie spuszczałem z niej oka, a Kazimierz Budzyński, podszedłszy ku mnie, szepnął:

— Pamiętaj ten wieczór, a wspomnisz kiedyś, że nigdy twoja Józia nie będzie piękniejszą, niż dzisiaj. To jej przesilenie!

— Po cóż mianujesz ją moją! Może oddadzą ją za Turkula, bo widziałem na poprzednim wieczorze, iż dosyć śmiało zalecał się do niej, a młody, przystojny i mówią, że majątny Ukrainiec; albo może w tej chwili serce jej już zaczęło bić dla generała, z którym tańczy.

Przybył też na te wybory brat *robaczka*, Świętosław Bierzyński, zawsze mój dobry przyjaciel. Raz na ulicy spotkawszy mnie, wziął pod rękę i prosił, abym wstąpił z nim do jego kwatery. Tam wśród obojętnej o wyborach rozmowy, ozwał się:

— Odkryję ci rzecz tobie i mnie wcale nie-miłą: masz wroga.

— Wierzę temu, ale nie zgadnę: kto.

— Przekonałem się o tem naocznie. Nasz to kochany opiekun. Słuchaj! Raz wśród osób domowych, gdy mojej siostry nie było w tym pokoju, on rozpoczął prawić o jej przyszłości. Ciotka Tekla, która tobie sprzyja, odezwała się:

— Ona ma już swojego i pewnie wierną mu będzie.

On zapytał:

— Któż to taki?

Ciotka wymieniła ciebie. On szelma na to:

— Dam ja jemu, jak on będzie śmiał bałamuć mi Józief!

Rzuciłem mu się w objęcia i wnet chwytam kapelusz. Świętosław wstrzymuje mnie:

— Gdzież tak śpieszysz?

— Do niego! bom ciekawy, co on dać mi może, a wszystko najgorsze przyjmę, bo twoja siostra droższa mi nad życie.

— Ale zmiłuj się! Ty możesz mnie skompromitować, a on i bez tego nie lubi mnie dlatego tylko, że kiedyś trzeba zdać rachunek z opieki i oddać mi majątek, co już niezadługo nastąpi.

— Daję ci słowo, że ani wspomnę o tobie; nie wspomnę też i o tem, że on zamierza coś mi dać; pójdę tylko narazić się na złe jego przyjęcie. A jeśli hardy pan marszałek przewagą swego majątku zechce mi wyraźnie uchybić, wówczas jako za zniewagę... albo ja wiem, co zrobię? Bądź-co bądź, lubo pewny jestem jego impozycji, pójdę jej szukać koniecznie.

I wyrwawszy się od uścisków kochanego Świętosława, odszedłem prosto na ulicę Berdyczowską do pana Seweryna Zaleskiego. Zastaję go z dwoma gośćmi: był tam sędzia powiatu Łuckiego, który był później prezesem, Ignacy Teleżyński, i podsędek tegoż sądu, a brat stryjeczny mego ojca, Ignacy Konopacki, którego nazywano człowiekiem grackim, je-

dynym do towarzystwa, śpiewał pięknie i dzielnie wychylał kielichy; powszechnie też go lubiono. Wszyscy trzej byli z kieliszkami w ręku. A skoro ujrzeni mnie we drzwiach, mój stryj zawołał:

— Kochany Szymon! Tak młody, a już na drugich wyborach okrzykniony jednomyślnie podsejkiem! Panowie! Wypijmy zdrowie jego na klęczkach!

I co powiedział, wnet spełnił, a przy nim ukląkł gość drugi i hardy gospodarz. Ja klękam przed nimi i wypraszam się od tego honoru, a pan marszałek przemówił:

— Musisz pan nasze też zdrowie wypić.

Powstał, nalał mi w kielich wina, a ja, klęcząc przed moim tylko stryjem, spełniłem ten żądany toast. Śród gawędy, gdy kilku jeszcze nadeszło, nieznaczenie wymknąłem się od tej libacyi. Wracając do siebie, rozważałem w duchu, jak człowiek przyszłości swej odgadnąć nie może! Szedłem po to, aby z pewnością doznać impozycji wuja najdroższej Józii, a on upokorzył się aż do klęczenia przedemną.

W ciągu tych wyborów, raz na tańczującym wieczorze u gubernatora dostrzegłem, że Maurycy Turkuł coraz śmiej naciera grzecznościami pannę Bierzyńską. Gdy zasiedli goście do wieczerzy, nas kilku młodzieży nie chcieliśmy zajmować miejsca u stołu, chociaż na to wystarczało nakrycie. Widzę z boku, że Turkuł, nachylony za krzesłem panny Bierzyńskiej, coś do niej po dwakroć przemówił i odszedł. Po nim zbliżyłem się do jej krzesła. Ona, zwróciwszy twarz ku mnie, rzecze słumionym głosem:

— Jak zabawne są niektórych panów badania! Oto w tej chwili byłam zapytywana: czego mi braknie? Odpowiedziałam, że tu wszystko jest przedemną, począwszy od chleba, wody i soli. On znów:

— Ależ ja mówię o przymiotach panil
Wzruszyłam na to ramionami.

— Może pani — szepnąłem — miałaś w duszy tę odpowiedź, że jej braknie sympatyj ku niemu?

— Ach! zgadłeś pan! bo też ten pan Turkuł jest nieznośny dla mnie.

Tymczasem... po dwóch latach!... Ale zawieszę to do właściwej daty.

Bawmy się jeszcze zwodniczem mamidłem, jak dzieci stawianym z kart pałacem. Nazajutrz po tym tańczącym wieczorze był bal u schodzącego z urzędu marszałka gubernialnego, Wacława Hańskiego, który jeszcze prezydował w kole marszałków, bo Giżycki był obrany aż pod sam koniec wyborów, a nawet nie znachodził się między nami w Żytomierzu. Na tym balu, podobnie jak wczoraj, generał Raczyński, pomimo swoich lat 70, chwycił zręczność pomówienia z najpiękniejszą panną Bierzyńską i często siadywał przy niej. Patrzyłem na to z głupią zazdrością. Tu, skoro on powstał i odszedł, usiadłem przy niej, i ową psią zazdrością powodowany, niedługo myśląc, szepnąłem o nim epigram:

Generał w swojej starości
Przewyższył wszystkich nadzieje:
Wczoraj się oddał miłości,
Dziś jeszcze ogniem goreje!
Nikt generała nie gani,
Niech mu Bóg wieku przydłuży!
Lecz on wygląda przy pani,
Jak suchy bodiak przy róży.

Zaśmiała się i prosi, abym te wierszyki powtórzył. Mocno rozśmieszona, śpieszy do swej ciotki Teofili tuż stojącej w mazurze i do ucha jej to deklamuje. Ciotka schwyciła pamięcią dwa ostatnie wiersze i powtórzyła przed innymi. Ztąd ów epigram obiegł całe towarzystwo młodzieży i doszedł aż do generała. Ten śród tegoż balu, zeszedłszy się ze mną na sali, czynił mi żałosne wyrzuty:

— No, widzisz, panie podsędku, cóżem ci złego

uczynił? Wszak na tych wyborach nie ukłótem cię; za cóż mnie porównałeś z bodiakiem!

Wypierałem się autorstwa, ale nadaremnie. On już był przekonany, że to mój ucinek. Te głupie wierszyki stały się głośniami żąd tylko, że Raczyński nie był w gubernii lubiany. Byłem po tem w Pohrebyszczach z Kazimierzem Budzyńskim, który tam u kasztelana Rzewuskiego nabywał piękną wieś w gubernii Podolskiej, Markusze. Zaledwie weszliśmy na pokoje, gdzie przy kasztelanie był znany mi syn jego, ów później sławny z pism swoich Henryk Rzewuski, ten ujrawszy mnie, zawołał:

— Nikt generała nie gani, niech mu Bóg wieku przydłuży! Lecz on wygląda przy pani, jak suchy bodiak przy różyl!

Przy tej pana Henryka deklamacyi byłem przedstawiony przez Kazimierza nieznanemu mi jeszcze kasztelanowi. Dwa tygodnie bawiliśmy w Pohrebyszczach. Ujmująca i jakby staropolska była uprzejmość obojga państwa Rzewuskich. Kasztelan czytał mi raz swoje wiersze o przyjemności życia wiejskiego. Coś to było na wzór Delila. W ciągu naszego bawienia w Pohrebyszczach, gdzie poznał i dwie ich córki: Aleksandrę (Aline), która wyszła za Litwina Moniuszkę, i Ewę (Ewelinę) za Wacławem Hańskim, Kazimierz dobijał targu o Markusze i nakoniec spisano punkta przedugodne, których mocą obowiązał się zapłacić kasztelanowi za tę wieś sześćkroć sto tysięcy złotych. Skoro nastąpiła zgoda o ten szacunek, grzeczna, miła pani hrabina, tak słodko upomniała się o porękawicze na szal tyfkykowy, że Kazimierz Budzyński chętnie położył przed nią dwieście dukatów.

Podczas wyborów 1814 roku powtórnie zawezwano mnie na trzyletni urząd sądu ziemskiego. O ile kochany ojciec cieszył się tym dowodem ufności powiatu, o tyle dręczyła mnie konieczność pozostania w domu, zkąd ciągle wystawiony będę na

walkę, nie więcej jak o dzień jazdy, z niepodobieństwem do szczęścia, o które uporczywie wzdychałem. Już stałe miałem wówczas postanowienie zwyciężać nie trudność, lecz zwycięstwo nad sobą otrzymać. Gdyby mi kto był powiedział: powiozę cię do Ameryki, tam będziesz kopał ziemię i odzyszczesz spokój, o! jakże chętnie przyjąłbym tę propozycję! Często przychodziła na myśl nie groźba opiekuna, ale może słuszność w tych jego wyrazach, że bałamuć jego siostrzenicę. Jakże nie unikać jej, jak dla jej spokoju nie wyrzec się szczęścia chwilowego tylko widywania jej?...

Gdy się tak będę z sobą, tymczasem pod koniec wyborów marszałek hr. Iliński, spotkawszy mnie na ulicy, mówi do mnie, że odebrał z Petersburga list od ojca, wzywający go tam najspieszniej, aby jeszcze zastać Cesarza, który ma wyjechać na kongres do Wiednia; że ojciec chce go prezentować Najjaśniejszemu Panu jako już marszałka, i proponuje mi, abym mu towarzyszył w tej podróży. Wnet myśl mnie uderza starać się w stolicy za wpływem senatora Ilińskiego o jakiebądź, choćby najlichsze tam zajęcie i już tu nie wracać. Łatwe było uwolnienie od urzędu przez podanie prośby, a tem łatwiejsze, że kandydatem moim był trochę śmieszny kapitan, Piotr Truszkowski, krewny Wacława Hańskiego, który spełniał jeszcze urząd marszałka gubernialnego, a przez którego ręce moja prośba przechodzić miała. Chętnie przyjąłem propozycję Henryka hr. Ilińskiego i objawiłem mu nawet, że za życzliwem pośrednictwem jego ojca, chciałbym tam jakiebądź zajęcie otrzymać, a idzie mi tylko o zezwolenie na to moje go ojca. Bierze to na siebie marszałek i wprost idzie ze mną na naszą kwaterę. Tam przedstawił memu ojcu, że urząd podsędka nie obiecuje świetnej na przyszłość kariery, a w stolicy ojciec jego, jako zasłużony senator i mający liczne po ministerstwach stosunki, może dla mnie wyjednać zajęcie, które na

przyszłość otworzy mi pole do wysokiego znaczenia. Słowem, rowieśnik mój, bośmy przyszlł na świat w jednym 1790 roku, pokonał ojca mego. Ucieszyłem Truszkowskiego, który sobie życzył mego urzędu. Przyjął on chętnie staranie się o rychłą rezolucyę na moję prośbę. Jakoż w dniu jej podania już byłem swobodny. Nie wiele mógł kochany ojciec w Żytomierzu udzielić na koszt utrzymania się mego w stolicy, ale miał mi później nadesłać pieniądze pod adresem, jaki wskażę w mej odezwie ztamtąd. Po tym zamiarze byłem u bawiającej jeszcze w Żytomierzu pani podkomorzyny Zaleskiej, siadywałem przy jej robaczku i rozmawiałem z nim. Ona dostrzegła zmiany w moim humorze:

— Pan masz jakiś smutek, który ja z oczu jego dostrzegam.

— Tak! — rzekłem jej — o którym pani później dowiesz się.

— A czemuż nie teraz? Mówią, że mniej cięży smutek, kiedy się z przyjaciółmi podziela.

— Przed panią tajemnicy nie mam...

— Panie podsędku! — ozwała się staruszka.

— Już nie jestem nim — odpowiedziałem.

— Jakto? Wszak nam mówiono, że cały powiat zwiahelski znów cię powołał na ten urząd.

— Tak, ale on mi ciężył i dlatego uwolniłem się.

Dalej już z nią tylko była gawęda, w której ona dowodziła, jak zaszczytną jest dla młodego ufnosć współziomków. Nie przyszło już do wyznania przed panną, że wyrzekam się szczęścia widywania jej, że się lękam, aby jej wuj i opiekun nie zaśpiewał znanej piosneczki ruskiej: — *Kudaś mene zawedesz, koły chaty ne majesz.*

Dnia pierwszego sierpnia 1814 roku puściliśmy się z marszałkiem Henrykiem hr. Ilińskim wprost z Żytomierza do Petersburga. Mam dotąd w codziennem użyciu zakonserwowany starannie safianowy pu-

gilares czerwony, który przed samym wyjazdem w tę podróż kupiłem na chowanie owoczesnych asygnat. Służy on w całości jeszcze dla nowych kredytowych biletów, a ile razy wezmę go do rąk, zawsze odżywia mi pamięć młodzieńczych uczuć, jakimi wrzało serce, kiedy go nabywałem. Nim wsiedliśmy do koczka, Iliński kazał swojemu lokajowi dobyć poduszkę jego lub moją, jaką znajdzie na wierzchu; tę poduszkę umieścić pomiędzy nami, aby ją kolejno na sąsiednich kolanach przechyliwszy, na niej zadrzymać cokolwiek; bo nie odpoczywając, mamy śpiesznie dniem i nocą jechać, aby stosownie do polecenia jego ojca, zastać jeszcze Cesarza. W tem poleceniu była myśl uciechy dla Cesarza, u którego senator był w wielkich łaskach.

Aleksander I, będąc Wielkim Księciem, często odwiedzał mieszkających w stolicy hr. Ilińskich. Synowie ich: Henryk i Janusz, siedmio i ośmioletni wówczas chłopczyki, cnującej w twarzach piękności, jak poświadczają z tych czasów ich portrety na wzór aniołków ze skrzydełkami, pieśczeni byli nieraz na kolanach W. Księcia. Ztąd ojciec ich słusznie sobie wniósł, że Cesarzowi zrobi przyjemność, prezentując Henryka już dostojnym z wyboru obywateli urzędnikiem. Ale i najszczęśliwszym nie zawsze wola Boga sprzyja. Z miejsca, od stacyi do stacyi bez wytchnienia, poczta dość szparko nas unosiła. Na mińskie piaski braliśmy po sześć koni i jeszcze jako-tako śpieszyliśmy. Lecz poczawszy od granicy Rosyi, którą wówczas jeszcze poświadczają z czasów Rzeczypospolitej polskiej słup za Witebskiem, już na stacyach poczęto nam dawać koniki włościańskie, chude i małe, któremi noga za nogą wlekliśmy się; pocztowe bowiem konie były zatrzymane pod spodziewany wkrótce przejazd Cesarza do Wiednia. W gubernii Pskowskiej, gdy późno wieczorem zbliżaliśmy się do Wielkich-Łuk i z góry wypadało nam spuszczać się ku kanałowi, spostrzegamy na nim prom, jaśniejący mocnem światłem. Nasz

woźnica wstrzymał konie, obrócił się ku nam i wskazując ręką, przemówił:

— *Gosudar!*

Zboczyliśmy na brzeg traktu, aby dać wolny przejazd Cesarzowi, wyczekawszy tam chwilę, aż on i cały dwór za nim nas ominął. Zachmurzony tem spotkaniem Henryk Iliński, zdecydował, że już nam nie pilno i że w Wielkich-Lukach możemy wygodnie przemocować. Nietylko sen na kolanach sąsiadnich, ciągle przerywany, ale i nieustanna słota mocno już nam dokuczyła. Wypoczynek więc w mieście stał się nam koniecznym. Po upragnionym, wygodnym noclegu mieliśmy jeszcze do przebycia 45 mil do Petersburga. Od tego miejsca sprzyjała nam jasna pogoda. Dojechaliśmy do Carskiego siola, gdzie jest osiem cerkwi, kilkaset domów i wspaniały letni pałac cesarski. Ztąd po lewej stronie zmieniały się nieustannie tak malownicze widoki, jak gdyby te 40 wiorst do stolicy ciągnęły się najstaranniej utrzymanym ogrodem angielskim. Lecz byle zwrócić oczy na prawo, wnet znika to oczarowanie; tam bowiem miliony sterczało pieńków po ściętych wiekiustych dębach, użytych na pale pod budowę całego Petersburga; nie było tam żywej gałązki: obraz w tych pieńkach najsmutniejszego zniszczenia! Na ostatniej stacyi, przed samą stolicą, dwa rosłe konie, zamiast czterech nam dano. Dowiedziałem się, że tam większa liczba koni oznaczać ma jakąś wyższą rangę. Gdyśmy rano o godzinie dziesiątej wjeżdżali, dzień był jasny i pogodny; lecz wkrótce, minawszy rogatki, powóz nasz zatrzymał się; badamy dlaczego? Zwozczyk wskazuje przed nami stojące rzędem karety przydzworne, kształtów przedwiecznych, o paśowo malowanych kołach. I lubo tam na prawo i lewo dzie sięć jeszcze karet pomieścićby się mogło, z miejsca nam ruszyć nie wolno. Cesarzowa matka, wdowa po Pawle I, z domu księżniczka wirtemberska, wjeżdżała z dworem swoim na spacer. Dla jakiejś

przyczyny pierwsza z nią karetą o sześciu pięknych, karych koniach zatrzymała się. Mój towarzysz, znający etykietę dworską, wysiadł z koczka i stanął na boku, co i ja uczyniłem. Brodaty jakiś człowiek, idący drogą, stanął przed oknem karety, z kądem wyglądała o pełnej, rumianej twarzy, lubo już w podeszłym wieku, Cesarzowa. Ów człowiek, złożony na swej pierśi dłoń na dłoń, uchylił jak najniżej potrzykroć głowę, jakby bił zwykle ich pokłony przed ołtarzem. Odjechała niebawem, a nasz zwoszczyk zapytał, na jaką ma się udać ulicę? Iliński powiedział mu:

— Jedź prosto, ja będę tobą kierował.

A do mnie po francusku ozwał się, że chce mi pokazać przy wjeździe najpiękniejszą część Petersburga. Jechaliśmy dość długo, zmieniając nieustannie kierunek, i przyznawałem, że nie miał wyobrażenia o tej okazałości, jaka mnie w każdym uderzała punkcie. Zachwycały mnie po ulicach kanały obrzeżone wygładzonym ciosowym kamieniem, z zawieszonymi nad niemi mostami, z pod których widniały barki, jedne z drzewem do opału, inne z wiejskim produktem ku potrzebie mieszkańców. Tam błyszczą wierzchołkiem swoim górująca nad miastem pysznej budowy admiralicya; tu rycerski posąg Piotra Wielkiego na wspaniałym koniu, opartym na dwóch tylko nogach o wzniosłą skałę olbrzymiej wielkości, gdzie obfity a naturalnej długości ogon konia stanowi nieznacznie trzeci punkt oparcia. Na tej zaś skale napis złocony, z rądy Woltera w języku łacińskim podwójnego znaczenia przez pochlebstwo Katarzynie II-jej wybity: *Petro primo, Catarina secunda*—co znaczyć może, iż ona tylko podobna jest Piotrowi I-u. Wspaniałe gmachy, kościoły, pałace, wszystko to mnie wieśniaka wprawiło w mocny a pierwszy w życiu podziw. Petersburg jest znamię samowładczej potęgi. Staliśmy nakonie przed pałacem, zajmowanym przez senatora hr. Ilińskiego. Zwoszczyk wymawiał nam, że

była o wiele krótsza droga do tego punktu, a on z naszej przyczyny niepotrzebnie krażył tak długo.

Senator chmurnie nas powitał, nierad naszemu spóźnieniu. Ale nakoniec uwierzył, że syn jego, jako urzędnik prezydujący wyborom w powiecie, nie mógł tak rychło wyrwać się z Żytomierza. Zastaliśmy hrabiego Janusza, który był młodszym o rok bratem Henryka. Niebawem podano obiad, na którym było kilka dla mnie obcych osób. Nazajutrz, gdym badał kamerdynera pana senatora o najbliższy hotel, gdziebym się przenieść mógł natychmiast, Janusz żywszego, niż Henryk temperamentu i zda się więcej przez ojca lubiony, posłyszawszy w przejściu moje badanie, zawołał:

— Co to chcesz robić? Dopóki tu jesteśmy, ojciec mój nie pozwoli, abys ztąd się wynosił.

I wnet poszedł oznajmić mu o moim zamiarze. Senator wezwał mnie do siebie:

— Kochanku! — rzecze (do wszystkich tak on przemawiał). Ja ciebie nie puszcze, dopókad coś nie napytam ku twojej karyerze. Wiadoma ci przyjaźń moja dla twojego ojca; czyliżbym dopuścił, abys stanął w hotelu, kiedy ja tu mieszkam? Proszę nie robić mi tej krzywdy. Mówił mi Henryk, że zamierzasz tu wejść do służby cywilnej. Bardzo rad będę dopomódz ci w tem.

Uścisnął mi rękę, a ja za jego zyczliwość ucałowałem go w ramię.

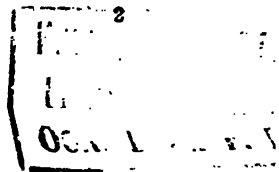
Tu pomyślałem zasmucony:

— A więc bądźcie zdrowe moje domowe o szczęściu marzenia! Senator mnie tu przykuje na zawsze!

Tymczasem młodszy syn jego, Janusz, zawsze wesoly, zawsze skaczący, więcej się mną zajął, niż brat jego. Puszczaliśmy się w różne strony miasta. Wodził mnie po celniejszych ulicach i do letniego Cesarskiego ogrodu; wyjednał przez swoje stosunki dla siebie i dla mnie bilety dla zwiedzenia Ermitażu.

ż tam osobliwości sztuk pięknych! Ile drogich Romanom zabytków z epoki Piotra Wielkiego! Ile wykiny wartości bogactw! Raz wezwał mnie do mazynu galanteryi, a ujrawszy tam świeżo wybite złacane medale z napisem, że przeznaczone są na miątkę wojny 1812 roku i słysząc o tem, że każdy z nas ma prawo je nosić, skłonił mnie, abyśmy bie je kupili z kawałkami wstążki orderu Ś-go Włodzimierza. Nie mówiąc przed nikim o tem nabyciu, szliśmy ozdobieni tym nieznanym jeszcze medalem . teatr. Na parterze potracano się łokciami ze zdziwienia na widok dwóch tak młodych ludzi z niewiarymym dla innych znakiem jakiejś zasługi. Lecz i raz tylko błysnęliśmy światu tą jakby samowolą. rzało się, że źle była zrozumiana ustawa tego melu: naprzód postanowiono go z brązu koloru miedzi z pozłoty, powtóre ci tylko wszyscy na wstążce zmianowanej mieli prawo go nosić, którzy w roku 1812 byli w urzędowaniu. Zawinałem więc w parerek mój złożony medal, oddałem go ojcu i ten kazywał go trafiającym się gościom jako osobliwość. Nieprędko, bo w dwa lata później, rozdawano edziany za pośrednictwem powiatowych marszałw. Ja miałem do niego prawo jako z czasu wojr urzędnik, ale zdaje mi się, że marszałek Wyleński, rozdawszy przyslaną ich liczbę, nie przysłał i miedzianego, bo widział złożony, który miałem ze licy. Po upływie dni kilku od przyrzeczeń senarskiej protekcji, raz mnie wzywa, powstawszy od iadu, do framugi u okna i zaczyna utyskiwać na idność umieszczenia mnie w ministerstwie spraw granicznych.

— Ty nie wiesz, kochanku, jak tu niełatwo etatowe, to jest z pensją miejsce jakiegokolwiek .ody człowiek znakomitej rodziny, syn ministra lub atora, nie mający ochoty lub zdrowia do służby jennej, ciśnie się do cywilnej, zaczynając pracę od



najniższego stopnia. Dawano mi miejsce dla ciebie honorowe, to jest nadetatowe w tem ministeryum i podobneż w ministeryum oświecenia. Lecz tu życie drogie, a zacny ojciec, twój, kochanku, ma was pięcioro. Z tem wszystkiem nie tracę jeszcze nadziei. Minister finansów może coś obmyśli dla ciebie.

Podziękowałem senatorowi za tak troskliwe za mną starania. Minęło dwa dni, a czcigodny senator znów po obiedzie do tejże framugi mnie wzywa i z rozjaśnioną twarzą oznajmia w tych słowach:

— No, kochanku, za łaską Boga nad tobą, wyjednałem miejsce dla ciebie nie tu, lecz na granicy pruskiej.

— Jakż to będzie obowiązek?—spytałem.

— Będiesz na komorze granicznej pieczętarem. Dadzą ci łatwą do pojęcia informację. Pensya wprawdzie niewielka, podobno coś około dwóch tysięcy rubli asygnacyjnych; ale to bagatela! bo tam pobocznych, cichych do ręki akcydensów będzie, jak mi mówiono, czterdzieści, albo i więcej tysięcy rubli asygnacyjnych.

Spuściłem na to oczy i czułem, że krew uderzyła w twarz moją.

— Cóż ty na to, kochanku?

— Przepraszam pana senatora! Nie przyjechałem tu po takie pieniądze, któreby mnie wstydziły. Wolę przy czystym sumieniu mój byt mierny, niż dostatki podłością nabyte.

Wtedy wyciąga do mnie ręce, obejmuje, przyciska o swoje gwiazdy na piersi i zawoła:

— O, mój Boże! ty kochanku! Poczcziwy Polaku! Wierz mi, że gdybym któremu w takim położeniu, jak twoje, ale nie z rodu naszego, wyjednał to miejsce, Rosyanin upadłby mi do nóg. Dla takiej, jak ty młodzieży, otwiera się wkrótce pole do zasługi. Na kongresie wiedeńskim nasz dobry cesarz austriacki utworzy królestwo polskie; ja tam nie zapomnę o tobie.

Dziś ja starzec, chlubię się w mej duszy tym rumieńcem za ofiarowanie miejsca podejrzanego o złe nabyte pieniądze. Jakże się nie chlubić, kiedy istotnie słowa moje do senatora, pamiętne mi na całe życie, świadczyły o tak wczesnem uczuciu osobistej godności, bo w latach 24-ch. Rachunkowy, choćby niecną drogą dorobkiewicz, słysząc te słowa, nazwałby mnie hardą duszą w ubogiem ciele; a ja dziś jeszcze z przyjemnością rozpamiętywam, jak od owej daty zjednałem sobie szacunek u senatora llińskiego. Ale obok tego wyznaję głupotę moją w tem, że gdybym był otrzymał za jego wpływem miejsce pożądane w stolicy, po jakie przybyłem, pewniebym się zasmucił; bo nie wygasło we mnie jedyne życzenie, ażeby przynajmniej kiedy-niekiedy wolno mi było popatrzeć na tę, która od lat czterech niezachwianie panowała w sercu. Z szalonej za nią tęsknoty już tylko do powrotu wzdychałem.

Jakoż za parę tygodni pan senator miał wyprawić do Romanowa dwie swoje karety. W jednej z nich miałem odbyć podróż z Francuzem życzliwym dla mnie, wujem pani senatorowej, staruszkim de Mousseau, a drugą kareta miały się zabrać dwie aktorki do polskiego w Romanowie teatru. Nim nastąpił ów wyjazd, zajęły mnie małe sprawuneczki, na jakie mi starczyło z łaski dobrego ojca, ażeby przecież mieć jakąś pamiątkę z mojego tam krótkiego pobytu.

Kazałem zrobić sobie wykwinne skrzypiące obuwie, karbowane na podbiciu, z cholewami, do pokazania światu, szarawarów bowiem jeszcze nie noszono, te później zjawily się po raz pierwszy w roku 1819; to obuwie kosztowało mnie 50 rubli asygnacyjnych; odnowiłem cokolwiek garderobę i zdarżyło mi się kupić piękną, niewielką mahoniową toaletę z całym meżkim z kości słoniowej przyborem, którą w roku następnym darowałem żeniącemu się bratu, ś. p. Antoniemu.

Gdyby to ktoś czytał, uśmiechnąłby się na te drobnostki, a ja mam przyjemność rozpamiętywać wyryte w pamięci wszelkie szczegóły mojej przeszłości.

W ciągu mego tam pobytu, bywał u senatora, lubo gwiazdą błyszczący, smutnej przecież postaci biskup miński, ksiądz Dederko, któremu odjęto władzę nad dyecezyą za to, że w roku 1812, w czasie przejścia przez Litwę Napoleona I z armią jakby do zawojowania całego świata, ów biskup, jako Polak, a przeto łudzący się nadzieją, nakazał po parafiach na uroczyste Bogu podziękowanie śpiewać *Te Deum laudamus*. Żadne tam wpływy, żadne zabiegi nie pomogły mu do odzyskania utraconej na zawsze dyecezyi. W końcu został na Wołyniu infułatem ołyckim.

Widywałem też u senatora pana Strojnowskiego, podkomorzego buskiego, któremu ojciec mój prezentował mnie w czasie wyborów 1811 r. Starzec ten, wzniosłej, poważnej o białym włosie postawy, został tam wkrótce senatorem, a że niedługo zasiadał w senacie, już wyżej wspomniałem.

Z pomiędzy młodzieży, uczęszczającej do synów senatora hr. Ilińskiego, poznałem kilku oficerów gwardyi zasłużonych imion w Rosyi, z którymi młodzi Ilińscy kolegowali na francuskiej tamże pensyi. Z tych najwięcej był dla mnie ujmującym książ Iwan Prozorowski, i ten, w czerwonej księdze mojej, alias w sztambuchu, napisał na pamiątkę serdeczny wierszyk.

Wtenczas i Janusz Iliński napisał na pamiątkę wierszyki francuskie, które w tejsze książce zachowały się. Był on w tym języku tak biegły, że wydawał w Paryżu później własne dzieła wierszem i prozą.

Pod koniec września, przededniem, o godzinie 3-iej wyjechałem z Petersburga z panem de Mousseau. W drodze prędko zasnąłem przed wyjazdem z miasta. Gdym się ocknął ze snu, dzień był już biały; zdziwił mnie śnieg nawalny, po jakim z trudnością kopała się nasza kareta. Ciągłe mowny

a uczoney de Mousseau, miłym był dla mnie towarzyszem. Na stacyach pocztowych jakibądź lichej posiłek był nam dostatecznym, bo głód nie przebiera. Czasem się zdarzył i wyśmienity piróg ruski, mieszana w opieczonem cieście mięsa, ryby, kaszy i grzybów.

W karecie za nami dwie aktorki polskie, zda się Bóg dobry przeznaczył ku memu ratunkowi. Na jednej ze stacyj podano mnie głodnemu gęś niedopieczoną. Francuz nią pogardził, a ja z młodzieńczym apetytem dopadłem do niej i potem nietylko męczyły mnie okropne bóle żołądka, ale co pięć minut musiałem wysiadać z karety. Niebawem tak upadłem na siłach, że już jechać nie mogłem. Litością przejęte aktorki wzięły mnie pod swoją opiekę. Dwa dni staliśmy w Wielkich-Łukach, i te dobre kobiety, leżącego mnie w łóżku nie spuszczały z oka, zalewając jakiemś tyzannami i gorącym rumiankiem rzymskim. Słowem, za łaską Boga i staraniem tych kobiet, trzeciego dnia mogłem już dalej jechać.

W gubernii Mińskiej, wśród ogromnych lasów sownych, stanęliśmy przy stacyi dla zmiany koni. Było już około ósmej wieczorem. Zastajemy u pisarza kilku przy kominie urzędników, jak poświadczali ich mundury, właściwe tej gubernii, o czarnych kołnierzach. Pisarz, na moje o nich zapytanie powiędział mi, że to jest tymczasowy wydział śledczy dla wytropienia zbójców w lesie, na mil kilka ciągnącym się przed nami. Naradzam się z Francuzem, czy nie byłoby bezpieczniej tu zanocować? A on mi na to:

— *Qui sait? peut-être on est plus sûr dans les bois, qu'avec ces messieurs?*

— *Vogue la galère! partons!*—powiędziałem mu.

Księżyc nam świecił i lubo piaski po same prawie koła pośpieszać nie dozwoliły, szczęśliwie przecież przebyliśmy tę litewską puszcę. I dalej a dalej, bez żadnej przygody stanąłem nakoniec w domu.

Na twarzach całej drogiej mi rodziny powitała mnie radość. Dobry ojciec, który z serca pragnał, ażebym nie zmarnował młodości na próżnowaniu, przecież wcale sobie nie życzył, ażebym wycierał łokcie w ruskiej jakiejś kancelaryi. A gdym opowiedział o nadziei Królestwa Polskiego i o przyrzeczonej protekcji senatora Ilińskiego, bogobojny ojciec wznioł oczy, złożył ręce, a po chwili przemówił:

— Kiedy w roku 1812 nie powiodło się, już dla nas nie będzie królestwa! Poddajmy się woli Boga! Senatora protekcya zawsze może ci być przydatną.

Opowiedziałem też ojcu o jego staraniach za mną u wszystkich prawie ministrów, i nakoniec, jaka była moja odpowiedź na jego propozycyę, ażebym przyjął urząd na komorze granicznej. Ucałował mnie ojciec i dostrzegłem jego rozrzewnienie. Z głęboką wiarą, polecając mnie łasce Boga, postanowił, ażebym czekał przy nim na rezultat kongresu. Uplłynął mi czas jakiś na odwiedzinach domów familijnych.

Wskutek działań pomiędzy Budzyńskimi, młodszym, Marceli, wybrał sobie Wygnankę z młynami na Słuczy i przyjął obowiązek spłacić z tych młynów sto tysięcy złotych starszemu Kazimierzowi, któremu dostała się z tego działu wieś Przewałówka. Ten jeszcze był niezonaty, a Marceli przed moim wyjazdem do Petersburga ożenił się z miłą bardzo panną, Teklą Wasilewską, którą ja prowadziłem do ślubu. Wdowa zaś, ich matka, pani Wojciechowa Budzyńska, przeniosła się na mieszkanie z Wygnanki do Ożarówki, gdzie jeszcze żyła matka jej, pani skarbnikowa Garbowska, mająca wtedy dziewięćdziesiąt cztery lata.

Co do działu pomiędzy Budzyńskimi, Marceli go zerwał. Lubo, jako młodszy, obrał sobie schedę, przecież później, sądząc się pokrzywdzonym, zaniósł do sądu powiatowego protest, do akt wniesiony, opierając zerwanie postępowania spadkowego na tem, że

w dniu jego podpisania brakowało mu dwa miesiące do pełnych lat 24-ch wedle praw polskich. Kazimierz nie sprzeciwiał się temu, a matka, więcej go kochając, dała mu swoich 60,000 złotych, ażeby, przyjmując Wygnankę z młynami, snadniej dopełnił spłat należnych dziedzicowi Przewałówki. Do tych czynności ze strony Kazimierza wpływałem; transakcyę powtórną do akt sądu głównego wozilem, a potem wdowa po Marcelinie zaprzeczała mi, że jej mąż nigdy postępowania spadkowego nie zrywał.

Objechawszy domy familijne po owym powrocie moim z Petersburga, należało mi przed innymi sąsiadami odwiedzić o milę w Bratałowie dom patriarchalny czcigodnych podkomorzych Piotrowskich. Przyjaźń od szkół z ich synami i wzajemny szacunek rodziców naszych wiązały mnie z tym domem. Nadto zaś, dowiedziałem się, że tam przybył z Ukrainy brat pani Piotrowskiej, prezes cywilnego sądu głównego gubernii kijowskiej, Kajetan Proskura, ze swą żoną, a ja dawno sobie życzyłem poznać w nim znakomitego niegdyś posła z województwa Kijowskiego na sejm czteroletni. Ubrawszy się przyzwoicie, przed południem przybyłem.

Oprócz licznego towarzystwa domowego, które powiększył najstarszy syn podkomorzego, deputat sądu głównego, Eligiusz, który dla spotkania się z wujem przyjechał z Żytomierza, mój dobry do śmierci przyjaciel, zastałem tam i siostrę pani podkomorzyny, panią generałową Jerliczową z jej siostrzenicą, panną Klotyldą Czajkowską, i pannę Milewską, która z panią Proskurzyną przybyła. Prezentowano mnie obójgu pańswu prezesostwu.

Zapytany o Petersburg, opowiadałem wrażenie, jakie na mnie sprawił. Kochany Eligi zatrzymał mnie na noc. Nazajutrz, gdyśmy już ubrani mieli z oficyny wychodzić do dworu, on sam na sam ze mną, zapytuje:

— Powiedz mi otwarcie, czy ty zawsze dla Bierzyńskiej szalejesz?

— Po co mnie pytasz o rzecz wiadomą ci?

— Bo widzisz, zdarza się, że zwodnicze marzenie o szczęściu zbija nas z drogi do niego. Ja nie przeczę, że ta panna najgodniejszą jest uczuć twoich; lecz jeśli nie masz ani z jej strony pewności, ani też nie dostrzegasz, ażeby jej krewni, pod których ona jest opieką, byli dla ciebie życzliwi, to szkoda lat młodych, jakie na wzdychanie marnujesz. Mam świeży dowód, jak ty możesz się podobać, nie starając się o to bynajmniej. Wczoraj wieczorem powiedziano mi, żeś mocno zajął pannę Milewską. Dziewczę dobre, jak wujenka moja Proskurzyzna poświadcza; przystojna i posag niemaly, bo pięćkroć sto tysięcy złotych. Skoroś wszedł wczoraj i przywitał moich rodziców, wnet na pierwsze wejście powiedziała do siedzącej obok Klotyldy:

— *Voilà un jeune homme comme il faut!*

I już ciebie z oka nie spuszczała, często powtarzając:

— On bardzo jest miły, to nie Ukrainiec, jak nasi, co tylko o pszenicy mówią.

Od Klotyldy doszło to do wujenki, która o tobie uprzedzona przez nas, a w przyjaźni z jej matką wdową, rada była wrażeniu, jakie na tej pannie zrobiłaś, i gdyśmy odchodzili do oficyn, szepnęła mi te słowa:

— Powiedz mu, niech się stara o nią, a zaręczam, że mu nie odmówi.

Śmiejąc się, przerwałem:

— Naucz mnie, co mogło być powodem zdania o mnie przy pierwszym mojem wejściu na pokoje? Chyba ubiór otatniej mody sprawiony w Petersburgu, a jeśli u niej sam ubiór stanowi zaletę *d'un jeune homme comme il faut*, cóż ona powie o człowieku młodym, któryby powrócił z Paryża lub z Londynu w f.aku świeżo z pod igły? Wierzę szanownej prezeso-

wej, że ta panna dobrą jest osobą. A co do posagu, ja od lat czterech przywykłem przeklinać tę złotą oprawę brylantów i udających brylanty czeskich kamyków. Przeklęty posąg stanowi tamę do mojego szczęścia! Przed tobą taić nie mogę, że słodkie kajdany, narzucone przez Bierzyńską, noszę i nosić będę do śmierci bez najmniejszej nadziei otrzymania jej ręki.

— Ach, Szymonie! Z zimną rozważą zastanów się nad taką przyszłością! To jest moralne samobójstwo! A kto wie? Może i jej szczęście zabijasz, jeśli nie ona, lecz tylko jej familia sprzeciwia się twoim zamiarom? W takim zdarzeniu, ciężyc to będzie na twojem sumieniu, żeś starał się ująć ją dla siebie, żeby ją opuścić.

— Bądź spokojny! Nie pochlebiam sobie, ażeby łzę uroniła za mną. Nakoniec, widzę trudność i dlatego rzadko tam bywam, a częściej ją widuję i rozmawiam z nią na balach.

— Ja radzę, ażebyś temi czasy był w Wołczyńnie i wybadał ją dla ostatecznego postanowienia; bo daremne uwodzenie się lub zachwianie jej pokoju niegodnem jest ciebie.

— Ja obrałem już niezmiennie postanowienie opuszczenia jej; bo gdybym nawet otrzymał jej wzajemność, żenić się teraz nie mogę. Brat mój starszy otrzymał przyrzeczenie panny Teleżyńskiej: dwóm razem żeniącym się synom rodzice moi dopomóżdzy nie mogli. Czekam tylko na rozwiązanie kongresu wiedeńskiego: jeśli, jak mówią, monarchowie utworzą z Księstwa Warszawskiego Królestwo Polskie, wyjadę do Warszawy szukać jakiegobądź zajęcia, ażeby tam zostać na zawsze; a przecież ją jedynie kochać będę do śmierci!

— Żałuję cię, Szymonie! Los tu wyraźnie masz przed sobą, a tam uparcie gonisz za marą!

Zostałem w Brahiłowie na obiedzie jeszcze i nie

przemówiwszy do panny Milewskiej ani słowa, odjechałem do domu.

U nas mówiono tylko i zajmowano się ślubem brata mego, ś. p. Antoniego, który naznaczono na dzień 15 maja następnego 1815 r.

Nie znałem jeszcze narzeczonej jego, ani jej matki. Znany mi był z tego domu tylko jej ojciec, chorąży, Roch Teleżyński. Co do związku brata mego z Ksawerą Teleżyńską, szczególniejszy był w tem zbieg wypadków, że mój ojciec, będąc jeszcze kawalerem, a w dalszym stopniu krewnym jej matki, z domu Tarczewskiej, kochał ją namiętnie i byłby się ożenił, gdyby nie powstrzymało jego zamiarów owo pokrewieństwo w trzecim stopniu, co u naszych bogobojnych przodków stanowiło ważną przeszkodę.

Upłynęło mi w domu nad książką ze trzy tygodnie i życie bezczynne zaczęło mnie już męczyć. Młodsza siostra moja, która poznała Bierzyńską i najżywszą przyjaźnią przyłgnęła do niej, codziennie zapewniała, że jest kochany przez nią. Córka matki świata, Ewy, umiała mnie skusić do zakazanego dla mnie owocu. Rozmarzony ideą szczęścia, zacząłem rozważać, że te wzajemne uczucia z natchnienia Boga tylko powstać i tak długo trwać mogły. Czyliż jej opiekun z wolą Boga ośmieli się walczyć?

— Pojadę—rzekłem nakoniec siostrze — ale pamiętaj, że po raz ostatni!

Przybywam do Wołczyńca. Tam wiedziano, że wprost z wyborów wyjechał z Henrykiem Ilińskim do Petersburga, ale nie domyślano się, że miało to być bez powrotu. I ja też o tem milczałem. W godzinę może po mojem przybyciu panna Bierzyńska dostrzegła, że z parę razy naciskał rękami głowę.

— Zdaje się, czy nie cierpiący pan jesteś?—zapytała.

— Tak — rzekłem. — Rosyanin, tu zwłaszcza, bardzo słusznie powiedziałby o mnie: *Durnaja gowal*

Ona śpiesznie wybiegła i wracając z wodą kaską, mówi mi:

— To pomaga na ból głowy, proszę nachylić cokolwiek.

— O! najchętniej, aż do stóp pani!—szepnąłem.

Dobre dziewczę, śmiejąc się, tak obficie zalało mnie i aromatem, że dostało się i w oko. Mocny spiry silnie gryził mnie pod powieką, schwyciłem chustkę żeby ją do oka przyłożyć. Jakież było jej zmienie się tym małym wypadkiem! Dałbym sobie jać oko za ten dowód jej troskliwości! Takie są vile szczęścia lat młodych. Ta kuracya na ból wy odbyła się wobec babci i ciotek. Ale wkrótce po i zostawiono nas po dawnemu, nie pojmuję dlaczego, osobności. Więcej milczałem niż mówiłem, wpadając się tylko w jej piękne rysy pełne dobroci dla ię, a od których rozum kazał mi uciekać. Wymała mi, żem bez pożegnania ich wyjechał z Żyto rza w tak daleką podróż. Miałem już na ustach: łatwiej mi własne życie, niż ją, na zawsze poze ić, i że przecież tak będzie, ale niezycziwa dla mnie tka jej, panna Teofila, jak stooczny Argus, ciągle wająca nad nami, weszła niespodzianie i słowa je zamarty na ustach.

Ta ciotka, aby nadać przyzwoity pozór swemu nas wejściu, zaczęła mnie pilnie wypytywać o te w stolicy, a mianowicie, czy też tam opera jest ynajmniej znośną. Gdy zdanie moje o tem powie ałem, bom istotnie bywał tam na operze, ona, za łszy od niechcenia do fortepianu, zaczęła śpie ć, a ja z utkwionem w jej siostrzenicę spojrze m, musiałem słuchać trelów aryi włoskiej. Nieoce na babcia, jak zawsze, łaskawą była dla mnie.

Po nocy bezsennej, gdy rano wszedłem do sa u, gdzie jeszcze nie zastał nikogo, widzę na for ianie znany mi sztambuszek, a tuż na oknie ka iarz i pióro. Pamiętam, że wczoraj tego tu nie by. Miałażby ona wszystko to przygotować, zycząc

sobie, ażebym jeszcze napisał co do niej? Zajrzałem w sztambuszek; szukam moich wierszyków: „Ustał wietrzyk.“ Znajduję, że opieka jeszcze ich nie wydarła.

Gdy tak samotnie dumam nad mem położeniem, przysłała mi na myśl niefortunna miłość Jana Jakóba Rousseau dla jego Sary, która miała lat 18, gdy on lat 50. W czterech do niej najczulszych listach ubolewał na nieodpowiednie lata, a ja wzdycham tylko na brak równych jej dostatków. Świeżo te listy czytałem, niektóre z nich ustępy zostały w pamięci; lecz jeden z nich tylko dał się zastosować do niej i ten w jej sztambuszkę napisałem:

— *O! fille adorable! ame plus belle que la figure angélique! Si je m'estime désormais quelque chose, c'est d'avoir un coeur fait pour sentir tout ton prix!*

Bo też istotnie, w mojem sumieniu, całą moją zaletą była tylko moja miłość dla niej, czyli, że ją umiałem ocenić. A lubo dla przeszkód niezwalczonych nieraz już postanawiałem nie pokazać się tu nigdy i opuścić ją na zawsze, przecież nie odważyłem się napisać tam z tegoż czwartego listu następnych słów:

— *Je vous donne ma foi d'homme, qui ne la faussa jamais, que je ne vous reparlerai de mes jours de cette passion malheureuse que j'ai pu peut-être empêcher de naître, mais que je ne puis plus étouffer.*

Jeszcze we mnie zimny rozum nie wzięt góry nad namiętnością. Czujęm to w sobie i dlatego nie umiałem, jak Rousseau, zaryzykować słowa mego. Przy herbacie porannej panna Tekla Zaleska prosiła, ażebym przysłał dla nich cokolwiek z nowszych książek, rozumie się w języku francuskim, bo w polskim wówczas dla dam prawie nie było, prócz znanych poetów z XVIII wieku. Miałem z sobą w jednym tomiku powieści pięknie napisaną i zajmującą Chateaubrianda, pod tytułem „Atala.“ Tę książkę im zostawiwszy, odjechałem do domu.

Trudno pominąć ważne dla świata wypadki, jakie temi laty przemknęły się za mojej pamięci. Zdumiewał jakby nadludzki geniusz wojowniczy. Strącał z tronów, nadawał korony i korzyli się królowie, kreowani z książąt rzeszy niemieckiej przed niedawnym z Korsyki porucznikiem artylerji. Śpiewano chwałę jego po olśnionej ową wielkością Europie. Jeden z naszych klasycznych wieszczów, Kajetan Koźmian, w pożyczonej myśli z obcej a dawnej poezji, porównał go w odzie swojej ze słońcem.

Tak Arabi, skwarem spiekle,
Miotają błuznierstwa wściekle
Przeciw słońcu, co je pali:
Marne wyciał próżne wrzaskil
Wrą pod ich nogami piaski,
Słońce posuwa się dalej!

W ćwierć wieku później uznany powszechnie mistrz w poezji, niezrównany Mickiewicz, żartował sobie z uwielbiania tych wierszy w kraju; lecz w dobie wielkości Napoleona pewnieby nie potępiał ich zastosowania. Bo któż nie zna prelekcyj paryzkich, gdzie z katedry duch naszego mistrza skłaniał się także za przewagą czasową. I on patrzyłby Koźmiana okiem na trofea, śledzące każdy krok cesarza Francji. Duma tego bohatera uniosła go po za kres możliwości ludzkiej.

W zawiedzionych nadziejach naszych uznaliśmy w nim słabość człowieka, który zbyt uwierzył w pochlebny swój tytuł wielkości. I znów powtórzyło się nad nim zdumienie świata, bo jakby dla pośmiewiska dano mu wysepkę Elbę, cztery tylko mile powierzchni na jedyną własność temu, przed którym drżała Europa. Zebrani monarchowie w Wiedniu naradzają się swobodnie wśród rozrywek i tańców nad utrwaleniem pokoju. Tam jedni, nam życzliwi, chcą bytu naszego; drudzy, stanowczą tam decyzję o nas zwlekają. Wtem jak piorun uderza wieść przerażająca: Oto Napoleon umknął z Elby i jakby strzaskany me-

teor zjawił się we Francyi, która już cała garnie się pod jego sztandary. W przeddzień tryumfalnego wjazdu jego do Paryża, umknął protegowany przez monarchów Bourbon, Ludwik XVIII.

Postrach opanował Niemców. Przyśpieszają postęp w dziełach kongresu. Widzą potrzebę ujęcia sobie Aleksandra I, ażeby ich wspierał potęgą Rosyi.

Tak ubóstwiany Napoleon, na którego skinienie lały się potoki krwi polskiej, nietylko nadziei naszych nie ziścił, lecz nadto, gdyby traktaty miały wartość niezachwianą, on, głoszony wybawcą naszym, przez swój tryumfalny powrót do Paryża zrzucił za twierdzenie upadku naszego na zawsze. Na tym jednak kongresie, za zgodą wszystkich monarchów postanowiono, ażeby we wszystkich niegdyś województwach, jakie składały Rzeczpospolitą polską przed dniem 1 stycznia 1772 r., zostawiona była ich narodowość i język. Na tymże kongresie, dla załatwienia handlu i żeglugi w tychże prowincjach obmyślano komisję trzech dworów: Rosyi, Austrii i Prus, mającą naradzać się w Warszawie, z mocą unieważnienia wszelkich przywilejów, tamujących nasz handel z państwami nadmorskiemi. Komisya ta dziś mnie jednemu dobrze jest w pamięci; wszyscy inni do niej należący dawno już nie żyją.

Taki jest rys ogółowo schwyconych wydarzeń, zajmujących Europę pod koniec 1814 i początek 1815 roku. Co do zarządu Wołynia, zbierano skargi obywateli na urzędników od korony, podległych władzy gubernatora Komburleja. Trzeba wiedzieć, że Wołyń wielkiego w nim doznał zawodu. Zrazu, gdy on nastąpił po innych uciążliwych naczelnikach, tak był przystępnym, tak wyrozumiałym i dbającym o sprawiedliwość i dobro obywateli, że cała gubernia, przejęta wdzięcznością, za otrzymaniem pozwoleniem od cesarza Aleksandra I-go ofiarowała mu na pamiątkę prawych rządów złotą, emaliowaną, piękną tabakierkę z napisem *Grata Volhynia*; a w lat kilka później, gdy

zaczęto doznawać obojętności gubernatora na uciążliwe podwładnych jego nadużycia z widocznem ich pobłażaniem i ztąd już gromadziły się skargi do najwyższej władzy, natenczas odzywały się żarty w takich słowach:

— Silnej on zażyje tabaczki z naszej tabakiery!

Generał Bartłomiej Giżycki, jako marszałek gubernialny wołyński, jeździł z temi skargami w r 1815 do Paryża, ażeby je podać Aleksandrowi I, bawiącemu tam wówczas na czele zwycięzców. Senator Sifers, posiwiał, a znany w Rosyi z cnót swoich, mianowany był dla sprawdzenia podanych nadużyć. Uroczyście witano tego starca w Żytomierzu. Portret jego zawieszony był w sali balowej z napisem łacińskim z ody Horacyusza, który służył za godło niezłomności jego charakteru:

*Si fractus illabatur orbis,
Impavidum ferient ruinae.*

Komburlej już był wyjechał do Petersburga. Na tymczasowego rządcę gubernii przysłany był generał Stanisław hr. Potocki, po którym 1816 r. został mianowany generał Bartłomiej Giżycki gubernatorem cywilnym wołyńskim, a na urząd marszałka gubernialnego wszedł jego kandydat, Henryk hr. Iliński.

Po szkołach, zaczawszy od uniwersytetu wileńskiego, w całym jego pod kuratorstwem księcia Adama Czartoryskiego wydziale, do którego i trzy nasze gubernie należały, wykładano nauki w naszym języku narodowym. W tych guberniach: Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, liczne były szkoły; a staraniem i rzadką gorliwością Tadeusza Czackiego, wizytatora szkół w tych prowincjach i prezesa krzemienieckiej komisji sądowo-edukacyjnej, utworzone w Krzemieńcu gimnazjum, później liceum, zasłużonego okryło go wieńcem.

Kiedy zdarzało się czytać zarzuty przeciw lice-

um krzemienieckiemu z ujmą chwały Czackiego czynione przez ludzi lekko i z pozorów ogłaszających zdania, widzieliśmy, jak one odpierane były dowodami tak jasnymi, że potwarz zamilkła. Lecz Julian Bartoszewicz w swjej „Historji literatury polskiej,“ na karcie 450 ciężko zgrzeszył, stanowiąc, że Czacki nigdy nic dobrego zrobić nie potrafił, bo nie miał po temu zdolności i że prace jego na szacunek narodu nie zasługują. Ten grzech jego tem jest większy, iż w drugich kilku miejscach tegoż dzieła powołuje się na pisma Czackiego dla poparcia prawd historycznych. Śmierć wczesna Juliana Bartoszewicza słusznym przejmuje nas żalem. Naród stracił w nim pracowitego badacza dziejów krajowych z wysoką po temu zdolnością, jak mnóstwo artykułów historycznych w „Encyklopedji powszechnej“ poświadcza. Lecz w tejże Encyklopedji zgrzeszył podobnie, jak o Czackim, pisząc o Wołyniu w tomie XXVIII-m, na karcie 810, gdzie przywiódł zdanie poety o potentatach wołyńskich. Ten poeta ma niezaprzeczone prawo do potomnej pamięci; lecz rzucona przez niego potwarz na mieszkańców naszej prowincji zda się pochodzić z osobistej urazy do któregoś z hrabiów lub książąt, nadętych bogactwem lub pochodzeniem z wysokiego rodu. Nie godziło się, ażeby Bartoszewicz, tak godny następcą po Lelewelu, historyczną rozprawę o Wołyniu zakończył cytacją sarkazmu poety. Wszakże u nas rdzenia krajowego nie stanowią magnaci, lecz szlachta; za cóż winą tamtych obarcza cały nasz Wołyń?

Wracam do dziejów domowych. Roku 1815 w maju byliśmy całym domem w powiecie Włodzimierskim, we wsi Błudowie, gdzie mieszkał prawem zastawy chorąży łucki, Roch Teleżyński. Ta wieś była dziedziczną Aleksandra Błudowskiego, kapitana wówczas wojsk polskich, przybyłego tam natenczas, a który w roku 1831 zginął w randze generała. Poznałem tam wiele osób z rodziny ojca mego. Szcze

gólniej pamiętną mi jest staruszka stolnikowa Załęska, krewna—nie wiem, w jakim stopniu—nasza. Tej poważnej matronie ojciec mnie przedstawił, a potem opowiadał mi na boku rzecz o niej trudną do uwierzenia, a o której tam mówiono, jako o cudownej łasce Pana Boga, że w trzy dni po jej przyjeździe na świat, gdy wezwany ksiądz dopełnił zwykłego nad nią chrztu, ona, trzydniowe niemowlę, przemówiła najwyraźniej po łacinie do księdza: *Deo gratias*.

Była tam i jej córka, Litwińska, zostająca później w separacyi z mężem dla dziwnej, jak głoszono, przyczyny, że mąż był stronnikiem Woltera a ona Rousseau'a. Później, w lat 11, zabawna była mój z nią rozmowa przy niespodzianem spotkaniu w Krzemieńcu roku 1826 na wiosnę, gdy już mieszkał w wsi, w Czezelówce, a przybyłem do tego miasta dla odnowienia garderoby. O rannej porze wszedłem do licealnego kościoła. Po chwili ona usiadła w tejsze ławce przy mnie z córką, dla której wychowania zamieszkała w Krzemieńcu. Po tylu latach trudno mi je było poznać. Lecz ona wita mnie po imieniu i mówi:

— Słyszałam, że się żenisz z Łażnińską. Musi być pełna nauki, pełna mądrości.

Ja zapomniawszy, iż ona jest okrzyczaną literatką, najniewinniej odpowiedziałem:

— Wcale nie; bo w moim wyborze trzymałem się zdania filozofa genewskiego: „że jeśli kiedy mężczyźni będą mieli rozum, to mądre panny zostaną pannami na zawsze.“

Pani Litwińska wzięła to za przymówkę do siebie i gdy w tejsze chwili dzwonek oznajmił wyjście ze mszą księdza, rzekła mi z naciskiem:

— Ot, wolałbyś mszy św. słuchać, niż prawić mi głupstwa.

Uchyliłem głowę, jak winowajca, przed uczoną ciotką. Odtąd nie widziałem jej.

Na owych ślubowinach brata mego poznałem też pana Klemensa Trzczińskiego, o którym tam szep-tano, że on rzadko nawiedza szlachtę, a zwykle brata się z panami wysokiego rodu. Ztąd mówiono mi o zagadkowej rozmowie pomiędzy nim a jednym z mianujących się hrabią. Trzcziński, nadzwyczaj oty-ły, gdy po obiedzie u księcia wśród siedzących panów z fajką się przechadzał, hrabia przemówił:

— Panie Trzcziński, rozwiąż mi tę zagadkę: Brzuch tłusty, łeb pusty, chodzi po sali i fajkę pali...

Niezmieszany pan Klemens dzielnie się znalazł.

— Ja—rzekł—rozwiązę, ale proszę wprzód po-wiedzieć, o kim tu będzie mowa: Rodem z Warsza-wy, dobry do zabawy, nic mu to nie szkodzi, że z żydów pochodzi.

Wzajemnie, ale ostro przymówili sobie.

Bratowa moja, Antoniowa, była tak miła, tak wy-soce ukształcona, żem najszczerzej winszował mu tego związku. Bawiliśmy tam więcej, niż tydzień.

Gdyśmy wrócili do domu, wkrótce potem w czerwcu nadjechał do nas Kazimierz Budzyński i wziął mnie z sobą na jarmark onufrejski do Ber-dyczowa. Natłok ludzi rozmaitego rodu bywał tam nadzwyczajny. Obywatele z trzech gubernij licznie zbiegali się na te jarmarki. Przy końcu ulicy Ma-chnowieckiej, w miejscu obwiedzionem wysokimi ba-ryerami, tabuny zawodowych koni ściągały widzów tak przez ciekawość tylko, jako też kupujących. Z drugiej strony miasta, za ulicą Białopolską, pod dębina, ogromny obszar zajęło kilkanaście tysięcy wołów ukraińskich; przytem handlarze, znani w oko-licy amatorowie, napełnili sienie obszerne wszystkich domów zajezdnych końmi ręcznymi, a w dołączku stał od dwóch lat w Berdyczowie pułk ułanów ze swoim komendantem.

Na tym jarmarku przejeżdżał się na pysznym rumaku pan rotmistrz, znany nam Floryan B. Trze-

ba tu zanotować historię życia tego rotmistrza. Gdy wyszedł ze szkół Bazylianów lubarskich, bawił czas jakiś przy matce wdowie, pani skarbnikowej B., która, otoczona kilkorgiem dorosłych dzieci, mieszkała niedaleko od nas i była naszą dobrą znajomą; całym zaś jej mieniem była niewielka sumka, za którą prawem zastawu część wsi posiadała. Pan Floryan, mając lat dwadzieścia, a bez żadnego zajęcia, poznawszy o pół mili pannę Helenę D., uznał, że najlepiej swobody swej użyje na podcięcie serca panny Heleny; a gdy raz na jego nieustanne zalecanki zarumieniona ścisnęła mu rękę, chłopiec domyślił się przybył do nas i prosił ojca mego o wpływy do jej ojca, pana chorążego D. Najszczęśliwiej powiodło się swatostwo. Pan Floryan ożeniony, schwyciwszy mały posazek, a przy nim niewielki udział od matki, zaczął pracować gospodarzyć na arendownej trzyletniej dzierżawie. Lubił on konie nad wszelkie przyjemności życia i nie tylko umiał dostrzedz najtajniejsze ich wady i oceniać zalety, ale też dzielnie dosiadywał najmniej ujeżdżone i umiał je znawcom prezentować. Pierwsza posesya jego graniczyła z miasteczkiem, gdzie stał pułk huzarów; poznał się tam z pułkownikiem i kilku oficerami. Z drugiej strony, o trzy mile od tej dzierżawy był Berdyczów. Tu posesor kupował młode konie i umiejętnie wytresowawszy, z wielką je zbywał korzyścią oficerom pułku huzarskiego. Sam zaś nigdy w żadnym wojsku nie służył, bo nawet obliczywszy lata jego, nie było czasu potemu. Jakimże cudem p. Floryan B. został rotmistrem? Na jakiej zasadzie po upływie lat dwudziestu wśród trudów gospodarstwa na rozmaitych dzierżawach i wśród czynnego handlarstwa końmi, gdy w końcu kupił wioskę pod Berdyczowem w transakcyi wieczystej mianowano go rotmistrem? Oto w roku przeszłym, 1814, wypadek taki dał mu dosłużyć się tej rangi. Na jarmarku w Berdyczowie, gdy kilkudziesięciu furmanów razem prowadziło długim szeregiem konie

stajenne do poidła, a każdy z nich trzymał w poręcz po cztery konie, co zajmowało cały środek ulicy, a zostawał tylko po bokach przechód dla pieszych, spotkał ich oddział pułku ułanów, idący w stronę przeciwną i gdy jedni drugim nie chcą ustąpić z placu, zaczyna się bójka, na którą nadjeżdża na dzielnym wierzchowcu pan Floryan. Wnet obejmuje komendę nad furmanami i smagając ułanów harapem, gdzie się zdarzyło, po rękach i po twarzy, przemocą zmusił ich do rejterady. Ale dbający o siebie komendant furmański leci natychmiast na swoim rumaku do znajomego mu pułkownika i składając przed nim harap, jako broń swoją, poddaje się pod areszt. Wygrał, uprzedzając skargę upartych ułanów. Pułkownik, wysłuchawszy opowiadania przygody, zaśmiał się tylko, a dnia tegoż marszałek machnowiecki, dziedzic wsi, którą p. Floryan dzierżawił, obecny na tym jarmarku, a życzliwy dla swego posesora, sprasza kilkunastu jarmarkowych obywateli na obiad, przy którym podnosi toast za zdrowie rotmistrza, który zwyciężył ułanów. I odtąd żył i umarł rotmistrzem pocziwy a powszechnie lubiany pan Floryan.

W Berdyczowie jest teatr, do którego wówczas trupa żytomierska pod entryprzą Żmijewskiego zjeżdżała na jarmarki; z Romanowa zaś przybywali wcale niezli baletnicy z częścią wybornej orkiestry, gdy senator hr. Iliński przebywał w stolicy. Na te więc terminy jarmarkowe chętnie tam zbierały się i damy ze wsi okolicznych. Gdy w niedzielę poszliśmy do teatru, dojrzałem panią podkomorzyńnię Zaleską z pannami. Udaję się natychmiast do ich łoży, aby je powitać. Od nich dowiedziałem się, że jutro ma być wieczór tańczący w kamienicy pana Kamińskiego, który z niedalekiej wioski swojej tu przybył. Nazajutrz przed południem byliśmy z Kazimierzem u dobrze nam znanego pana komornika Kamińskiego z wizytą, a ten zaprosił nas na wieczorną

herbatę. Świetny był ten wieczór, tańce do późnej w noc pory przeciągały się. I po dawnemu miałem przyjemność tańczyć i swobodnie rozmawiać z panną Bierzyńską, która obok tam obecnej a głośniejszej z piękności księżnej Mateuszowej Radziwiłłowej, gasiła ją wdziękiem urody i niewysłowionem anielstwem w spojrzeniu. Badała mnie, jak prędko będę u nich? Czyniła wyrzuty, że o nich zapominam. Powiedziałem jej, że względy światowe odejmują mi śmiałość i są dla mnie, jak dla winowajcy Adama, mieczem płomienistym w rękę anioła, który go nie dopuszcza do raju.

— Ja — rzekła — nie pojmuję tych względów światowych.

— Wszakże gdy raz badałaś mnie, pani, dlaczego wśród kilku wesołych sam jeden smutek mam na twarzy, wówczas objawiłem otwarcie, że ta myśl jedynie zachmurza mi czoło, iż nie mam dostatków, które wedle zasad świata mogłyby dać mi prawo do szczęścia, po jakie myślą tylko sięgać mi wolno.

— Pan zawsze trwasz w błędzie! Czyliż dostatki, choćby największe, mogą zjednać szacunek, na jaki pan zasługujesz? Proszę nas nie krzywdzić tak niesłusznem podejrzeniem! Zmartwiłabym babcię, przyjaciółkę pana, gdybym jej to powiedziała.

Milcząc na to, czułem tę prawdę w sumieniu, że kochać ją będę do śmierci, ale jej ręki nigdy nie dosięgnę. Otrzyma ją tylko bogaty, lecz nie będzie miał mego dla niej serca. I tak się ziściło!... Ale o tem później.

Wypada wspomnieć tu o niepomysłnym wypadku kochanego Kazimierza na tym jarmarku. On, wówczas jeszcze bezzenny, lubił niekiedy grać w karty, i to nie inaczej, jak w ryzykowną grę faraona. Na takim zbiegowisku młodzieży łatwo się znalazł pochopni do takiej napozór niewinnej przy ponczu zabawki. Po przyniesionej z traktyrni wieszery, gdy w parę godzin dostrzegłem, że gięcie parolów z hu-

kiem i brzękiem może długo potrwać, a drugi pokój zajęty był przez służącego i walizy, kazałem lokajowi przenieść moją pościel do stajni, utrzymując przed graczami, że przy koniach, gdy one obrok żują, spać najwyborniej. Tam zaledwem się położył, wbiega do mnie Kazimierz i szeptem:

— Proszę cię, weź tę sakiewkę pod poduszki, jest w niej czterysta dukatów, które chcę oszczędzić, a ja niepewny siebie, dopóki są przy mnie. Nie oddawaj mi, choćbym po nie przychodził. Zostawiłem przy sobie kilkadziesiąt dukatów. Jeśli je przegram, powiem im, że więcej nie mam, to wnet się rozejdą.

Odszedł. A ja w dumce nad pieniędzmi, które tak marnie w świat idą, a tylu pokrzywdzonych przez los mogłyby uszczęśliwić, zasnąłem najsmaczniej. W parę może godzin budzi mnie i rzecze:

— Dawaj pieniądze!

Ze snu, nieoprytomniony, pytam:

— Jakie pieniądze?

— Moje, pod twoją poduszką.

— A! Wszakże mówiłeś, aby ci ich nie oddawać.

— Ale cóż na to poradzić, kiedy już na kredkę dużo przegrałem; to rzecz honorowa, trzeba zapłacić.

Przegrał prawie wszystko, co było w sakiewce. Zostało tylko na opłatę stancyi i kilka dukatów na powrót do domu. Miewał wówczas dochodu z Wygnanki i Marmusz więcej niż sześćdziesiąt tysięcy złotych, jak sam wyznawał. Na zrobioną mu raz uwagę, aby dla swej wiadomości utrzymywał registr rozchodu, po roku pytam go, czy jest ów registr?

— At! zjrzałem kilka dni temu; okazało się zapisanej ekspensy pięć tysięcy złotych, a reszta niewiedzieć gdzie się podziała.

Inaczej rządził się później, skoro się ożenił.

A jak przyszło do tego związku małżeńskiego, nie zapomnę o tem pod rokiem 1819.

Tegoż 1815 roku Konstanty Piotrowski zażądał moich wierszyków do panny Bierzyńskiej i posłał z podpisem dwóch moich liter do S. K. do Wilna, gdzie po raz pierwszy wyszły tego roku na świat w tygodniku tamtejszym. Lecz ileż razy później powtarzane były w rozmaitych pismach zbiorowych, peryodycznych i w pamiętnikach! Pochlebiało to miłości własnej, zaprzeczyć nie mogę; lecz obok tego ciążyła mi ta chwała, iż wielu pożytecznie pracując wiek cały, nie otrzymują jej od ludzi, jak ja za moje dwanaście wierszyków. Damy niekiedy łechtały mi próżność, śpiewając je przy fortepianie z muzyką dorobioną do pieśni generała Ludwika Kropińskiego: *Te brzóz kilka, ten bieg wody*. Mówiono mi, że gdy raz na wieczorze u jego krewnej, pani prezesowej Rotermundowej, tę pieśń śpiewano, jedna z obecnych po skończonym śpiewie odezwała się:

— Jak ten Szymon Konopacki silnie musiał kochać, układając tę piosnkę!

Pani prezesowa powstała:

— Nie krzywdźcież Kropińskiego, bo to jego piosnka.

Błąd pochodził z tej przyczyny, że i moje: *Ustał wietrzyk, błyszczą wody*, z muzyką tamtą śpiewywano. W przeszłym dopiero 1871 roku, za wstawieniem się senatora Skibickiego, nieodżałowanej pamięci sławny nasz artysta, niedawno zmarły w Warszawie Stanisław Moniuszko, dorobił muzykę do tych moich wierszyków. Błąd podobny popełnił i p. Tadeusz Stecki w życiorysie, napisanym o mnie, a wyszłym w N. 94, 1869 roku „Tygodnika Ilustrowanego.” Musiałem do tegoż pisma protest zanościć, że nigdy tej znanej w kraju pieśni nie przywłaszczałem sobie i że autor, głosząc o mnie zbyt pochlebne zdanie, bez wiedzy mojej narzucił mi tę obcą własność.

W jesieni 1815 roku, gdy powziąłem stały zamiar udania się do Warszawy z myślą szukania w odrodzonej Polsce jakiegobądź zajęcia, Konstanty Piotrowski, widząc się ze mną, objawił mi, że i on toż samo zamierza. Ztąd nastąpił układ, abyśmy razem tę podróż odbyli. W grudniu już wiedziano, że namiestnikiem królewskim jest mianowany generał pełen zasług, Józef Zajączek, który przy przejściu Berezyny od uderzenia kuli armatniej utracił nogę. Konstanty wiedząc, że wuj jego, prezes Proskura, z czasów jeszcze Rzeczypospolitej w ścisłej z tym generałem był przyjaźni, udał się na Ukrainę do wuja po list wstawiający się za sobą i prosił go o chlubną wzmiankę dla mnie. Ja zaś, nie wiedząc o tem, udałem się do Żytomierza po list podobnyż generała Bartłomieja Giżyckiego, który był naszym marszałkiem gubernialnym. Ten, w życzliwych będąc stosunkach z ojcem moim, nie odmówił wstawienia się za mną i dodał w liście, że z wyboru obywateli, pomimo lat moich tak młodych, już trzy lata urzędowałem jako podsędek powiatowego sądu ziemskiego. Tą listowną protekcją wsparci, ułożyliśmy wyjazd nasz natychmiast po świętach Bożego Narodzenia. Dla sprawunku jakiegoś na tę podróż wypadało mi jeszcze o pięć mil w Berdyczowie być koniecznie. Tam na noclegu skorciło mnie dojechać niedaleko do Wołczyńca dla pożegnania. I cóż w tem złego?—dumałem sobie.—Wszakże raz powziąwszy myśl zaniechać daremne wzdychania, nie będę tam oświadczał się z moją miłością, którą na resztę życia głęboko w sercu dochowam; ani wspomnę o tem. Jako przyjaciel domu, pożegnani ich tylko.

Z takim postanowieniem przybywam nad wieczorem. Przyjęty łaskawie, jak zawsze, nie mówię w tym dniu przed nikim o zamierzonej podróży. Lecz nazajutrz, gdy po herbacie sanki moje już są gotowe przed galeryą, zostawiono mnie sam na sam z panną Bierzynską. Rad byłem, lubo z boleścią, po

raz ostatni napatrzeć się na tę postać anielską bez świadka. Siedziała przy fortepianie i przebieając dwoma palcami po klawiszach, wśród obojętnej rozmowy, zapytuje, kiedy znów będę u nich. Powiedziałem jej wówczas, że przybyłem tu, aby ją pożegnać.

— Gdzież pan masz odjechać?

— Do Warszawy; i pewnie, jeśli panią ujrzę kiedy, to już nie swobodną.

— Kiedyż pan wrócisz?

— Bogu wiadomo! Ale zdaje się, że za sześć miesięcy... albo... nigdy!

Spuściła rękę z fortepianu, i po chwili zadumania, wyrzekła te słowa:

— *Vous me trouverez libre...*

To powiedziawszy, wnet zerwała się z krzesła zarumieniona i wyszła z salonu, spotykając wchodzącą ciotkę swoją, pannę Teofilę, którą zapewne już zniercierpliwilo tak długie odosobnienie nasze. Zaledwie z nią zacząłem rozmawiać o mrozie i pogodzie, ukazuje się we drzwiach uśmiechnięta podkomorzyna z temi do mnie słowy:

— Dowiedziałam się, że masz jechać do Warszawy. Niech cię Bóg szczęśliwie prowadził A wracaj nam zdrów.

Dalej szepce mi do ucha:

— Józia pobiegła przygotować ci siurpryzę. Ma ślicznego szpica, który nazywa się Amor. Po całych dniach go pieści. Otóż teraz kazała go służącej porządnie wycesać, aby go tobie dać na stróża.

Mój Boże! jakże mnie na razie odurzonego w raj uniosła ta jej pamięć o mnie, to nazwisko szpica, który od niej ma być stróżem moim, te wyrazy babci: „wracaj nam zdrów!“—nakoniec te najmocniej utkwione w sercu i pamięci słowa: *Vous me trouverez libre...* Wszystko to zdawało się stawiać mnie u kresu najgorętszych życzeń i zaważało na chwilę wyjazdem moim do Warszawy. Lecz znów, gdy sta-

ruszka rozmawia ze mną, przywodząc sejm czteroletni, na który nieboszczyk mąż jej z województwa Kijowskiego był posłem i mieszkał czas jakiś w Warszawie, ja niby słucham, a marzę sobie: Czyliż będę śmiało oświadczając się tobie, droga babciu, z moją miłością dla twej wnuki, kiedy nie mam własnego kąta na ziemi? i czuję na to łzy w oczach. Wtem wchodzi panna Bierzyńska z małym, a jak śnieg białym szpicem na rękę i rzecze do mnie:

— Proszę przyjąć tego pieska, który bardzo jest czujny; on panu będzie w drodze wiernym jego stróżem.

Doznałem wówczas jakby upojenia od kilku kielichów mocnego trunku. Opanował mnie zawrót głowy. Nie pomnę, na jakie zdobyłem się podziękowanie, przyjmując dar tak ujmujący, wiem tylko, że z uczuciem, dobrze jej wiadomem, ucałowałem jej rękę. Gdy wszystkie zebrane w tym salonie damy zęgnąłem, miałem duszy przekonanie, że jest to chwila przesilenia mojego losu, że jak w czerwcu słońce zniża się ku ziemi, tak od dnia tego, od dnia tak niespodzianej a wysokiej dla mnie ich życzliwości, zaczyna się upadek mojego tam powodzenia. Z pieskiem na rękę wyszedłem, niosąc w sobie wieszczę a najsmutniejsze przeczucie, że w tym domu nigdy już noga moja nie postanie. Na kolanach pod futrem utuliłem szpica, pielęgnując go jako skarb najdroższy, i puściłem się do Ożarówki, gdzie rodzice moi byli zaproszeni na święta.

Mieszkała tam w bardzo podeszłym wieku skarbnikowa Garbowska, stryjenka mojej matki razem z wdową, córką swoją, Budzyńską. Oprócz naszego domu, liczne tam było zebranie familijne Budzyńskich z Wygnanki, Przewałówki, Wyszczukus i Michałówek. Kilka dni świątecznych w gronie rodzinnem najmiej mi zeszło.

Młodsza siostra moja, wtajemniczona w szcze-

góły rozmowy mojej z panną Bierzyńską, powtarzała mi codziennie:

— Zaklinam cię na wszystko, co ci jest najdroższego, abyś, uchwaj Boże, nie zamieszkał w Warszawie nad trzy lub cztery miesiące. Pamiętaj to, że te wyrazy: *vous me trouverez libre* stosują się do zapowiedzianych przez ciebie sześciu miesięcy. Gdyby co dłużej zatrzymało cię tam, wypada pisać o tem do sprzyjającej tobie podkomorzyny. Wracaj o ile można najspieszniej. Ja po tylu dowodach widzę to najjaśniej, że nie zważając na ciotki i wuja, ona już jest twoją. Gdybyś, uchwaj Boże, na oznaczony termin nie wrócił, ani też doniósł, dłaczego nie wracasz, to smutno ci będzie, gdy świat zastosuje do ciebie tę starą, jak świat, piosenkę z jej nawet imieniem: „Ja do Józi, jak kogucik, Józia do mnie, a ja ucik (uciekł).”

Na te jej słowa uśmiechając się, pokiwalem głową i rzekłem siostrze:

— Wspomniesz kiedyś, że był to najwyższy i ostatni punkt szczęścia mojego. Już dalej nie dla mnie ściele się tam droga. Ale miłość moją dla niej do grobu zaniosę.

Dobry, kochany mój ojciec, dał mi pięćdziesiąt dukatów i zapewnił mi pomoc w czasie mego w Warszawie pobytu. Dał mi tyleż zacny a kochany mój brat cioteczny, Kazimierz Budzyński, od którego przyjąłem to w sposobie pożyczki, ale mu nigdy tych pieniędzy nie oddałem, co do dzisiejszego dnia z 6% wynosi sześćset kilkadziesiąt rubli.

Kiedy kochany Kazimierz nieproszony dawał mi te pięćdziesiąt dukatów, dziękując mu, powiedziałem:

— Przyjmuję, aby ci je oddać z wdzięcznością.

— Tak—rzecze na to—oddasz mi je, kiedy będziesz miał zbywające.

I dawniej nigdy nie miałem dostatku nad istotną potrzebę, a dziś... o! wiele mi braknie! W Bogu tyl-

ko nadzieję pokładam, że On wydzwignąć mnie racy z naciskających mnie kłopotów!

Po świętach, pożegnawszy w Ożarówce zebra-
ne zgromadzenie familijne, udałem się do Bratałowa,
i z Konstantym Piotrowskim mojami końmi dojecha-
liśmy do Lubaru, zkąd odprawiwszy je razem z lo-
kajem do Szulajek, poprzestając na wspólnym Kon-
stantego służącym, puściliśmy się do Warszawy na-
jętami saniami z budą o czterech koniach u żyda,
który nas dowiózł aż do celu podróży. Dodać po-
rzeba, że w tej podróży dotknął mnie silnie wypa-
dek następny. Strzegłem jak oka w głowie najdroż-
szą pamiątkę w Amorze, który ciągle był na moich ko-
lanach. Dobre stworzenie widocznie oceniało tę tro-
skliwość, a co do mnie, jak nie miałem przywiązać
się do niego, kiedy głaszcząc go i patrząc mu w oczy,
zdawało mi się wyczytywać w nich wspólną nam
tęsknotę za jego panią. Dniem też i nocą nieodstę-
pnym był przy mnie. Tak szczęśliwie dojechaliśmy
późno wieczorem do Lublina. Tam po raz pierwszy
w życiu z wielką radością ujrzałem krążących po
ulicy żołnierzy polskich. Ale w mieście, na biedę
moją częste a głębokie wyboje, zmusiły nas wysiąść
z sani. Księżyc pięknie świecił, łatwo więc było
przejść bokiem piechotą. Nim wysiadłem z sani,
spuściłem wprzód mego pieska na ziemię, jak zwy-
kle w drodze bywało. Lecz wysiadłszy, gdym się
obejrzał, już mój Amor przepadł. Żołnierze w bia-
łych płaszczach, ciągle przechodzący w prawo i w le-
wo, byli świadkami moich poszukiwań. Badam, pro-
szę, błagam, aby mi pieska oddano. Ale pewnie
płaszcz biały, jak mój skarb drogi, już daleko po-
mknął, a ciągle nadchodzący inni ani go widzieli.
Wnet otoczył nas rój żydów faktorów, gotowych do
wszelakiej usługi. Przyrzekam najuroczyściej, że kto
z nich szpica mego odszuka i przyniesie do traktyer-
ni, gdzie mamy być na wieczerzy, temu w nagro-
dę dam dukata. Z dziesięciu ich, jedni po drugich,

znosili psy większe i małe, srokate i białe, ale Amora nie było. *Amour!* Miłość mi skradziono! Aby mieć dokładne wyobrażenie mojej ztąd żalości, trzeba pomnieć, że miał lat 25, i że Józję pierwszą szaloną miłością przez lat pięć niezachwianie kochałem. Straty tego pieska ledwie łzami nie oblewałem; wziąłem ją za niezawodą a nieszczęsną wróżbę. Jakoż sprawcą mej niedoli miał być najmniej spodziewany bogaty Ukrainiec, który, jak mi mówiła panna Bierzyńska, był nieznośnym dla niej. Dziś nie obwiniam ją o to, bo już mi wiadomo, że mdlała przy ołtarzu, gdy ją przy nim postawiono. A za całe jej życie, w mękach bez szemrania wytrwane, jak nawet przed jej śmiercią gazeta głosiła, gdzie mąż jej bezwstydnik figuruje pod imieniem „Gałka“, ztąd, że już w tę porę jak gałka ołysiał, za te oplakane jej życie, odpowiada stojący już przed Bogiem jej hardy wuj i opiekun.

Pierwszych dni stycznia 1816 roku przybywamy wieczorem do Warszawy przed hotel Hamburski. Tam przenocowawszy, nazajutrz nastreczono nam kwatere, o ile można najtańszą, na Lesznie: dwa pokoiki w pałacu Potockiego nad piętrem, na poddaszu, gdzie lubo istotnie okna z pod dachu na ulicę wychodzą, ale dość są wielkie. To mieszkanie kosztowało nas miesięcznie z opałem trzy dukaty. Murgrabia, obok nas przez sień tylko mieszkający, człowiek, jak później dał mi się poznać, bardzo poczciwy, zajął się dostarczeniem nam krawców ku pierwszemu wystąpieniu wedle miejscowej mody, należało bowiem pomnieć, że „jak cię widzą, tak cię piszą.”

Konstanty,¹ wyszedłszy na miasto, spotkał kogoś ze stron naszych, który mu oznajmił, że tu jest Feliński Alojzy, znany w kraju poeta, któremu osobście znani jesteśmy jako jego współziomkowie; był więc u niego. I tegoż dnia nad wieczorem i ja złożyłem wizytę czcigodnemu Felińskiemu. On mi

powiedział, jak licznie młodzież z naszych trzech gubernij i Litwy garnie się do wojska polskiego, że pomiędzy wielu innymi jest Jakób Cichoński, już przyjęty do gwardyi szaserów. Ale przepowiedział zarazem, że do umieszczenia się w służbie cywilnej wielkie mogą być trudności, bo mnóstwo z odstawnych oficerów ciśnie się do biura. Badał mnie, jakie miejsce życzyłbym sobie otrzymać.

— Jakie dać mi raczą — powiedziałem mu; — przyjmę.

Uśmiechnął się, ścisnął mnie za rękę i rzecze:

— Z takim usposobieniem, zdaje się, że tu zostaniesz. Proszę, bądź u mnie po dopełnionej wizycie u namiestnika.

Feliński wówczas zajmował się wydaniem pierwszego tomu pism swoich prozą i wierszem, gdzie on pierwszy właściwie objawił nam użycie joty.

Za pośrednictwem znajomych z Wołynia porobiłem niektóre z młodzieżą znajomości. Konstany poznał mnie ze swoim kolegą z uniwersytetu wileńskiego, z najzacniejszym Litwinem, Karolem Czarnockim, który był wiernym moim do śmierci przyjacielem. Krawiec przyspieszył ubranie Konstantemu i ten pierwiej niż ja był u namiestnika. Wrócił niezupelnie zadowolony. Generał Zajacek, odczytawszy list prezesa Proskury, na którym z wielką ufnością polegał Konstany, przyrzekł wprawdzie upatrzeć jakie miejsce dla niego, ale zarazem uprzedził, że niełatwo to nastąpić może. We dwa dni później, wezwawszy Boga na pomoc, pojechałem do namiestnika. Dwaj żołnierze z bronią u drzwi na warcie, nie badając kto jestem, dali mi wolne do pałacu wejście. W pierwszej sali zastałem siedzących po kanapach i krzesłach kilku generałów i pułkowników; gdym się im ukłonił, podbiega ku mnie młody oficer i pyta, kto jestem i czego żądam. Powiedziałem mu moje nazwisko i że mam potrzebę widzieć się z panem namiestni-

kiem. On odszedł do drugiego pokoju, którego drzwi były przymknięte, a ja, widząc najbliższ wolne miejsce przy jakimś pułkowniku, usiadłem przy nim na kanapie. Zaledwem się usadowił, mój sąsiad, pan pułkownik, powitał zjawienie się tam moje temi słowy, zwróconemi do siedzącego obok generała:

— Mój Boże! Młodzież ze wszystkich prowincyj całej niegdyś Rzeczypospolitej ciśnie się dla zajęcia miejsc w służbie cywilnej, bez względu na to, że tu bez nich są równie, a może i lepiej usposobieni i, jako miejscowi, z większem prawem do tego!

Płomień uderzył na twarz moją, spuściłem w dół oczy jak winowajca, a wtem dyżurny oficer wraca i głośno rzecze:

— Generał namiestnik wzywa pana Konopackiego.

Podniosłem się jakby po różgach, silnie znękany przez pułkownika; wchodzę i zastaję siedzącego za stolikiem starca o poważnej twarzy, o siwych włosach i takimże wąsie, z zakrytymi futrem nogami. Ukłoniłem się tem pokorniej, że w myśli tkwiły mi ostre a słuszne wyrazy w sali słyszane. Namiestnik łagodnie przemówił:

— Zapewne to o panu chlubnie wspominał w liście do mnie pan prezes Proskura?

— Być może—odpowiedziałem—bo znany mu jestem; ale mam list do pana generała od wołyńskiego marszałka gubernialnego, generała Giżyckiego, który mam zaszczyt mu złożyć.

Oddałem go, nie wiedząc jeszcze o szczegółach tego listu. Gdy odczytał, zwraca badawcze spojrzenie ku mnie i jakby zdziwiony, rzecze:

— Jako? pan tak młody, a już zjednałeś sobie ufność współobywateli i z ich wyboru spełniałeś trzy lata ważny urząd sadowniczy?

— Tak jest; byłem trzy lata podsędkiem sądu ziemskiego, i na drugie trienium obrany. uwolniłem

się, bo nad ten urząd przekładam niższą jakąbądź usługę.

— Bardzo miło mi będzie, o ile można, tak szlachetnym uczuciom dopomódz. Znam wagę urzędu, w jakim pan byłeś, bo wiadome mi są dawniejsze prawa nasze, wedle jakich trwają i dziś sądownictwa w tamtych guberniach; ale nim obmyślę coś stanowczego dla pana, proszę powiedzieć mi, czy pan masz tu jakie znajomości?

— Nikt nie jest mi tu znany z mieszkających stale w Warszawie.

— Jeśli tak, proszę pana, racz u mnie bywać. Miewam u siebie co czwartek dość liczne wieczory; pan porobisz u mnie znajomości, które mu przydać się mogą.

Uklonem tylko podziękowałem za tę jego grzesność. On zaś dalej tak ciągnie:

— Co do miejsca, proszę być cierpliwym; najdalej za dwa tygodnie objawię panu, co dla niego upatrzę, aby to było odpowiednie urzędowi, jaki już spełniałeś.

Pożegnawszy go niskim uklonem, wyszedłem. Przechodząc przez salę, gdzie byli już widziani generałowie i pułkownicy, udarowałem ich lekkim uchyleniem głowy i, jakby po kąpielu, wracam do siebie. Gdy dosłownie rozmowę moją z Zajączkiem opowiedziałem Piotrowskiemu, ten mi na to:

— Okazuje się, że chociaż on w ściślejszej i dawniej jest przyjaźni z moim wujem Proskurą, przecież mniej zda się obojętności objawił względem ciebie niż ja jej doznałem. Przyrzeczenie dał wprawdzie, ale jakoś cedził przez zęby, jakby nierad odezwie przyjaciela za mną i jakby niepewny, czy będzie mógł coś zrobić. Zaprosiny na czwartki i mnie się dostały, ale ja nie myślę czasu tracić na to, wolę zamknięty u siebie uczyć się angielskiego języka.

— I ja—rzekłem—na czwartkowe tam wieczory dojeżdżać nie będę. Czekam tylko terminu ozna-

czónego. Po dwóch tygodniach dowiem się, czy mam tu pozostać, czy wrócić do domu, ale wprzód obejrzę wszelkie stołeczne osobliwości.

Zdałem raport Felińskiemu o nadziejach, opartych na grzeczności namiestnika. Ale Bóg tylko wiedział o mojej głupocie, że lubo przybyłem z chęcią zahaczenia się o jakibądź obowiązek, przecież ta jedynie myśl przemagała, aby przed sześciu miesiącami wrócić na Wołyń.

Codziennie bywałem na obiadach w licznie uczęszczanym hotelu Hamburgskim i tam obszerniejsze z młodzieżą porobiłem znajomości. Poznałem Ignacego Kołyskę, który po odbytej kampanii już był wówczas w gwardyi kapitanem artyleryi. Jego stryjcem, znanym w kraju, był generał Kołysko. Będąc raz u kapitana Kołyski, zastałem świeżo przybyłego z naszych stron Edwarda Krajewskiego, którego ojciec, stolnik Antoni Krajewski, był sąsiadem moich rodziców. Edward wahał się, czy ma wejść do służby wojskowej i w końcu zaniechał tego projektu, lecz bawił jeszcze kilka miesięcy w Warszawie. W ciągu mojej niepewności przez dwa tygodnie zwiedziłem galerię malowideł w pałacu hr. Ossolińskiego, a wieczorami koleją teatr i koncerta czas mój zajmowały.

Piotrowski znów przedemną był u namiestnika i wrócił pozbawiony wszelkiej nadziei. Nie badałem go o szczegóły, dość na tem, że żadnego nie otrzymał miejsca. Nie mogłem i ja lepszego spodziewać się powodzenia, a w duchu rad byłem, że wróce, gdzie młodzieńcze serce ciągnie mnie gwałtownie, gdzie obiecano czekać powrotu mego przez sześć miesięcy, tembardziej kiedy, jak prawdopodobny pułkownik wcale w obecności mojej nie miał, że tu nie są nam radzi. Z tem wszystkim trzeba powtórnie ważyć się na podobne czyjeś przymówki i być jeszcze u namiestnika. Tym razem, dzięki Bogu, nie

zastąpiłem w sali żadnego z tych wojennych dostojników. Młody tylko ten sam oficer, poznawszy mnie w sali, już nie meldując, wprowadził do namiestnika Starzec zapomniał już o mnie. Przypatrywał mi się jakby nieznanemu. Powtórnie kłaniając mu się, powiedziałem nazwisko moje.

— A! przepraszam, przepraszam! Przy tylu zajęciach trudno mi o rzeczach ubocznych pamiętać. Upatrzyłem miejsce dla pana, o które wprowadzicie do bicia się kilku odstawnych oficerów, ale pan był już urzędnikiem. Ufność współobywateli świadczy, żeś był jej godnym, kiedy pana powtórnie do tego urzędu powołali. Ztąd i ja, ufając jego szlachetności, zdaję się na sumienie pana: Oto było wojska nasze go w początkach ostatniej wojny prawie trzy razy tyle, co teraz będzie. Ztąd nie wszyscy oficerowie, przy życiu pozostali, mogą w tejsze służbie swoje zająć stanowiska. Wielu z nich okazuje się uzdolnionymi do urzędów cywilnych. Czy pan zechciałbyś odebrać chleb konieczny takim, którzy krew przelewali pod Smoleńskiem, pod Możajskiem, pod Borodino i t. p.?

— Panie generale!—rzekłem — proszę łaskawie przyjąć najszczerze chęci moje służenia pod jego zarząd. A na zrobione mi zapytanie z podobną szczerością odpowiem, że rad jestem, iż zasłużeni w kraju kosztem krwi swojej mają przewagę nademną; wolny bowiem od wyrzutów sumienia, wrócić na Wolyń.

— Takiej odpowiedzi spodziewałem się po szlachetności pana; i stosowny do tego list mój do generała Giżyckiego jest już gotowy.

Wskazał go na serwantce oficerowi i ten mi go podał. A ja uniżenie skłoniwszy się, z głupią radością w duszy, odjechałem na kwaterę.

— A co?—pyta mnie Piotrowski.

Opowiedziałem mu całą rozmowę z namiestnikiem. A on na to:

— Zręczniejszy był się ciebie niż mnie. Przede mną ani wspomniał o tych oficerach bez chleba; krótko się wyraził, że boleje nad tem, iż na wpływy tak drogiego mu przyjaciela, Proskury, żadnego dla mnie miejsca upatrzeć nie może.

Zacząłem w samotnem dumaniu zastanawiać się nad mojem położeniem: czy w ostateczności, w jakiej zawód tu doznany mnie stawi, mam nie zważać na zaklęcia matki, która, znając wątłe moje zdrowie i wzrok krótki, błagała, abym nie zaciągał się w Warszawie do wojska; czy też uleść tęsknocie za Wołczyńcem, gdzie chociaż mam łudzącą zyczliwość, ale najmniejszej dzierzawy mieć nie mogę, gdziebym przyjął cel moich tyloletnich starań o własnej misce i łyżce, i nadto, opiekun jej, mój wróg, jak odkrył przedemną jej brat Świętosław, pewnie mnie nie dopuści do szczęścia, a więc marne wzdychania w próżniactwie zajmą resztę lat młodych. W takich rozważaniach, po długim wahaniu się, postanowiłem przeprosić matkę i wejść do gwardyi polskiej w pieszym jej pułku, gdzie już mam znajomych oficerów. W tej myśli zasnawszy, nazajutrz rano, o zwykłej na to godzinie, poszedłem na Krakowskie Przedmieście, aby w czasie wojennej parady na placu Saskim jeszcze się przypatrzeć manewrom żołnierskim. Stałem tam obok młodzieży cywilnej, między którą miałem znajomych, i z myślą o mojem postanowieniu, patrzę zdaleka na rozmaite pułku pieszego obroty. Ehl! dumam sobie, to nic łatwiejszego!

We dwa dni później spotkałem na ulicy Felińskiego. Gdy mu opowiedział, na czem się skończyła obietnica Zajączka, on zapytał:

— Cóż teraz myślisz zrobić z sobą?

— Oto, przypatrując się paradzie na placu Saskim, już marzyło mi się wejść do gwardyi pieszej, lubo szczerze mówiąc, nie mam wytrwałego zdrowia, ani powołania do tego stanu.

— Postanowiłem jednak wrócić do domu, lecz zabawię tu jeszcze ze trzy tygodnie.

— Ej, przyznaj się! czy nie śpieszysz ty do kogo w naszych stronach, jak wnoszę z pięknych wierszyków, które z wielką przyjemnością czytałem?

Na te badania objawiłem otwarcie moje położenie w tym przedmiocie, najmniejszych nie tając szczegółów o bytności tam mojej dla jej pożegnania. On uściskał mnie za tak poufne zwierzenie się i rzecze:

— Słodkie zrobiłeś mi przypomnienie szalów lat moich młodszych. Wszystko to szlachetnie, wszystko dobrze czynisz. Staw się tam za sześć miesięcy, a Bóg dobry zamiarom twoim tak pobłogosławi, że wszelkie pokonasz trudności. Ale tymczasem te kilka miesięcy są jeszcze twoje, możesz tu rozporządzić niemi z użytkiem i chwałą. Zatrzymaj się przeto. Proszę tylko, abyś to, co ci powiem, zachował dla siebie. Kostuś Piotrowski, poczciwy, zacny, pięknie ukształcony; ale on, polegając na wstawieniu się Proskury, zdaje się, że za wysoko sięgał; nikt w latach tak młodych nie został odrazu senatorem lub ministrem, choćby miał najwyższe usposobienie. Ty, jak uważam, poprzestaniesz na tem, co na pierwszy wstęp da się otrzymać. Oto wskutek traktatu wiedeńskiego ma tu być komisya trzech dworów dla uregulowania handlu i żeglugi we wszystkich prowincjach, jakie składały niegdyś rzeczpospolitą polską. Zasiadać w niej mają dostojnicy z Rosyi, Austrii i Prus, a cesarz Aleksander I dodał do nich czterech z takąż władzą Polaków, pomiędzy którymi mianował mojego od szkół przyjaciela, Jana hrabiego Tarnowskiego z Dzikowa, referendarza Królestwa Polskiego, który jest ożeniony z Wołynianką Strojnowską z Orochowa, córką senatora. Jeszcze on tu nie przybył, lecz w tych dniach jest spodziewany. Komisya ta trwać ma nie dłużej, jak trzy lub cztery najmniej miesiące, jak pisał do mnie Tarnowski.

Ja mieszkam w najętym przez niego pałacu. Dowiaduj się do mnie; skoro go zastaniesz, wstawię się za tobą. Oni potrzebować muszą młodzieży. Może ci się uda otrzymać tam obowiązek sekretarza. A tak, nic nie stracisz tam, gdzie serce cię pociąga, i tu czas wolny zużytkujesz.

Serdecznie podziękowałem Felińskiemu za ten dowód jego zyczliwości, a nic nikomu nie mówiąc, niecierpliwie dni kilka oczekiwałem hr. Tarnowskiego. Raz, było to jeszcze w lutym 1816 roku, wchodzę do Felińskiego i w pierwszym pokoju widzę, że ktoś nieznamy kończy ubranie swoje. Chciałem wnet cofnąć się i wyrzekłem słowo: przepraszam. Lecz w drugim pokoju Feliński poznał mój głos, zajrzał i odezwał się:

— Oto jest Wołynianin, o którym tobie, panie hrabio, mówiłem. Bądź łaskaw, nie odmawiaj mu swojej protekcji, bo wart jest.

Hrabia na to:

— Bardzo rad będę dopomódz memu współziomkowi, bom i ja w części Wołynianin. Komisyja, w której dziesięciu ma nas zasiadać, interesuje wszystkie prowincye całej niegdyś Polski, jaka była przed pierwszym dniem stycznia 1772 roku, to jest przed pierwszym jej rozbiorem. Już wszyscy moi koledzy z Rosyi, Austryi i Prus zjechali się. Wkrótce komisyja rozpocznie swe czynności. Wczoraj pan starosta Kicki mówił mi, że mamy już młodzież biegłą w obcych językach do wydziału Królestwa Polskiego, do Galicyi i do Księstwa Poznańskiego z Prusami Zachodniemi. Do wydziału prowincyi, niegdyś polskich, pod panowaniem Rosyi zostających, pan możesz być przeznaczony. Lecz nie wypada mi samemu decydować o tem. Na następną niedzielę zaproszę tu wiekiem i powagą najstarszego kolegę, starostę Kickiego. Racz pan w tym dniu, przed południem, przynieść tu przekład przez siebie zrobiony z polskiego języka na francuski, z jakiegobądź dzieła

artykuł niewielki, aby nam okazać stopień na to miejsce jego usposobienia. Wszak pozostałe trzy dni wystarczą na to. A proszę nie zapomnieć, że i oryginał polski dla sprawdzenia będzie potrzebny.

Ktoś z dygnitarzy polskich nadjechał do hrabiego, a ja pożegnany złożonywszy ukłon, udałem się na Miodową pod filary do księgarni starego Mikołaja Glüksberga, którego już wprzódę poznałem, i tam wyszukując z katalogu książki polskiej w przedmiocie komisji, kupiłem dzieło, które mam dotąd, biskupa Waleryana Strojnowskiego, pod tytułem: „Nauka prawa przyrodniczego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów;“ z tego dzieła, części trzeciej, artykuł o handlu, obrałem do przetłumaczenia na język francuski. Niepewny siebie, czy niektóre wyrazy w przedmiocie handlu nie będą dla mnie trudnymi do wykładu po francusku, wziąłem na dni kilka z tejże księgarni jakiś mały słownik. Na czas oznaczony wygotowałem moje tłumaczenie, poniosłem je z oryginałem Felińskiemu do przejrzania. Lecz nie zastałem go, wyszedł już do pokoju hrabiego, gdzie przybył i starosta Kicki. Pan hrabia raczył mnie łaskawie zaprezentować staroście. Był to człowiek wiekowy; miał swoje zasługi za czasów Stanisława-Augusta, przy którym był czynnym sekretarzem do ekspedycji zagranicznych. Ztąd nadano mu starostwo krasnostawskie i przy Św. Stanisławie błękitną wstęgę Orła Białego. Małego był wzrostu, twarzy latami już sfałdowanej, lecz w jej rysach piętnowała się ujmująca słodycz, świadcząca o jego dobroci, której potem tylekroć dawał mi dowody. Przedstawiłem panu hrabiemu mój przekład z oryginalnym dziełem biskupa Strojnowskiego, który był bratem senatora, a ojca pani hr. Tarnowskiej. On dał je pod rozpoznanie panu staroście. Ten, po przeczytaniu zauważył to jedynie, iż niewłaściwie zakupnia nazwałem po francusku *courtier*. I oba z panem hrabią długo obmyśleć nie mogli właściwego na

to wyrazu, w czem i Feliński, biegły w tym języku, darmo usiłował im dopomódz. Później z dzieł francuskich przekonałem się, że *courtier* znaczy niby pośrednik, niby dziewczę, a wyraz przekupień, jest toż samo co *revendeur*, albowiem kupuje, zby z korzyścią odprzedać.

Tak więc po tej próbie zostałem przyjęty na sekretarza do wydziału prowincyi, będących pod berłem państwa rosyjskiego. Starosta oznajmił mi, że moimi kolegami są następnii: Bruno hrabia Kiciński, syn kasztelana Piusa hrabiego Kicińskiego, Antoni Borzewski, syn obywatela Księstwa Poznańskiego, i Józef Brykczyński, z Królestwa Polskiego; wszyscy trzech biegli w kilku obcych językach, że oprócz wymienionych, jest sekretarz rosyjski, rodem Niemiec, zamieszkały w Petersburgu, a należący tam do ministerstwa skarbu, Waltz.

Upredził mnie starosta Kicki, że jak koledzy moi, tak i ja, brać będziemy pensyi miesięcznej po dukatów dziesięć. O tej pensyi, podniesionej później dla mnie do dukatów piętnastu miesięcznie, później powiem.

Miejsce dla komisyi było wyznaczone w zamku królewskim; dwie na to były sale: jedna do naszej pracy, druga na sesye panów komisarzy, z których Polacy byli następnii: August Kicki, starosta krasnostawski, później kasztelan; Jan hr. Tarnowski, referendarz, później także kasztelan; Okołów, za czasów rzeczypospolitej konsul w Gdańsku, i pan Wulfers. Rosyanie: generał Bajkot, baron Lewesztern i Wirst; z Austrii jeden tylko Czech, Szaszek; z Prus dwóch jakichś dygnitarzy, ozdobionych orderami, a których nazwiska wyszły mi z pamięci. Każdy z tych dziesięciu komisarzy po kolei, zmieniając się za każdym nowym artykułem traktatu, po starszeństwie wieku przysyłał. W dni kilka po tej ostatniej rozmowie z panem Kickim u-hr. Tarnowskiego, rozpoczęły się czynności komisyi. Na pierwszej sesyi zabrałem zna-

jomność z kolegami moimi. Kiciński, protegowany przez starostę Kickiego, który był w przyjaźni z jego ojcem, gdy w młodości oba zostawali przy dworze Stanisława Augusta, miał bezpłatną a okazałą kwatery w zamku królewskim.

Kiciński zwykle przychodził na sesye z Owidyuszem pod pachą, którego „Metamorfozy“ na wiersz polski tłómaczył. Dał się poznać już wprzódy z tłómaczenia poematu humorystycznego, który przypisywano Homerowi, pod tytułem „Batrochomyomachia,“ czyli wojna żab i myszy z języka greckiego, który znał gruntownie, zarówno jak z nowożytnych niemiecki i francuski. Drudzy dwaj koledzy moi byli podobnie literatami: Antoni Borzewski tłómaczył z angielskiego „Macpherzona,“ poemat (jakoby) Ossyana, drukowany w „Pamiętniku Warszawskim“ Bętkowskiego; Józef Brykczyński przełożył na wiersz polski komedye Racina p. t. *Les plaideurs* (Pieniaczce), a odznaczał się biegłością i w powyższych dwóch starożytnych językach.

Niebawem zaprzyjaźniłem się z młodymi towarzyszymi. Przy wysokim ukształceniu słodycz ich charakteru do życzliwych pociągała mnie ku nim stosunków. Kiciński wkrótce za moim wpływem szukał znajomości z Felińskim, a ten mu odkrył, że i ja niby do rzędu poetów należałem. Deklamował przed nim moje wierszyki do J. B., i powiedział, że one są umieszczone w „Tygodniku Wileńskim“ z roku 1815 z podpisem S. K. Bruno wynalazł w jakiejś księgarni ów numer „Tygodnika“ i pokazał go krewnym swoim, staremu Lelelewowi, ojcu Joachima, i ciotce swojej, pannie Cieciszewskiej, która, jako w poważnym już wieku, była opiekunką siostrzeńców swoich, Łuszczewskich, dzieci zmarłego w roku 1812 ministra spraw wewnętrznych i wyznań z czasów Księstwa Warszawskiego. Z pomiędzy tych dzieci córka jedyna Konstancya, panna w latach szesnastu, już umiała moje wiersze do J. B. na

pamięć. Bruno Kiciński poznał mnie potem z temi domami krewnych swoich. Następnie bywałem z nim u panny Cieciszewskiej w domu przy ulicy Długiej, niekiedy i sam nawiedzałem tę rodzinę jedynie dla przyjemności przyzwoitego towarzystwa. Tam raz byłem prezentowany radcy stanu, panu Netrebskiemu, który opiekował się funduszami osieroconych Łuszczewskich. Trzeba przyznać prawdę, że gdyby serce moje nie uwięzło było od roku 1810 na wieczność w Wołyńcu, Bogu tylko wiadomo, czy nie przylgnęłoby do miluchnej, pięknie wychowanej i dobrej dla mnie Kostusi. Czytywałem tam niekiedy dla niej i dla jej ciotki książki świeżego wydania, bądź polskie, bądź francuskie, i zawiązała się moja z tym domem wzajemna życzliwość, bez najmniejszego pozorów z mojej strony, abym czynił zabiegi o rękę panny Łuszczewskiej. Ztąd mocno byłem zdziwiony w roku 1820, to jest w trzy lata po moim wyjeździe z Warszawy, odebrawszy list przyjacielski od jej ciotecznego brata, Brunona Kicińskiego, w którym mi, żartem niby, czyni wyrzut, żem ją zbałamucił. Był to już drugi list jego ze wzmianką o niej; pierwszy z nich dnia 13-go grudnia 1817. W tym donosi mi, że ojciec jego kasztelan zamieszkał w Warszawie i ztąd pisze:

„Co za szczęście moje! Niczego mi nie brakuje, tylko ciebie. Przyjeżdżaj, luby przyjacielu, bo jeżeli nie przyjedziesz prędko, to ja się pośpieszę i zabiorę ci Kostusie, która codzień jest piękniejszą.“

Kończy list temi słowy:

„Ty i Feliński wzięliście miłość i przyjaźń naszą na Wołyń“ i t. d.

Ten list po latach więcej niż półwiecznych zatrzymał się pomiędzy korespondencyami z lat dawnych; temi dniami pokazywałem go dzieciom i wnukom moim z rzewnem rozpamiętywaniem stosunków z nieżyjącym już od lat trzydziestu Kicińskim. On po tym liście, jak mi mówiono, chciał isto-

nie ożenić się z Kostusią; lecz wujeczny dziad ich obojga, biskup łucki, ksiądz Cieciszewski, kapłańską uwagą na blizkie ich pokrewieństwo wstrzymał ich od tego związku. Matka bowiem Brunona i matka panny Konstancyi Łuszczewskiej były rodzone pomiędzy sobą siostry, a synowice biskupa. Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), sławna dziś improwizatorka, jest córką jednego z Łuszczewskich, którzy tam przy mnie byli małoletnimi.

Co do zajęć naszych, jako sekretarzy komisji handlu i żeglugi, dawano nam do tłumaczenia na język francuski przedstawienia, robione komisji na piśmie przez członków wyłącznie, lecz bardzo rzadko bywało to obowiązkiem kolegów moich. Co do mnie, tłumaczyłem na tenże język dokumenta polskie z archiwum Królestwa zapotrzebowane; układałem wedle objaśnień członka komisji, pana Okołowa, nowe taryfy celne, który to przedmiot był najważniejszy dla niego, jako konsula niegdyś gdańskiego. Nad to zaś, ponieważ na biedę moją wyraźniej pisałem, niż moi koledzy, przeto dość częste raporta komisji od cesarza Aleksandra I-go w języku francuskim z pod mojej ręki wysyłane były.

Dla wszelkich postanowień komisji prawidłem były punkty traktatu wiedeńskiego, który nadał jej moc nietylko regulowania i załatwiania handlu i żeglugi w polskich niegdyś prowincjach, ale nawet unieważniać dawne jakiegobądź przywileje, tamujące handel. Owe wszystkie punkty traktatu zgodnie w komisji rozwiązywały się i postęp w jej czynności tak był znaczny, iż w ciągu czterech miesięcy (prekluzyjnego dla mnie terminu w Wołyńcu) mogła być zupełnie ukończoną; lecz gdy z kolei wzięto pod rozwagę przywileje z czasów rzeczypospolitej, służące Gdańskowi, wnet polscy komisarze przedstawili wielką dla Polaków uciążliwość w tem, że wedle tych przywilejów, nabytych przez mieszczan gdańskich u królów polskich, nikt z mieszkańców prowincyj, składających

niegdyś Rzeczpospolitą Polską, nie może sprzedawać swoich produktów lub towarów leśnych kupcom krajów zamorskich wprost od siebie, lecz musi je zbywać Gdańszczanom, którzy dla własnej korzyści płacą po cenie o wiele niższej, i dlatego na zasadzie traktatu wiedeńskiego, uznawali konieczną potrzebę zniesienia tych przywilejów; pruscy zaś komisarze, upornie powstając przeciw temu Polaków żądaniu, gdy dostrzegli, że nikt się z nimi nie łączy, oświadczyli na koniec, że rozwiązanie tej kwestyi przechodzi władzę im nadaną od ich króla i że dlatego wypada im odnieść się w tym przedmiocie do Berlina. Komisya przymuszona była zezwolić na zawieszenie dalszych działań do czasu odpowiedzi od króla pruskiego. Nie było jeszcze wówczas ani dzisiejszych telegrafów, ani kolei żelaznych.

Nie pomnę już, ile tygodni byliśmy bezczynni. Z Berlina niezawodnie wysłane były odniesienia się do Wiednia i do Petersburga; zwykłe bowiem od stu lat te trzy dwory łącznie o naszym losie stanowią. Dla niektórych przecież artykułów traktatu, co do urządzeń wewnętrznych, jako to ułatwienia spławności rzek i kanałów, panowie komisarze zgromadzali się niekiedy na sesye. Wszystko jednak w oczekiwaniu na odpowiedź króla pruskiego zółwim postępowało krokiem.

Pewnego razu w ciągu owego zatamowania czynności starosta Kicki, wychodząc z sesyi, zaprosił mnie na obiad, na świeżo przywiezione z Hamburga ostrygi. Ja wieśniak, nietylko nie znałem smaku tych z imienia wiadomych mi łakoci, lecz nawet nie wiedziałem, jak się one spożywają. Przybywszy do starosty, zastałem cały komplet komisyi. Szczęściem dla mnie, byłem nie pierwszym z powagi gościem, jak na moich u Wołynianów podsędkowskich kondescencyach. Starszyna, której wprzód półmiski podawano, nauczyła mnie, jak z temi skorupiakami i z cytryną do nich postąpić. Lecz oderwawszy łyżką od

skorupy i wzięwszy do ust tę skropioną sokiem cytryny najobrzydliwszą potrawę, nie wiem, jak dałbym sobie radę, gdyby nie gotowy przedemną kieliszek wina, który ułatwił przełknięcie cuchnącego błotem, flegmistego przysmaku. W ciągu tej uczty, po której wstyd fałszywy nie dozwolił przyznać się przed obecnymi tam kolegami, że pierwszy raz w życiu, a pewnie i po raz ostatni jadłem ostrygi, ważna zajęła nas rozmowa pomiędzy komisarzami zawsze w języku francuskim w przedmiocie przywilejów gdańskich. Utkwiła mi też w pamięci tak silnie, że dziś, po upływie lat 56, na pamiątkę mogę ją tu dosłownie zapisać.

Jeden z Prusaków, dość wymowny, przedstawił naszym ich jakoby nierozwagę:

— Panowie—rzekł—zapominacie, że znosząc przywileje Gdańska, sami się ponizacie. Bo wszakże, jeśli nadania królów waszych, służące Gdańskowi, tak wam łatwo unieważnić, w cóż się obróci ważność waszego klejnotu, najdroższego wam, to szlachectwa, przez królów nadanego? Sami wprowadzacie przykład, że podobniez jednym pociągnięciem pióra można zniżyć was do chłopów, bo żadnej świętości nie przywiązujecie do podpisu królów.

Na to Polak, prawdomówny Okołów, głośnym przerwał mu śmiechem i rzecze:

— Naprzód, niech Giermania nie troszczy się o nasze szlachectwo! My je winniśmy nie fantazyi i upodobaniu królów, lecz istotnym przodków zasługom, uznanym przez cały naród, czyli przez jego reprezentantów na sejmach. A co do świętości podpisów królewskich, jak pan ważysz się tu wspominać o niej, tu w stolicy naszej, to cóż było świętszego nad całość naszej Rzeczypospolitej, traktatami monarchów i waszego króla pruskiego zapewnioną? *et cependant!*

Tu uciął i kiwając głową, z pogardą utkwiał oczy w Prusaka. Gospodarz poważnie głos zabrał dla uśmierzenia zatargu:

— Nie sięgajmy do praw nam służących z pod dawniejszej daty. Na to otwarte jest pole w dziejach narodów. My dziś, upoważnieni przez świeży traktat wiedeński, upominamy się o zniesienie przywilejów gdańskich, jako tamujących nasz handel. Dozwolił unieważnić je ów traktat 1815 roku, podpisany przez wszystkich monarchów Europy.

Po tej uwadze gospodarza spór ucichł pomiędzy stronami.

Sędziwy starosta Kicki, człowiek majątny, wybornego miał kucharza, a lubił towarzystwo młodzieży, rząd często zapraszał nas czterech na obiady, jako sekretarzy komisji. Ten tytuł przyznał nam i cesarz król Aleksander I-y, w patentach własnoręcznie podpisanych na order Św. Stanisława. Był oprócz nas niemieccki sekretarz, którego nazwiska nie pomnę. Był i rosyjski, zruszczony Niemiec, Teodor Waltz, Lecz ci obadwa nie bywali nigdy zapraszani na obiady przez starostę Kickiego. Nie byli też i na owej pamiętnej mi uczcie i z obrzydłych ostryg i z ważnej dyskusji. Ten tytułarny sowietnik, rodem germano-rus, w latach około trzydziestu, wierny był obyczajom niemieckim. Żyłem z nim w przyzwoitych stosunkach; on zaś więcej niż ku moim kolegom skłaniał się ku mnie, może rząd, żem był z pod panowania rosyjskiego. Raz mnie zaprosił na obiad do najdroższej restauracji Francuza, Chauveau. Nie mogłem mu odmówić, a wcale nie byłem rad tej grzeczności, bo ciągnęła za sobą konieczne kiedyś wyzwajemnienie, co niepotrzebnym było dla mnie kosztem. W tej restauracji, pan radca nie zasięgając mojej rady, jako mój Amfitryon, sam wybiera z jadłospisu drogie likiery, wino, konfitury i cały obiad z najwykwitniejszych przysmaków i potraw złożony. Po skończonej uczcie garson przedstawia mu *carte payante*. Mój radca, dobywszy ze swego woreczka dwa dukaty, mówi do mnie, abym dał tyleż. Zapłaciłem, śmiejąc się w duchu z takich niepolskich zaprosin, a za to nigdy

z mojej strony nie wzywałem go na podobny z niemieckim rachunkiem obiad.

Gdy komisya, z przyczyny uporu Prusaków, nad wszelkie spodziewanie przeciąga się, ja, mając zawsze w głupiej pamięci mój termin sześciomiesięczny, na biedę przezemnie w Wołczyńcu oznaczony, postanowiłem donieść tam, że ważna okoliczność może mnie w Warszawie zatrzymać o kilka miesięcy dłużej. Zdawało się, że i tam nie pochwalonoby mego postępu, gdybym odjechał przed ukończeniem komisyi, tak zajmującej nasze prowincye. Wyjaśni się ta korespondencya moja w następnym roku.

Przybyła do Warszawy z Wołynia, ze wsi Czetwertni, krewna mego ojca, z domu Rohozińska, która owdowiaszy po księciu Czetwertyńskim, wyszła za pułkownika Urbanowskiego. Dowiedziawszy się ona od znajomego mi pułkownika gwardyi, Benedykta Zielonki, że jestem w Warszawie i gdzie mieszkam, przysłała swego lokaja z karteczką, wzywającą mnie do siebie. Było to wieczorem. Zastaję u niej pułkownika Zielonkę i jeszcze dwóch nie znanych mi, z których jeden miał przy fraku cywilnym polski krzyż wojenny.

Po serdecznych powitaniach, kochana ciotka moja Urbanowska, żywa i wesola, jak zawsze, zapytuje:

— Powiedz nam naprzód, co przez cały dzień dzisiejszy robieś?

— Ponieważ idzie o wszystkie szczegóły, nie mogę przeto utaić — rzekłem — konfuzyi, jaka mnie dzisiaj rano spotkała. Oto w przejściu ulicą na śniadanie zachciało mi się zajrzeć po drodze do starego księgarza Dombrowskiego. Zastaje tam kogoś w porządnym ubraniu który, stojąc przed półką, zapchaną książkami, zdaje się szukać pomiędzy nimi potrzebnego mu dzieła.

Zbliżam się do stołu, gdzie w różowym papierze broszurowane widzę książki, w małym a jedna-

kowym formacie. Spójrzałem na tytuł, znalazłem dawno mi znajome romansowe powiastki Floryana w tłumaczeniu polskim, świeżo wyszłe z druku. Przyszło mi powiedzieć księgarzowi: Czemu ci tłumacze nie odważają się pisać nam oryginalnych w naszym języku powiastek? Po co tłumaczyć Floryana? Dzieła jego znane są prawie wszystkim w oryginale. To tłumaczenie służyć ma niby dla nieumiejących po francusku, a któż dziś tego języka nie zna, chyba jakiś piwowarczyk? Na to ów jegomość w kapeluszu, w modnym migdałkowym surducie, nie zwracając twarzy do mnie, odezwał się:

— Dziś nie jeden piwowarczyk lepiej zna ten język, niż jaśnie wielmożni i wielmożni panowie.

I powiedziawszy to, wyszedł. Pytam księgarza, kto to jest? On mi na to:

— On to wziął widać za przymówkę do siebie, bo choć piwowarczyk, ale w tutejszem liceum jest profesorem języka francuskiego, nazywa się Zieliński.

Gdy skończył to opowiadanie przed panią Urbanowską, ów jegomość z krzyżem polskim odezwał się:

— Nic to nie szkodzi! On jest istotnie synem piwowara, a rodzonym bratem mojej żony, ale bardzo zacny człowiek.

— O, do licha — pomyślałem sobie — wpadłem z deszczu pod rynnę.—Ciotka zapytała mnie:

— Czy nie znacie się z panem kapitanem Wołyniakiem?

— Nie mam — rzekłem — tej przyjemności.

Wymieniła mu moje nazwisko, a zwracając się do mnie mówi:

— To kapitan Mossakowski, który po dopełnieniu zaszczytnie usłudze dla kraju wzorowo postąpił, iż nie zważając na pochodzenie swej żony, uznał ją godną siebie z dobrego wychowania, a wziął w posagu kamienicę, czyniącą mu dochód, jakby zwykły dochód od dwóch kroć sto tysięcy ziotych.

W tem towarzystwie resztę wieczoru u mojej ciotki Urbanowskiej najmilej spędziłem.

Nadjechał do Warszawy krewny Konstantego Piotrowskiego, Józef Proskura, który zaproponował mi podzielenie się swoim mieszkaniem, gdzie będzie mógł w osobnym pokoju oddać się dogodnej nauce języka angielskiego. Ztąd od kilku dni, gdy wspólny lokaj Konstantego przeniósł się z nim na inną kwatere, nim upatrzyłem służącego, pełnił tymczasowie ten obowiązek chłopiec dozorca pałacu, w którym mieszkałem. Niebawem przychodzi do mnie Konstanty z nieznanym dla mnie zda się obywatelem, o złotolitym pasie, w granatowym kontuszu, z posiwiałą głową i przedstawia:

— Pan Kozłowski z Radomyńskiego powiatu, komisarz dóbr znanego tobie pułkownika hrabiego Wąsowicza, szuka twojej znajomości.

— Po tej prezentacji, gdyśmy usiedli, Konstanty zdziwił mnie zagadnieniem celu tej wizyty:

— Pan Kozłowski przyszedł tu szukać łaski twojej, abyś zechciał przyjąć jego syna do swoich usług.

Zrazu wziąłem to za żart, bo trudno było uwierzyć, aby ojciec tak strojnie po polsku ubrany miał przeznaczyć syna do czyszczenia czyichbądź butów. Ale ten przemówił:

— Tak, panie! Za największą łaskę to poczytam, jeśli pan raczysz przyjąć mego syna za pokojowca. Umie on czytać po polsku i po rusku i z nauki domowej pamięta znakomicie Dziesięcioro Przykazania Bożego. Proszę tylko, abyś go pan nie narażał na pokusę, to jest, aby on nie brał żadnej w pieniądzach pensyi, bo stać się może utracysz; niech mu tylko z łaski pana będzie nie głodno, ani chłodno. A jeśli byś pan miał wyjeżdżać z Warszawy, nie zostawiaj go tu, panie, ale weź go z sobą na Wołyń.

— Gdzież jest syn pana?—zapytałem.

Starzec otworzył drzwi do przedpokoju i zawołał:

— Kajetanie, pójdź tu! Oto jest — rzecz — siedemnastoletni chłopiec, którego do usług i w łaskawą opiekę panu oddaję. A ty, chłopcze, pamiętaj, abyś mi wstydu nie naniósł.

Przyjąłem za taką rekomendacją do usług Kajetana Kozłowskiego, a ojca jego upewniłem, że syn nie dozna u mnie krzywdy. W początkach byliśmy dość radzi sobie.

Na moje żądanie dozorca pałacu ugodził dla niego w mieście wikt miesięcznie za złotych trzy i sześć. Ale po kilku tygodniach dostrzegłem że syn strojnego kontuszowca zaczął przekraczać przeciw siódmemu przykazaniu.

Zdarzył się wówczas w Warszawie okropny wypadek, który sprowadzał go na drogę prawości. Urzędnik zacy, Zacharkiewicz, późno wróciwszy do swego mieszkania z teatru, był ugodzony ciekawym wypadkiem przez swego służącego, z wyraźnym zamiarem ubicia go. Mocno zraniony ten urzędnik ocalał, a wypadek ten dał mu powód do zapisania w testamentie funduszu z warunkiem, aby procent od zapisanej sumy 5,400 rubli, był przeznaczony za wiedzą miejscowej władzy corocznie dla służących, którzy wedle świadectwa panów swoich najdłużej i nieskazitelnie spełniają swoje obowiązki. Co do tego lokaja, który, jak sam wyznał, po dopełnieniu zadzieży chciał go zabić, ten winowajca schwyty, został wkrótce ścięty. Wiadomy był termin egzekucji. Powiedziałem przeto memu pokojowcowi, gdzie się ma udać na ciekawe widowisko, które go pewnie uławi. Wrócił silnie przerażony. Zdarzało się później, że gdy z domu wyszedłem i on wymykał się z miasta, nie zamknąwszy wejścia do mego pokoju.

Raz śród dnia wchodzę do swego mieszkania i zastałem Edwarda Krajewskiego. Chcę go powitać

uściskiem. On zrywa się ze swego miejsca nad książką, stawia w kącie fajkę i wyprostowawszy się, staje u progu:

— Edwardzie! — rzekłem — jakąż to grasz ko medyce?

— Co pan rozkaże?

— Niecierpliwisz mnie! Nie rozumiem ciebie!

On wówczas śmiejąc się rzecze:

— Wypędziłem łotra twojego lokaja; nim znalaziesz innego, ja lokajską służbę przy tobie spełniać będę. Już to drugi raz tak zastałem pustką zostawiony twój pokój, a więc łatwo możesz być okradzionym. Gdy tu przy mnie twój włóczęga wrócił, nagadałem mu naprzód morałów, że odchodząc, nie zamyka na klucz pokoju, że klucza nie zostawia u dozorca, a potem połamawszy na grzbiecie jego jeden z twoich cybuchów, powiedziałem, że jeśli będzie ważył się stanąć tu nogą, to dziesięć razy tyle chłosta odbierze.

Jakoż nie pokazał się mój Kajetan. Ale po dwóch tygodniach Chmielowski, dozorca palacu, wstał się za nim. Opowiedział, że bez świadectwa nie może przyjąć nie chce, że biedne chłopczyko za kawałek chleba został palaczem w policyi. Dotknął mnie ten smutny los jego i znów go przyjąłem. Wkrótce potem spisywano młodzież do konskrypcyi. Mój Kajetan w kłopotcie. Byle poczciwie służył, zapewniłem mu obronę. Napisałem list do nieznanego mi marszałka radomyńskiego, pana Gałęckiego, aby raczy odnieść się do kijowskiej komisji szlacheckiej o dowód, że Kajetan Kozłowski, jest tam przez ojca zapisany w księdze heraldycznej. Uspokoilo to mego pokojowca, że on, jako poddany Państwa Rosyjskiego, nie może do konskrypcyi należeć. Ja zaś miałem wcale nadziei, aby ta odezwa do nieznanego mi marszałka odniosła skutek. W następnym roku nadmienię o jej następstwie i o dalszej karyzme mego lokaja

Na wiosnę 1816 roku okropnie przerażony byłem wiadomością, odebraną z Żytomierza od przyjaciela mego, Antoniego Poradowskiego, z którym w ciągłym byłem znoszeniu się, że kochany ojciec mój, dla koniecznej potrzeby widzenia się z gubernatorem Giżyckim, gdy był w Żytomierzu i gdy małem mi drzwiami zajezdnego domu wyjść miał na ulicę, uderzył się tak silnie głową o niski odzwieriek, że upadł na progu i sam powstać nie mógł; że nim podniesiono ojca mego, gubernator, jadąc konno przez tę ulicę, gdy dostrzegł, że kogoś z ziemi dźwigają, zbliżył się, a poznawszy mego ojca, posłał po znakomitego chirurga, Szylknechta. Ten opatrzył nogę i uznał, że jest złamaną powyżej kolana. Wzięto natychmiast tę nogę w leczczoty, a potem ojciec mój przewieziony był do domu Poradowskiego, gdzie leżał od kilku tygodni i że wówczas dopiero ten zacny mój przyjaciel dał mi o tem wiadomość, gdy już minęło wszelkie niebezpieczeństwo.

W tydzień po takim z Żytomierza liście byłem na maskaradzie. Żadna z dam warszawskich nie była mi jeszcze znaną, a tembardziej żadna nie mogła mnie poufale nazwać po imieniu. Jakież było zdziwienie moje, gdy w przejściu przez salę, pełną piszczących masek, usłyszał przywoływanie jednej z nich:

— Szymusiu, Szymusiu!

— Nie, to nie mnie ona wzywa—pomyślałem—nie ma tu ani sióstr moich, ani bliższych kuzynek, które mnie tak pieszczotliwie mianują. Ale ciekawość bierze, kto tu zna moje imię i dlatego obejrzałem się. Wówczas maska, siedząca pod ścianą pomiędzy innymi, widząc mnie zwróconego ku swej stronie, odezwała się:

— Ciebie, ciebie, Szymonie, wzywam.

Al niezawodnie ktoś z rodziny mojej świeżo z Wołynia przybyły.—Zbliżam się i pytam:

— Czego maseczka żąda odemnie?

— Chcę pomówić z tobą, chcę najprzód upewnić cię, że twój dobry ojciec, który w Zytomierzu nogę złamał, jest już tam u twego przyjaciela na wyzdrowieniu; kość zrosła się i wkrótce odjedzie do domu. Chcę, jako tobie życzliwa, ostrzedz cię, że tobie nie godzi się podzielać tu publicznie zabawy, gdy tam tęskni za tobą i usycha piękna i dobra, jak anioł, Józia twoja! O! wiele szczegółów o niej mam ci objawić; lecz odkładam to do jutra, jeśli zechcesz odwiedzić mnie przed południem w hotelu Wileńskim. Czy przyjdiesz do mnie?

— Przyjdę, przyjdę niezawodnie! Ale proszę cię, maseczko, abyś raczyła zatrzymać się tu chwilę.

Wpadłem jak piorun do bufetu i kazałem nieść za sobą na tacy najwyższych cukierków, pomarańcz i limonady. Moja maseczka raczyła wziąć potrosze wszystkiego, a resztę siedzącym obok siebie rozdała. Napróżno ją badałem, kim ona jest, odłożyła tę kwestyę do jutra i znikła mi wśród tłumu. Wróciwszy do siebie, nieprędko domysły dały mi zasnąć. Nazajutrz przed oznaczoną dziesiątą godziną już byłem w hotelu Wileńskim, lecz tam nie znalazłem żadnych dam z Wołynia. Mogła się omylić, a więc zwiedzam hotel Litewski—i to napróżno! Jeszcze obiegłszy po kolei kilka hotelów, silnie zmęczony, wstąpiłem do kapitana Kołyski, aby tam odpocząć. Ten, widząc mnie mocno zmordowanym, pyta, co mi jest? Opowiedziałem daremnie szukanie jakiejś Wołynianki, która mnie mocno wczoraj zaintrygowała na maskaradzie. Kapitan, wtajemniczony, uśmiechnął się tylko, lecz w drugim pokoju ukryty Edward Krajewski nie mógł powstrzymać głośniego śmiechu; nakoniec rzuca mi się w objęcie, przepraszając za tę mityfikacyę.

-- Wróć-że mi dwa ruble, wydane w bufecie na uraczenie znajomej ci maski.

— Czyliż ta chwilka pewności, że za tobą tęskni kochanka wierna tobie, nie warta dwóch rubli?

Po długim oczekiwaniu na odpowiedź króla pruskiego w przedmiocie przywilejów gdańskich, gdyż wówczas, jak rzekłem wyżej, nie było jeszcze i kolei żelaznych, ani dzisiejszych telegrafów, z Berlina dla tak ważnej okoliczności były, jak ówiono, odniesienia się do Petersburga, przyszło koniecznie polecenie króla pruskiego, aby jego komisarze nie sprzeciwiali się wniesieniu Polaków, albowiem i stosują się do punktów traktatu wiedeńskiego, który wypada najściślej dopełnić. Król pruski niechylnie już miał wówczas zapewnioną pomyślność Gdańska, o której niżej nadmienię.

Idąc raz ulicą, spotkałem Felińskiego; bierze nie pod rękę i wzywa do siebie.

— Postuchaj—rzecze—co dziś ofiarowałem pani moayskiej, Czartoryskiej z domu.

I czytał mi tłómaczenie swoje z Tompsona pod tytułem *Szczęśliwe małżeństwo*. Po przeczytaniu tej pięknej poezji zapytuje:

— Powiedz mi otwarcie, nim to wejdzie do pierwszego tomu pism moich, czy nie dostrzegasz tu kolwiek rażącego ucho twoje?

Uśmiechnąłem się na to:

— Pan żartujesz ze mnie!

— Ale nie, nie! szczerze proszę cię, powiedz, radziłbyś zmienić.

Wziąłem w ręce jego rękopis i jedno miejsce skazałem palcem: *i niebo patrzące mile*.

— Rozumiem cię, rozumiem! Ty chciałbyś, aby było niebo *patrzące* mile. Prawda, że byłoby lepiej, że wówczas dla brakującej sylaby musiałbym wstawić jakieś słówko, któreby osłabiło ten obraz. Nakoniec, tak napisane to tłómaczenie już ofiarowałem pani ordynatowej.

Tym razem dostrzegłem u niego na stole leżał dość zużyty; był to rękopis jego tragedji p. t. *arbara*, jeszcze światu nieznaney. Proszę go, aby mi pozwolił przepisać dla niego na czysto i wyraźnie tę

tragedyę i aby jego zeszyt został przy mnie jako najdroższy upominek. Uściskał mnie za tę propozycyę i zezwolił na wzięcie rękopisu. We dwa dni odniosłem mu kopię przezemnie zrobioną.

W kilka dni potem odbieram od starosty Kického zaproszenie na wieczorną herbatę. Nie wiedząc, kogo tam zastanę, ujrzałem liczne towarzystwo poważnych matron z córkami i mężczyzn znanych i nieznanymi, lecz samych Polaków, a pomiędzy nimi znajdował się mój dobry przyjaciel, Feliński, zawsze uśmiechnięty i ożywiający zgromadzenie. Po herbacie, proszony przez gospodarza, zasiada za stołem z *Barbarą* przezemnie przepisaną i czyta niektóre wyjątki. Słuchacze zachwycali się pięknością i harmonią wiersza, wzorową polszczyzną, a w niektórych scenach, jak naprzykład w tej, gdzie poseł Boratyński błaga Zygmunta Augusta o zerwanie związku małżeńskiego z Barbarą, widziałem, że damy trzymały chustki przy oczach, a po skończonej mowie Boratyńskiego zerwali się wszyscy, aby uściskać autora. Powszechne oklaski i gwar pochwalny długo się przeciągały. Siedziałem wówczas opodal pomiędzy znaną mi młodzieżą i kolegami. Niektóre ustępy tragedyi, opuszczone w tem czytaniu przez Felińskiego, przywozidłem im z pamięci; badali, czy znam ją całą?

— Mam ją u siebie w rękopisie autora, danym mi na pamiątkę — rzekłem — a zeszyt, z którego on czytał, jest kopią przezemnie zrobioną. Przyjdźcie jutro do mnie, a przeczytam wam ją całą.

Jakoż nazajutrz zeszli się, a w zachwyceniu aż do końca, wyrwali mi z rąk drogi zeszyt i pomimo uburzenia i gniewów moich, rozszarpali go na części, aby je zatrzymać przy sobie jakoby świętą relikwię.

Gdym był po raz trzeci w galerji malowidel hrabiego Ossolińskiego, przyszło mi na myśl przeniesienie na kość słoniową w miniaturze obrazu, który dniami i nocą mam w niezatartej pamięci i jakby przed memi oczami, Zapytałem prefekta galerji, Wło-

cha Vilaniego, który tam miał kilku uczniów olejnego malarstwa, czy nie podjąłby się dawać mi lekcji robienia miniatur i jak wiele czasu potrzeba, aby po stać się w tej sztuce?

— Zdjęcie miniatury — rzecz — jest łatwe dla biegłego w rysunku.

— Ja rysować nic jeszcze nie umiem (ma się rozumieć, że przed nim utaił przed nim mój dość znaczny postęp szkolny).

Zdziwiony, robi mi uwagę:

— Czy nie za późno chcesz pan zaczynać? Zda się, że masz około lat 24.

— To nic nie stanowi; nawet mam więcej, bo rok 26 ty zacząłem; ale pan będziesz miał we mnie pilnego ucznia, począwszy od pierwszych dni maja. Zwykle zimą i latem wstaję przed wschodem słońca i codziennie letnią porą mogę tu być rano od godziny piątej do ósmej, a po południu od trzeciej do szóstej.] Proszę oznaczyć, jak mam pana wynagrodzić za jego naukę?

— Ci młodzi panowie, których pan tu widzisz już z pędzlami w rękę, płacą mi trzy dukaty na miesiąc i od pana więcej bym nie żądał. Na ranną godzinę piątą łatwo mi się zgodzić, bo też i ja przed wschodem słońca już jestem na nogach. Ale rzecz najważniejsza, iż podobno pan nie wytrwasz w nauce rysunków, bo nim przyjdzie do wprawy, same początki, a konieczne jak abecadło przed czytaniem, pewnie zmęczą pana.

— Pan na tem żadnej nie poniesiesz straty: jeśli ja nie wytrwam, to po kilku lub kilkunastu lekcjach obrachujemy się, aby w zgodzie nastąpiło pożegnanie pana.

— Kiedy pan masz tak niezachwiany zamiar pracować, to wypada go uprzedzić, że po skończonej kiedyś nauce rysunku pan wpróż zasiądziesz niż ci uczniowie za sztalugą, gdzie pokazywać będą jak się miksturują farby i wpróż pan obznajmisz się

z olejnym malarstwem, a wówczas do robienia miniatur już nie będzie potrzeba nauczyciela.

— Zgadzam się i na to.

Dałem mu potrzebne pieniądze na przysposobienie odpowiedniego papieru i czarnej kredy i zapowiedziałem, że po upływie dni kilku przyjdę, aby rozpocząć lekcye. Pierwszych dni maja zacząłem tam rysować ze wzorów włoskich kółka, półkółka, zwykle pierwsze zasady rysunku; ale tegoż dnia po południu, nie pytając Włocha, sięgnąłem do oczu, do ust i do ucha; nazajutrz rysowałem z tychże wzorów ręce i nogi w rozmaitych a najtrudniejszych pozach. Villani wydziwić się nie mógł tej łatwości. W tydzień dał mi do kopiowania kredą czarno całą osobę. A gdy po dwóch dniach rysunek jej z cieniowaniem był dokonczony, wchodzi właściciel galeryi, stary kasztelan, hrabia Ossoliński, uprzedzony przez Villaniego o nadzwyczajnym talencie, szuka znajomości ze mną, bada, z jakiej jestem prowincyi, prosi o pokazanie mu moich rysunków, zaczynając od początkowych aż do ostatnich lekcyj, unosi się nad moją wrodzoną zdolnością, przewiduje we mnie sławnego artystę; gdy ja w duchu czuję się winnym, że ich zwodzę; bo przyszedłem tu z gotową początkową nauką, którą niby tu nabyłem, a istotnym darem natury była tylko moja wytrwałość w pracy. Ossoliński, widząc się z hrabią Tarnowskim, wielkim znawcą i miłośnikiem malarstwa, mówił o mnie jakby o nadzwyczajnym talencie. Hrabia Tarnowski, wychodząc z sesyi, zbliża się do mnie i prosi, abym jutro rano przywiózł mu moje rysunki. Przywiozłem je. On cały ich zwój pilnie przejrzawszy, wydał taki stanowczy wyrok:

— Zarzuć pan naukę Villaniego; ten stary Włoch niewiele pana może nauczyć. On dobrze mi jest znany, bo był czas jakiś przy mojej galeryi w Dzikowie. Powjózę dziś pana do Bačiarelli'ego, ten znakomity

artysta niemylną wskaże mu drogę do wysokiego w sztuce postępu.

Wziął mnie do swej karety. Tu przypominam sobie, że we dwa dni później, pisząc do Kazimierza Budzyńskiego list przeplatany wierszykami, tak wspominałem o tej podróży do Baciarellego:

— Co też to z nami fortuna wyrabia
Z nami nieszczęsną hołotał
Onegdaj wziął mnie do karety hrabia,
A dzisiaj pójdę piechotą.

Było to w końcu maja. Przez cały miesiąc deszcze tak lały, jak i w tym dniu, gdyśmy jechali do zamku królewskiego, gdzie od czasów jeszcze Stanisława Augusta miał swoją pracownię ten jego niegdyś nadworny malarz. Hrabia, siedząc w karecie, utyskiwał na nieustanną slotę. Aby dać przynajmniej znak życia, odezwałem się na to:

— Cała ta wiosna istotnym jest obrazem cudnie pięknej, a ciągle zapłakanej dziewczicy.

On spojrzał na mnie i z uśmiechem rzecze:

— Widzę, że pan nietylko jesteście malarzem, ale i poetą.

— A któż z ludzi nie bawi się ideałami, nie wyłączając nawet nikczemnych spekulantów, trudzących się lichwiarstwem, u których rubel jest idea bóstwa.

Przybywszy do Baciarelli'ego, hrabia łaskawie zaprezentował mnie starcowi, którego zastaliśmy z paletą w ręku. Kopiował dla kogoś portret ś. p. księcia Józefa Poniatowskiego. Opowiedział hrabia cel naszego przybycia; pokazał mu moje rysunki. Baciarelli, przejrzawszy je, pochwalił śmiałość strzychów jak na początki, uznał zdolność i zapytał:

— Cóż pan po tej całej osobie masz teraz rysować?

— Zacząłem kopiować olejno jeden z pięknych oryginałów galerii hr. Ossolińskiego,

Szydersko uśmiechnął się na to:

— Jeszcze nie pora? Po tym rysunku, jeśli pan chcesz u mnie dalej postąpić, trzeba będzie przez dwa lata rysować z biustów (d'après la bosse).

Zrobiłem mu uwagę, że na to już podobno za stary jestem.

— Cóż czynić? Ja inaczej do wyższego malarstwa nigdy nie sposobię.

Po krótkiej wizycie pożegnaliśmy Baciarelliego. Po wyjściu od niego, hrabia ozwał się:

— Szkoda, szkoda, że pan przy tak pięknej zdolności zrażasz się do warunków, jakie on uznał za konieczne; inaczej nigdy nie wzniesiesz się na wysoki stopień artysty.

Ztamtąd udaliśmy się na sesję w salach tegoż zamku. Ciągnąłem dalej lekcye malarstwa olejnego u Villaniego, a osobno u siebie zacząłem z pamięci rysować obraz noszony w sercu. Ale praca i usilność daremna! Nie zliczylbym zdartych próbek, nim w końcu przekonałem się, że łatwiej mi kochać ją bez nadziei, niż z pamięci jej cudny obraz, lubo wyryty na zawsze, przenieść na papier! Zaniechałem więc po dniach kilku daremnych w tem trudów. U Villianiego przecież o umówionych godzinach przez czerwiec i lipiec bywałem. Ztąd przywiozłem do domu kilka olejnych kopij moich z pierwszych artystów włoskich i rozdałem je pomiędzy domy familijne. Przy mnie została się tylko modłaca się św. Katarzyna z książką w ręku. Niekiedy, w chwilach wolnych, malowałem olejno u siebie, mieszkając jeszcze na Lesznie, z małych pięknych sztychów, przerabiając je na większą skalę.

Raz, gdy w samotnej ciszy takim zajęty malarstwem zapomniałem o świecie Bożym, wchodzi do mnie nieznanym młodzieniec miłego spojrzenia, przyzwocznie ubrany i grzecznie tak się prezentuje:

— Szukam znajomości pana. Jestem Wacław Lubowicki z gubernii Kijowskiej. W przejeździe z mat-

cą moją przez Warszawę do Wiednia powziąłem tu od znajomych tak chlubną o panu wiadomość, że postanowiłem mieć zaszczyt osobistej z nim znajomości.

Podziękowałem mu za tyle grzeczności nad moją wartość. Zabawił z pół godziny i wyszedł uściskany przezemnie. Odtąd nie zdarzyło mi się nigdy spotkać go gdziekolwiek. Potem ożeniony z panną Pruszyńską, wydał córkę swoją za Tadeusza Bobrowskiego, który jest synem wielkiego od szkół przyjaciela mego, ś. p. Józefa Bobrowskiego. Ten zięć jego skończył bardzo korzystnie nauki w uniwersytecie petersburskim i jako magister prawa, w najważniejszych procesach stał się wyrocznią gubernii Kijowskiej, a tak ceniony przez swego teścia, że gdy opłakał stratę najlepszej i młodej żony, a następnie jednej córki, Wacław Lubowicki nie chciał odbierać odeń zwracanego mu majątku, pięknej wsi Nowochwastów, danej w posagu. Obadwa z zacności charakteru godni są siebie.

Odwiedził mnie i drugi obywatel guberni Kijowskiej, wkrótce potem marszałek machnowiecki, przybyły do Warszawy dla interesu z brabią Aleksandrem Chodkiewiczem, który majątek swój na Wołyniu i w Kijowszczyźnie miał poddać pod rozbiór, Chojecki, mój niegdyś kolega szkolny, dobry człowiek, ale zawsze niedowierzający, aby przy majątku nauka była potrzebną i tak dalece trzymał się tej zasady, że nawet żartował z niektórych przyzwoitości, jakich młody człowiek nauczyć się może w wyższych tylko towarzystwach. Pomówiwszy ze mną cokolwiek, prosił abym, jako znający Warszawę, przeszedł się z nim po najgłośniejszych ulicach. Gdyśmy byli na Miodowej, ja, mając potrzebę zajrzeć do księgarni pod filarami u Glücksberga, gdy go tam prowadzę, dostrzegłem, że Chojecki pilnie przypatrywał się karecie i pięknej parze koni, stojących tuż u wnijscia do księgarni, i pytał furmana, do kogo należę; ale domy-

śleć się nie mogłem, aby mu ta wiadomość była wnet przydatną. Wszedłszy tam, zastaliśmy dwie damy, zajęte przeglądaniem francuskich książek. Gdy Glücksberg podał mi katalog i odchodził do dam, on szeptem zapytał: która z nich jest Chodkiewiczowa. Księgarz wskazał mu ją oczyma. Tu Chojecki przystępuje do niej, wymawia swoje nazwisko i mówi:

— Podjąłem podróż z gubernii kijowskiej, aby odebrać od męża pani tysiąc dukatów, które on pożyczył u mego ojca. Bardzo proszę, aby te pieniądze teraz mi wypłacono.

. Hrabina, w głosie zaśmiawszy, odpowiedziała mu:

— A to wybornie! Daruj pan, że otwarcie mi powiem: Skoro ujrzałam go na progu, wnet z twarzy jego i ruchów objawiłam, domysł mój przed nią przyjaciółką w tych wyrazach: oto jest w całym znaczeniu słowa *Ukrainiec*. Jakoż ta odezwa do mnie przekonywa mnie, że się nie zawiodła w moim domyśle.

Odstąpił od niej, jak zawstydzony; bo co do mnie, schylony nad katalogiem, rad byłem pod ziemię się schować. Wyszliśmy natychmiast, a na ulicy zrobilem Dyonizemu uwagę:

— Nie wypadało z panią hrabiną i jeszcze w miejscu publicznem mówić o interesie, jaki masz z jej mężem. Dla niej tem przykrzej było słyszeć o tem, że podobno z jej przyczyny on stracił kilkanaście milionów złotych, które stanowiły cały majątek; a po niej, Walewskiej z domu, córce wojewody sieradzkiego, żadnego, prócz piękności, nie wziął posagu. Ciężko przeto zgrzeszyłeś przeciw przyzwoitości.

— At! co mi po tych ceremoniach względem ludzi, co nie umieją szanować ani swego, ani cudzego grosza.

— Ależ rozważmy, co zyskałeś na tem? Oto przykry odwet tylko: nazwała cię ukraińcem, jakby prostakiem. Świat wyższy ma osobne przywileje.

Był też u mnie przybyły tam z powiatu Włodzkiego miły i zawsze wesoly mój kolega szkolny, kolosalnej figury i nad lata swoje otyły Kazimierz czkowski. Po wzajemnych uściskach badam go, po tu przyjechał.

— Oh! trudno wyznać przed tobą prawdę! Pałasz to może, że w szkołach żartowałem z was, y tymczasem bywaliście wożeni na bale do Stego, chorążego W. kór., aby przed nim skakać jak łpy w takt po jego muzyce. Otóż choć spóźniono spotkała mnie kara Boska za owe żarty. Takie opadły piękne kuzynki moje, abym koniecznie uczył się tańczyć, że postanowiłem cichutko przed latem wołyńskim tu szukać tej dla nóg mądrości, ciał one bez niej wyśmienicie mnie nosiły przez 26. Już kilka lekcji jako tako przetrwałem. Ale tpię, czy aż do końca tak się uda podnosić nogi; gdy mówię metrowi, że trudno mi dźwigać mój pus, on popisując się przedemną, dyabelskie robi ki, wśród których płacze w powietrzu nogami apowiada, że i ja będę musiał robić te jakieś *en-hat*.

Widząc pomiędzy książkami na stoliku mój rwony sztambuch, odczytywał w nim niektóre nary; a potem, umoczywszy w kałamarzu pióro jak głębiej, począł z niego spuszczać atrament na biacartkę, wyraźnie, aby ją splamić.

— Na miłość Boską!—wołam—co robisz?

— Czekaj, czekaj; coś mi się marzy o tej nie.

I napisał wierszyki:

Drogi przyjacielu!
Przyjąłeś od wielu
Po kilka pięknych wierszy;
Mój choćby był najszczerzy
Źle się z innemi wyda,
Przyjm więc na pamięć żyda.

- I podpisał się dziwacznie: K. Kalpurius. Mity to był mój kolega, a którego już później nigdzie spotkać mi się nie zdarzyło. O! iluż to takich utraciłem z oczu na zawsze! A ilu przeżyłem!

Do teje czerwonej mojej księgi przybyła mi w tym roku droga dla mnie pamiątka. Czcigodny Feliński, raz nie zastawszy mnie w domu, dostrzegł na stoliku tę książkę i napisał, lubo poeta, proza, ale te serdeczne wyrazy:

„Wspomnij czasem o twoim szczerym przyjacielu, który nikogo z młodzieńców więcej nie szacował i nie kochał, jak ciebie. Obyś był szczęśliwym, jak wart jesteś. Aloizy Feliński.“ — O nim jeszcze będę wspominał.“

Moje album, czyli sztambuch, był zawsze gotowy na przyjęcie wpisów przyjaciół i życzliwych, za których doznawane uczucia, czyli jedyną słodycz młodych lat moich, Bogu najszczerze dzięki składam. Ztąd pomiędzy innymi została mi droga pamiątka wyrazów, nakreślonych w Warszawie 1816 roku przez kochanego Litwina, Karola Czarnockiego, który mnie uprzedził do grobu, lecz niezachwiana więcej jak przez pół wieku, umiał wrazić przyjaźń dla siebie i wiernie ją dla mnie dochował, podtrzymywaną przez ciągłą pomiędzy nami korespondencję, a wszystkie listy jego z lat 50-ciu z górą, dotąd pielęgnuję. Jest w tej księdze czterowieści Stanisława Lipskiego, marszałka łuckiego, który wówczas bawił czas jakiś w Warszawie. W tym wierszu wspomina on o świeżo doznanej stracie kochanki. Miał się zenić na Litwie z pełną przymiotów zanego domu panną Zawiszanką. Po odebraniem przyrzeczeniu jej ręki odjechał na czas krótki do domu, zkąd wróciwszy ze zwykłym przysposobieniem przyboru na oznaczony przez jej rodziców termin zaślubin, trafia na widok sercu jego najokropniejszy!... Wóz czarny wywoził jej zwłoki do ko-

ścioła... Na tydzień przed jego przybyciem tę drogą mu oblubienicę stojącą przy kominie, objęły płomienie tak gwałtownie, że wszelki ratunek okazał się daremnym. Ciężko przeboleał tę stratę zacny Stanisław Lipski. Lecz jakich cierpień czas nie ulagodzi? Po latach kilku ożenił się z Heleną Grzebińską, najmłodszą córką tej pani Grzebińskiej, o której pod rokiem 1811 wspomniałem, że dawała bal w miasteczku Piatce. On już dawno nie żyje, a z tego związku pozostał syn, Antoni Lipski w powiecie Łuckim. Wiele innych pozostało mi pamiątek w tej księdze, którą z wielką przyjemnością niekiedy odczytuje... Lecz biada mi! Nikt z tych wszystkich osób już dziś nie żyje! *Ktokolwiek był sercu miły, mogiły tylko, mogiły!* Powiedziałem to najrzetelniej w wierszyku do poważnej wiekiem panny Katarzyny Łozińskiej, która także od dwóch lat już nie żyje.

Raz z kochanym kolegą moim, Brunonem hr. Kicińskim, odczytawszy wiersz Stanisława Trębckiego pod tytułem „Powązki,” postanowiliśmy odwiedzić to ustronie, zachwalone przez poetę, i w dniu pięknym czerwca 1816 roku pojechaliliśmy do Powązek. Pełni tej myśli, z owych wierszy powziętej, że gdy poecie obrzydła Warszawa, on zachwycony błakał się tu wśród ożywionych gajów śpiewem ptasząt i szmerem strumyków; że wśród rozrzuconych tu klombów, dostrzegłszy jakąś budowę, jakby prostaczą chatę, nie wzbraniał się zajrzeć do niej, bo i takiej na starość może Bóg mu nie da; że gdy wszedł do niej, uderzył go niespodziany widok: chluba sztuk pięknych, przepych bogactwa połączony z wytwornością smaku. Słowem, z pamięcią tej poezji Trębckiego wjeżdżamy do Powązek... Niestety! coż nas uderza? Oto znikomość rzeczy ludzkich! Ruiny tylko, ruiny! A nawet owe gaje, co zachwycały poetę, opuszczone przez człowieka, są dziś jakby ta

biedna sierotka, o której nikt nie pamięta, aby była umyta i uczesana!

W ciągu roku 1816 częste zdarzały się samobójstwa, a zawsze pomiędzy oficerami wojska polskiego. Początek dał im kapitan Wilczek, adjutant przy generale gwardyi Wincentym Krasieńskim. Wilczek w bardzo młodych latach wszedł za Napoleona do służby wojskowej Wielkiego Księstwa Warszawskiego i nie będąc jeszcze oficerem, odznaczył się wśród ochotników, którzy zdobyli kilka armat hiszpańskich. Napoleon zapytał go:

— Ile masz lat?

Odpowiedział mu:

— Mam lat piętnaście.

— Cóż z ciebie będzie, gdy dojdiesz trzydziestu!

I wnet awansował go na oficera, a przytem polecił, aby corocznie podwyższano go w randze.

Upadek Napoleona zostawił go kapitanem i dalsze awanse już musiały zależeć od nowych zasług pod inną władzą. Ztąd w młodym oficerze zrodzić się mogło wznoszące trudnościami obrzydzenie życia. Gdy raz dwaj generałowie rosyjscy przybyli z Petersburga na wezwanie wielkiego księcia Konstantego, którym on chciał pokazać wzorową surowość żołnierzy polskich na manewrach pod swoją komerda i na Placu Saskim, w dniu pogodnym marca, wśród głównego sztabu, gdzie stał generał Krasieński i jego adjutant Wilczek, przed rozpoczęciem parady, jeden z rosyjskich generałów, przyznając łagodność naszego klimatu, zrobił tę uwagę:—*A Petersburg anjourd'hui on tremble de froid*, Wilczek odezwał się:—*Et à Varsovie, à chaque moment on tremble d'effroi!*...

Pomnę, że w Wielką Sobotę, gdy byłem na obiedzie u Rozengarda, gdzie liczni zbierali się biesiadnicy, zjawily się we drzwiach piękne księżniczki Radziwiłłówny z otwartymi woreczkami w rękę,

chodząc do koła stoły, przyjmowały ofiarę dla nych, a kapitan Wilczek im asystował; ja, spuszczając do woreczka mój grosz wdowi, miałem zność przypatrzeć się zblizka postawie Wilczka.

Był wzrostu małego, barczysty, krępy w złożonej na twarzy okrągłej zda się cokolwiek ospowaty. Z go więcej nie widziałem, bo nazajutrz, w dniu wszym Świąt Wielkanocnych, z żalem powszechnym głoszone w mieście, że Wilczek w łeb sobie elił. Potem, jeden po drugim, dość często zdarzały się wypadki. Raz, gdy wszedłem do arzysza, gdzie naprzeciw drzwi wchodowych siedział pułkownik Aleksander hr. Chodkiewicz, skoro go ujrzał, zerwał się z miejsca jakby mocno zdziwiony; podchodzi i cofa się.

— Przepraszam! Zdało się, że widzę oficera (mienił nazwisko Biesiekierski), który wczoraj się il.

Tak wielkie w mej twarzy znalazł podobieństwo.

Ciekawy byłem poznać zachwalaną mi „kawę jską.“ Tam spostrzegłem, że nieznanymi mi młodymi, w migdałkowym pięknym płaszczu o kilku rymach, jak wówczas eleganci nosili, rozmawiał z drugim i pilnie wpatrywał się we mnie. Kilku dniach ów nieznanomy w tymże płaszczu, uciwszy go w przedpokoju, wchodzi do mnie i tak prezentuje:

— Jestem z gubernii Kijowskiej Teofil Czarkow-

Zna mnie dobrze, równie jak braci moich, brat ski, pan Antoni, i ztąd ośmielam się szukać znomości z panem.

Bardzo rad jestem i proszę go siadać. Po kiej pogadance o świeżo przedstawionej tragedji wika Kropińskiego pod tytułem „Ludgarda“, która powszechność warszawską zachwycała, pan rkowski w zwięzłych wyrazach objawia mi także iczne swoje położenie, że nie może doczekać się

spodziewanej z domu posyłki, aby tu opłaciwszy i swobodnie odjechać, i prosi, abym mu pożyczyl ci 30 dukatów na czas niedługi. W tej chwili przysmi na myśl rozgłoszona po mieście wiadomość o kimś filucie, który podobnem przywodem stotków przyjaźni z krewnymi wyludził u kogoś pieniądze i te przepadły. Miałem fundusze złożone prze mnie u bankiera ku zaradzeniu potrzebie pana Czarkowskiego; ale z obawy, aby nie uledez wypadku na jaki ktoś był narażony przez owego filuta, tón czyłem się fałszywie, że i ja podobniez jest w oczekiwaniu posyłki od ojca i żal mój okazał że nie był w możności uczynić zadość żądaniu go. Jakże później żałowałem tej ostrożności, g w 1819 roku dał mi się poznać tenże p Czarkowski w Skibińcach u wdowy matki swój wprzód Czarkowskiej, a z powtórnego związku m szalkowej Madejskiej, gdzie wśród licznego gro rodziny Czarkowskich, przybyłych tam na zaślubi ich przyrodniej siostry, dziś jeszcze żyjącej, Pella Madejskiej, prowadziłem ją do ślubu z krewnym n im, Kazimierzem Budzyńskim.

Gdy odwiedzałem Konstantego Piotrowskie, który tak oddał się pracowicie nauce języka angijskiego, że aby go nie skusiły rozrywki stolicy, ka ogolić sobie głowę, Józef Proskura, z którym mieszkał, prosi mnie, abym mu dał poznać niekt tu zakłady publiczne, a naprzód był ciekawy widz zakład obłąkanych pod opieką księży Bonifratró. Ja tam nigdy jeszcze nie byłem, a nawet nie w działałem, gdzie jest klasztor tych zakonników. Mawiamy oba Piotrowskiego, aby przeszedł z nami.

— Ale jakże chcecie, abym z ogoloną głó pokazał się światu?

— Okryjesz głowę szlafmycą — rzecze mu P skura — nałożysz kapelusz i nikt wiedzieć nie będe że włosy twoje nie odrosły jeszcze.

Zgodził się na to. Ale nie wiedział, że szlafmyca niezupełnie pokrywała nagość głowy po bokach i z tyłu, a na domiar mylnych o nim czyich-bądź domysłów, szedł pomiędzy nami, trzymany przezemnie pod rękę. Wyszedszy na ulicę, pytam pierwszego przechodnia, jaki się zdarzył, którędy mamy się udać do Bonifratrów? Ten spojrzął na Piotrowskiego głowę i z uśmiechem mówi:

— Niech panowie prowadzą go tędy.

I wskazawszy nam ulicę, odszedł, a Piotrowski, biorąc się za boki od śmiechu, zawołał:

— A widziacie! on mnie wziął za waryata!

Pomogliśmy mu cokolwiek do śmiechu i nie zważając na ten mylny domysł, wchodzimy do szpitala obłąkanych.

Była to godzina około czwartej nad wieczorem. W sali dość wielkiej nie zastaliśmy żadnego zakonnika. Słychać tylko było jakieś niewyraźne mruczenie z łóżek stojących długim szeregiem głowami do ściany. Tam leżącym podawano z cynowych talerzy, z takiemiż łyżkami podwieczerek. Skorośmy weszli, powitał nas poważnie jakiś starzec i zapytał:

— Panowie zapewne przez ciekawość raczyście zwiedzać nasz zakład?

I nie czekając naszej odpowiedzi, zaczął prawić szczegóły o słabości umysłowej niektórych po łóżkach.

— Oto ksiądz Pijar, był profesorem historii naturalnej i botaniki, człowiek niedawno pelen nauki. Ale niestety! Jeden lichy zgubił go kwiatek. Raz wyszedł z uczniem swoim na przechadzkę do ogrodu, tam zerwał skromny fiołek i pokazując go uczniowi, mówił, jak niepojęta jest wielkość Boga, która się w całym stworzeniu wszechświata objawia, począwszy od poziomego kwiatuszka, któremu dał woń tak miłą, aż do krążących nad nami planet w niezachwianym nigdy porządku. Wielkość, wiel-

kość!—zawołał. Wzniósł oczy i ręce, a tak wysoce uniósł się ku pojęciu tej wielkości Boga, że raptem nieborak spadł nizko, bo aż do stanu obłąkania, w którym go panowie widzicie. Teraz całą jego życia rozkoszą jest tabaka, to też co chwila ją zażywa. Pijarowie dostarczają mu jej po pełnej butelce na tydzień.

Gdy miał podwozić nas ku drugiemu łóżku, nadzedł przełożony zakonu, powitał nas, i na żądanie Proskury poprowadził do trzymanyh pod zamknięciem furyatów. Ale skoro weszliśmy z nim na korytarz, pytam przełożonego, czy ów poważny starzec, który nas zajmował opowiadaniem choroby umysłowej Pijara, jest pomocnikiem w doglądaniu obłąkanych.

— Bynajmniej—rzecze mi z wyrazem politowania na twarzy. — Jest to nieszczęśliwy waryat, jak wszyscy inni. Wprawdzie on o wszystkim najprytniej mówi, byle mu nie wspominać o Trójcy Świętej, bo natychmiast opiera się na tem mniemaniu, że on jest Duchem Świętym. Panowie dostrzeżliście pewnie chodzącego tam żołnierza polskiego; on podobnież w jednym tylko punkcie dziwnym jest waryatem. Od upadku Napoleona tak silnie przejął się jego katastrofą, że dostał pomieszania. Byle kto wspomniał o klęsce pod Waterloo, on wnet upewnia, że po tej potyczce dusza Napoleona, choć on żyje wygnany na wyspę św. Heleny, przeszła do niego i że odtąd on czuje w sobie ducha cesarza Francuzów, a o innych jakichbądź przedmiotach, z zupełną rozmawia przytomnością.

Na tym korytarzu pokazywał nam przez żelazne kratki u drzwi osobnych celi furyatów, pod ściślem trzymanyh zamknięciem. Tam wyjęte były okna, a żelazne tylko pozostały kraty. Pierwszy z tych więźniów, gdy z za kratki nas dojrzał, wnet zerwał się ze słomy, na której leżał, przyklął przeddrzwiami i składając ręce, jakby do modlitwy, błą-

i zaklinał na miłość Boga, aby przełożony wy-
cił go choć na chwilkę.

— Nie puszczę—groźnie odrzekł ksiądz—boś ty
posłuszny psotnik.

— Nie będę, nie będę! Bóg świadkiem, że nie
ę!

Mówi to, prawie płaczący.

Zapytałem Bonifratra, jakie on psoty urządza.

— Jest to furyat dość niewinny, ale względem
zi tylko; nikomu nic złego nie robi, lecz smoro
swobodnym, wnet wszystko, co daje się roztluc,
je i niszczy, a mianowicie z największem upodo-
niem tłucze szyby w oknach.

On słysząc to, odezwał się:

— Ależ nie będę już tłukł okien, jak Pana Bo-
kocham.

Uprosiłem księdza, aby go na chwilę wypuścił.
skoczył z celi i jakby dziecinną radość objawiał
podskokach aż do końca korytarza. Żalem mnie
ejmowała ta radość jego. Stał przy oknie,
e było w końcu korytarza, ksiądz mi szepnął:

— Nie uważajmy na niego.

Po chwili już słyszemy stukanie w okno. Prze-
ony krzyknął:

— A co to robisz? Ruszaj mi zaraz do celi.

— Już nie będę, nie będę! Ojczy, daruj! Ja
omniałem się.

— Precz natychmiast, psotniku, bo inaczej..

Skulony, noga za nogą, wrócił pod zamknięcie.
dzieliśmy przez kratki furyatów niebezpiecznych;
którzy z nich mieli powiązane ręce i nogi. Kar-
i ich tylko i poją, jakby zwierzęta, a związani są
tego, aby się nie porywali na ludzi, którzy im
ynoszą jedzenie i wodę.

Dodał przełożony tę o nich uwagę, iż doktor
ładu używa rozmaitych środków na słabość ich
ysłowa, ale dotąd nie odnosi żadnego skutku ta
acya.

Podziękowawszy przełożonemu za jego grzeszność, pożegnaliśmy go ze smutkiem w duszy nad stanem obłąkanego człowieka. Ale gdy, wracając, mówię o tej litości, jaką we mnie wzbudza ten zakład, Proskura przerywa:

— Ja lituję się nad każdym nieszczęśliwym, który ma pojęcie swęgo stanu; ale waryat jest może szczęśliwszy, niżby był przy zdrowym rozumie. Ten na przykład, co się mniema Duchem Świętym, jaką ma twarz pogodną, jak na czole jego zda się wryta jakaś wyższość, która nas w błąd wprowadziła, że on jest pomocnikiem do czuwania nad waryatami. Albo ten żołnierz, jak on dumnie przechadzał się, pewny tej niby prawdy, że nosi w sobie duszę Napoleona, który świat zdumiewał. Widok tylko furjata przejmuje żalem, że człowiek staje się zwierzęciem i do tego dzikiem.

Konstanty ozwał się:

— Niech nas teologowie nauczą, jaka po śmierci tych waryatów będzie przyszłość ich duszy?

Odważyłem się powiedzieć na to:

— Mnie się widzi, że sąd o ich życiu będzie po tę chwilę, w której utracili rozum. Dziś w nich dusza jest jakby śpiąca, bo zepsute są organa fizyczne, które służyły do objawienia jej woli. One w nich są instrumentem rozstrojonym, na którym najbiedniejszy artysta zagrać nie potrafi, a jeśli grać będzie, nie można go pociągać do odpowiedzialności za fałsz, bo wówczas nie on, lecz rozstrojony instrument jest winowajcą.

Mówiąc o biedakach obłąkanych, przypomniałem sobie Józia Chodkiewicza. Brat jego młodszy, Aleksander hr. Chodkiewicz, przy mnie pułkownik, później generał, był mi osobiście znany. Nie wiedziałem o tem, że on dla uregulowania interesów swoich wezwał do Warszawy biegłego w prawie a powszechnie szanowanego Tadeusza Teleżyńskiego, który po niegodnym Michale Korzeniowskim był

prezesem głównego sądu wołyńskiego departamentu cywilnego, a który na to wezwanie przybył z synowcem swoim, Ignacym Teleżyńskim, szwagrem mego brata, Antoniego. Raz zajęty w galerii malowideł kopiowaniem olejno jakiegoś arcydzieła, nie uważam, jak to codziennie bywało, kto tam wchodzi z ciekawości dla zwiedzenia szczególniejszych malowideł. Wtem zbliża się do mnie Villani i prosi w złamanej francuzczyźnie, abym wytłumaczył przybyłym panom znaczenie obrazu, przy którym oni stoja, bo oni Włocha zrozumieć nie mogą. Wstaję z za stalugi z paletą i pędzłami w ręku, zbliżam się do nich i znaczenie obrazu wyjaśniam. Ale skoro mówić zacząłem, Ignacy Teleżyński odwraca oczy od malowidła i rzuca mi się w objęcia, wymawiając imię moje. Tak niespodzianie zszedłszy się z nim, dowiedziałem się, że on ze stryjem z Wołynia przybył. Nazajutrz idę do pałacu hr. Chodkiewicza, gdzie Teleżyńscy zamieszkali. Lokaj w przedpokoju uprzedził mnie, że wyszli na miasto. Chciałem zatrzymać się do ich powrotu. Wchodzę do salonu i zastaję człowieka już niemłodego, w żałobie, który na mój ukłon ukloniwszy się, wnet mnie zapytał:

— Czy pan wiesz, że moja matka umarła bez nadziei życia?

Domyślałem się łatwo, że to jest Józio hr. Chodkiewicz. Jakoż po tak obcesowo rzuconej mi kwestyi, wszedł natychmiast jakiś Józia dozorca, przyzwoity człowiek, który dotknął palcem swego czoła, aby dać mi poznać, że ten starzec jest waryatem. Nie doczekawszy się Teleżyńskich, pożegnałem biedaka bez najmniejszej nadziei zmarłego dla świata. Później dowiedziałem się, że ten nieszczęsny Józio, mający równą z bratem swoim, Aleksandrem, schedę, wartującą w ziemi osiemnaście milionów złotych, lubo pod nieustannem czuwaniem w domu jeszcze swej matki był wykradziony przez pewną pannę już nie pierwszej młodości, która tak silnie była ujeta

owemi milionami, iż przelamując wszelkie trudności, zamierzała pokątnie ślubować Józiowi małżeńską miłość. Ale rychło wysłani w pogoń kozacy zdołali ich osiągnąć i Józio prostodusznie uśmiechał się na jęczenia narzeczonej jego pod nahajkami dworskich kozaków. Czuwanie nad Józiem miało cel ważny. Po ruinie majątku Aleksandra hr. Chodkiewicza sędca obłąkanego brata stała się jedynym funduszem trojga dzieci Aleksandra, to jest córki, która wyszła za hr. Ossolińskiego i dwóch synów: Karola, niedawno zmarłego bezdzietnie, i Mieczysława, który także już nie żyje, ale był ożeniony z Olizarówną, córką Gustawa, i zostawił potomstwo.

W tymże roku 1816 nadjechał do Warszawy oczekiwany cesarz rosyjski i król polski, Aleksander I. Miasto dało wielki bal w trzech ogromnych salach pałacu Radziwiłła przy Długiej ulicy. Mój dobry przyjaciel, Janusz Nowowiejski, nie pomnę przez czyje wpływy, wyjednał u szambelana dwa bilety wejścia na ten bal, dla siebie i dla mnie, z których każdy kosztował po dwa dukaty. Najeliśmy dla siebie karetę i byliśmy uczestnikami owego balu, ubrani wedle przepisu w krótkich czarnych spodniach, takichże pończochach i frakach. Na tym balu w trzech salach było kilkaset osób. Młode panie do tańca odznaczały się pysznym ubiorem kostyumowym. Najświetniej wystąpiły w kontredansie cztery panny w złotolitych krótkich tunikach, spadających na białe atlasowe spódnice. Głowy ich jaśniały brylantami, osadzonemi w strusie kolorowe pióra. Cesarz z ozwioną twarzą tańczył z niektórymi damami polskiego. Miałem sposobność przypatrzeć się zblizka twarzy panny Grudzińskiej, z którą później ożenił się W. Książę Konstanty; wcale ładną nie była. Kostyum jej przypominał cokolwiek jakoby ruszczyznę: przy krótkiej błękitnej tunice na białej materyalnej sukni, miała na głowie błękitną, dość szeroką z kwadratowem denkiem czapkę, z białym spadającym od niej woalem.

W takim też ubraniu była jej towarzyszka, piękna panna Konstancya Łuszczewska. Gdym je tam ujrzał, stały obok siebie, trzymając się za ręce. Bal przeciągał się długo w noc.

Gdy Konstanty Piotrowski, wymęczony nad nauką języka angielskiego, już był wyjechał z Warszawy, raz późno wieczorem, wśród słoty i nadzwyczajnej burzy, usłyszałem kogoś pnącego się w ciemności po schodach. Służący mój gdzieś wyszedł, sam przeto biorę świecę, aby idącemu może do mnie poświecić. Ujrzałem na schodach w białym żołnierskim płaszczu figurę wysoką, z okutaną chustkami szyją. Ten niepoznany przezemnie wnet mnie poznał i po imieniu powitał. Po głosie poznałem brata Konstantego, Józefa Piotrowskiego, podchorążego z pułku czwartego ułanów, pod komendą wstawionego w Hiszpanii pułkownika Koziętulskiego. Wprowadzam go do siebie, badam, co tu porabia, kiedy pułk jego jest na prowincyi? On pokazuje mi szyję obwiązaną, opowiada ciężkie cierpienia skrofliczne i że za urlopem przybył do Warszawy na kurację, nie zastawszy zaś brata Konstantego, dowiedział się o mojem mieszkaniu.

— Gdzież są twoje rzeczy?

— At! nie pytaj! Daj mi tylko choremu przytułek. Zostawiłem wszystko w bryce na Pradze. Przez most przejazd wstrzymany, bo coś tam naprawiają. Promem tylko z trudem dobić się tu można; a ponieważ burza rozhukala Wisłę i fala tak jest ogromna, że istotnie groziło mi niebezpieczeństwo więc pisarz czuwający nad przewozem, w obawie o moje życie, nie dopuszczał mnie do promu. Musiałem więc podpisać się na to, że jeśli лихо porwie mnie na dno rzeki, on za mój upór nie ma być pociągany do odpowiedzialności.

Ogrzałem go herbatą, wyszukałem dla niego łóżko, udzieliłem część własnej pościeli. A nazajutrz okazało się, że pocziwy Józef, jak zawsze improwi-

zator, nie miał żadnych rzeczy jakoby zostawionych na Pradze. Całą jego własnością było tylko ubranie, w jakim do mnie przyszedł. Powiozłem go z mocno opuchłą szyją do znanego mi z Ukrainy doktora Kłosowicza, który w powrocie z za granicy z Gustawem Olizarem, ożenionym tam z Włoszką, zamieszkał był na czas jakiś w Warszawie. Ten doktor w ciągłej miał go kuracyi i z tej biedy incyzyą i lekarstwami wyleczył. Trwało to przecież przez kilka tygodni, a ja wielką miałem przyjemność z towarzystwa zawsze wesołego Józefa. Doniosłem natychmiast o jego cierpieniach bratu jego a wielkiemu przyjacielowi memu, Eligiuszowi Piotrowskiemu, i niebawem nadesłano pieniądze na jego kurację. Niekiedy on figlami swemi wprowadzał mnie w kłopot. Raz gdy wróciłem z sesyi, widzę, że bierze w rękę szklanę nalaną i mówi niewyraźnie, belkocząc językiem:

— Dobrze, żeś w porę przyszedł; a więc do ciebie:

Wyrwam mu z rąk szklanę i zdziwiony, znachodzę w niej wódkę.

— Co to jest?—rzekłem. — Ty chcesz popełnić zbrodnię, samobójstwo! Jak się ważysz w tej chorobie i przy lekarstwach...

On przerywa jakoby pijany:

— Tak! bo życie już mi obrzydło! Daj dokończyć butelki, a może lichu mnie porwie; daj, daj, proszę!

Już miałem posyłać po doktora, gdy on w głos się zaśmiał i wyprowadził mnie z błędu. Kazał być przynieść sobie wódkę, aby nią lokaj mój obmył mu jego nogi, a tak dokładnie udawał pijanego, jakby był nim istotnie. Tą zdolnością udawania zrobił mi raz przysługę, o czem niżej nadmienię.

W Hotelu Hamburskim, gdzie za pół rubla dość porządne jadłem obiady, usługiwały nam zwykle subretki. Przed rokiem 1812, to jest za czasów

Księstwa Warszawskiego, wszyscy prawie oficerowie konsystujący w stolicy, uczęszczali do tego hotelu. Pomiędzy nimi zdarzali się zamożni, a ztąd niekiedy hojni dla owych dziewcząt, zawsze przyzwocie ubra-nych, a których czyste obyczaje nie były narażane na krzywdzącą ich obmowę. Jedna z nich, Marysia, wcale nieładna brunetka, odznaczała się wśród powa-nych szlachetnością i dobrocią, którą każdy z rysów jej twarzy zgadywał, a te jej przymioty więcej nad piękność ceniono. Ztąd za przyniesioną po skończo-nyim obiedzie kawę i fajkę, od zamożniejszych hoj-niejsze odbierała datki. Oszczędność dopomogła jej w lat kilka zebrać mały na niepewną przyszłość ka-pitalik.

Po nieszczęsnej wojnie 1812 roku, gdy resztki wojska polskiego przechodziły przez Warszawę, aby dalsze toczyć boje z Niemcami, którzy zdradziecko odstąpili sprawę Napoleona, wielu oficerów w zupeł-nyim było niedostatku. Poczciwa Marysia wszystko, cokolwiek posiadała z ich niegdyś hojności, sprzedając żądania, chętnie złożyła na ich konieczne potrzeby. Później, pozostali z porażek, mianowicie pod Lip-kiem, gdzie w nurtach Elstery zginął ich wódz na-czelny, książe Józef Poniatowski, gdy weszli w dniu 8 września 1814 roku smutni do Warszawy, z od-głosem przeciw sławy sztandarów ojczystych, pięknie opiewanej przez poetę Morawskiego gdzie wkrótce potem pocieszono ich tytułem konstytucyjnego króle-stwa, wówczas w nowouformowanej z trzydziestu tysięcy armijce oficerowie, przed dwoma laty obda-rzeni wsparciem dobrej Marysi, rozgłosili po wszyst-kich pułkach jej dobroczynność. Ztąd powstała myśl w szlachetnych umysłach, aby okazać jej wdzięczność. Złożono się ile ich starczyło na fundusz najęcia ho-telu dla Marysi i na wszelkie w nim przybory, gdzie-by wygodnie zamieszkawszy, utrzymywała dla nich śniadania, kawę i fajki. Oprócz gwardyi, ciągle przebywającej w Warszawie, połowe pułki piesze

I konne koleją po dwa miesiące konsystowały w stolicy. Nie dziw przeto, że w roku 1816 już obliczano posażek Marysi około dwóchkroć sto tysięcy złotych wynoszący.

Bywałem tam niekiedy dla towarzystwa znajomych oficerów na czarnej poobiedniej kawie, gdzie przy fajkach grywano w domino. Tam dowiedziałem się o szczegółach zasług poczciwej Marysi i o tym jej posagu.

Marszałek Lipski był w Warszawie z panem Żytyńskim, wówczas ubogim a młodym. Poprosiłem ich raz do Marysi na kawę, a gdy Lipskiemu opowiedziałem o jej u wojskowych zastudze i ztąd o wdzięczności, jakiej od nich doznaje, przysłała mu myśl ożenić Żytyńskiego z dobrą i posażną Marysią, i kawaler, który ją przechodzącą już widział, łatwo sklaniając się do tej myśli, prosi mnie na pośrednika. Z fajką w ustach wchodzę do osobnego jej pokoju, jako dobrze znany, i objawiam, że oto obywatel wołyński upodobał ją sobie i zamierza starać się o jej rękę.

— Pan żartuje sobie z biednej dziewczyny, bo ja podobać się nie mogę.

— Alboż tylko piękność — rzekłem — zajmować nas może? Panna Marya z twarzy i ułożenia bardzo jest miłą, a pomnąc na dawne jej cnoty, niejeden radby pozyskać jej serce.

Ona, śmiejąc się, przerwała:

— Czemu pan otwarcie nie mówi: niejeden radby dobrać się do głośniejszej mej kieszeni! Dajmy temu pokój! Gdybym nawet ważyła się przyjąć tę propozycję, czyliżbym była szczęśliwą? Proszę pamiętać, że ja mieszcanka z rodu i z mojego stanu; gdybym, oszalawszy, posłuchała tak pochlebnych słówek, to na Wołyniu doznałabym wzgardy od obywatelk. Wytykanoby mnie palcami ztąd, że za trochę pieniędzy wkradłam się do ich towarzystwa. Na koniec, ja nigdy nie pójdę za męża.

— Proszę jednak przypatrzeć się panu Żytyń-
iemu; dość na to przejść tylko przez pokój, on bę-
sie siedział tuż przy mnie z prawej strony. Z fizyo-
nomii jego panna Marya pozna, że niezawodnie do-
ym będzie jej mężem.

Serdecznie tylko zaśmiała się na to. Ale prze-
ż, gdy wyszedłem od niej, ona po chwili upatrzy-
potrzebę przejścia przez salę, gdzieśm wśród innych
wędzili i gdzie Żytyński z prawej strony usadowił
ę przy mnie i rzuciła okiem na nas. Później nie
zysło mi pytać Lipskiego, czy kawaler mówił co
osobności z Marysią. Ale następna okoliczność
da mi domysł, że pewnie już była pomiędzy nimi
jna rozmowa i że Marysia skłania się ku zamiarom
na Żytyńskiego.

Okoliczność zaś była taka: kiedy z Warszawy
iał wyjeżdżać marszałek Lipski, z którym poznałem
chanego Karola Czarnockiego, złączyło się z nami
oło dziesięciu innych z młodzieży wołyńskiej, na
ele których był Janusz Nowowiejski, wielki Lip-
iego przyjaciel; postanowiliśmy odprowadzić Lip-
iego w całym komplecie jemu tam życzliwych do
ilanowa, aby uczcić go niespodzianką. Ze składki
szej był zamówiony kucharz z całym przyborem
wybornego obiadu. Były zakupione wina i porter,
ja udałem się do Marysi o przysposobienie na
eń oznaczony rozmaitych ciasteczek i kawy dla cale-
naszego towarzystwa. Marysia bardzo wdzięcznie
yjęła to zamówienie, a gdy chciałem dać jej część
ąś na rachunek należności za to, powiedziałam:
mi:

— Pozwólże pan, aby i mnie wolno było na-
ść do pożegnania choć tą bagatelą dobrych przy-
ół pana.

— A czy pozwoli panna Marya, abym to po-
dział panu Żytyńskiemu?

— Powie pan, lub nie powie, wyjdzie na je-
: on odjedzie i zapomni o mnie.

Czy trafnie to zgodła, niżej opowiem.

W Wilanowie przy uczcie dla Lipskiego i po niej gęste szły koleje toastów po staropolsku. Było to w niedzielę. Tegoż dnia wieczorem miałem wrócić do Warszawy, aby nazajutrz być na sesyi. Ale ochota przeciągnęła się do tak późnej pory, że po wazie ponczu już nam kleiły się oczy do spoczynku. Naniesiono siana do oberży i pokotem spaliśmy do białego dnia. Nazajutrz, z łaski Marysi, która najętą przez nas bryką przysłała nam starego kredencera do usług z zapasem rozmaitych na śniadanie wiktuałów, jeszcze żegnając Lipskiego, dopiliśmy resztę naszych trunków, a po jego z Żytyńskim odjeździe, wynagrodziwszy sownie kredencera Marysi, z szumiącymi głowami, nie prędzej jak o godzinie trzeciej po południu wyjechaliśmy z Wilanowa. Do mojego koczyka wsiadł dobrze podpiły Janusz Nowowiejski. W ciągu tej podróży chciało mu się koniecznie wydrzeć lejce z rąk furmana, a po daremnym mocowaniu się, wydarł mu biczysko i w gniewie końcem bicza silnie go zaciął po głowie. Furman schwyty się za ucho, a ujrawszy krew na swych palcach, cicho, bez szemrania i skargi, oddał mu lejce, zsiadł z kozła i stanął za koczykiem.

Gdyśmy się zbliżyli do rogatek tuż obok karczmy, Nowowiejski kazał wynieść szklanę miodu. Furman ją wypił i pięknie podziękował. Wjechawszy do miasta już z furmanem na kozle, który, zdało się, jakby zapomniał o swej krzywdzie, wysiadłem na Lesznie przed moją kwaterą, a furman zapłacony miał moje polecenie, aby odwiózł Nowowiejskiego do jego mieszkania. Spełnił to polecenie najchętniej, śnać dlatego, aby wiedział, gdzie ma uderzać z przetensyą. Jakoż nazajutrz wytoczył proces. Nowowiejski odebrał wezwanie od podsędka do osądzonego przed nim stawienia się; podobnież i ja wezwany byłem na świadka. Ten wypadek nauczył mnie, że podobne sprawy i wszelkie gminne i fur-

mańskie zatargi, wedle miejscowego prawa, rozsądza podsedek. Lecz proces przerwany został. Nowowiejski wykupił się od tego sądu ofiarą dla furmana dwóch dukatów. Ciężyla i na mnie wina przed naszą komisją. Zabrałem był do siebie papiery w sobotę, aby coś wygotować na poniedziałkową sesję. Wprawdzie rzecz była gotową, ale u mnie, pod moim kluczem. Komisarze o zwykłej godzinie przed południem zjechawszy się, napróżno czekają na moje z papierami przybycie. Waltz wlatuje do mnie i zastaje tylko chorego Józefa Piotrowskiego w łóżku. Pyta o mnie. Józef, wyborny aktor, wiedząc gdzie jestem, mówi mu:

— To jak widzę panu nie wiadomo, iż on biedny tak mocno zachorował, że go wsadzono do karety, do jakiegoś doktora, który nie mógł się na wezwanie stawić.

— A czy nie ma tu jakich na wierzchu papierów?

— Wszystkie on zwykle zamyka do tej szafy, a skoro wróci, odeśle je zapewne, bo już nie będzie w stanie pracować z wami! Boleść, panie, bierz, patrząc na jego cierpienia!

I z mojej przyczyny, sesji nie było w poniedziałek. Ta, lubo mała, o jeden dzień zwłoka, nie była przykrą dla panów komisarzy tak dobrze płatnych, jak na przykład pan Okołów, który brał jako komisarz polski z kasy Królestwa po dwieście dukatów na miesiąc. Z naszych dwóch, starosta Kicki i Jan hr. Tarnowski żadnej nie chcieli brać pensyi. Gdy we wtorek rano, idąc na sesję, wstąpiłem do Waltza, ten był nadzwyczaj zdziwiony tak rychłym mojem wyzdrowieniem. Opowiedziałem mu o naszej wycieczce do Wilanowa a on w nowe wpadł podziwianie zręczności Piotrowskiego w udawaniu żalów nad moją ciężką chorobą. Co do zamierzonego związku pana Żytyńskiego z Marysią kawiarką, załowałem jej, że darmo poniosła koszta na pożegnanie

tego kawalera. On bowiem, wyjeżdżając z Warszawy, wziął bilet na świeżo wówczas zatwierdzoną loteryę klasyczną i wygrał na ten bilet pięćdziesiąt tysięcy rubli sr., za które kupił od mojej ciotki Raciborowskiej w powiecie Dubieńskim wieś Rykanie i ożenił się wedle skłonności serca z Wołynianką, panną Bromirską, a o cnotliwej Marysi zapomniał, jak ona trafnie wróżyła.

Wypadek odkrył przed moimi kolegami, że na Wołyniu byłem podsędkiem, o którym wszędzie młodzi panicze błędnie mieli wyobrażenie, wiedząc tylko, że warszawski podsędek sędzi bójki między furmanami. Raz będąc zaproszonym na obiad przez starostę Kickiego, gdym szedł do niego z Brunonem hr. Kicińskim, spotykam na ulicy kogoś znajomego dawniej; lecz nie dowierzając krótkości mego wzroku, pomiąłem go. Ten ktoś, niepewny także, zatrzymał się o kilka kroków za mną i na próbę odezwał się:

— Panie podsędku!

Na ten mój tytuł obejrzałem się i dopiero wówczas z głosu i twarzy bliżej widzianej poznaję adwokata naszego sądu ziemskiego, pana Młodziejowskiego. A więc, jako dobrze znajomi, powitaliśmy się. On przybył do Warszawy w interesie pani hrabiny Maryi Potockiej z Korca, córki stolnika litewskiego, księcia Józefa Czartoryskiego. Pożegnawszy na ulicy pana Młodziejowskiego (którego potem nieprędzej ujrzałem, aż zamożnym obywatelem powiatu Owruckiego w 1838 roku na wyborach, o czem pod tą datą [wypadnie mi nadmienić], wracam do Brunona oczekującego mnie na ulicy. Ten, znając niskie znaczenie mego tytułu w dzisiejszej Warszawie, pyta z wyraźnem zdziwieniem:

— Czy ty byłeś podsędkiem?

— Byłem; ale ty tego nie zrozumiesz. Może ktoś starszy wyjaśni ci obowiązki tego u nas urzędu wedle dawnych praw polskich.

I zacząłem mówić o czem innym. Ale śród biadu, gdzie byli wszyscy moi koledzy, Kiciński ię odezwał:

— Czy też pan starosta wie o tem, że Kono-
acki był podsędkiem?

Ja uśmiechnąłem się tylko, a starosta pyta:

— Czy istotnie pan byłeś na tym urzędzie?

Na to badanie powtórzyłem toż samo, com wprzód mówił u namiestnika: że po trzech latach tego urzędowania w powiecie Nowogrodwołyńskim, gdy mnie obrano znów na ten sam urząd, podałem ię do uwolnienia, aby w nowoodrodzonej Polsce choćby na szczelbu niższego znaczenia pracować.

Starosta wówczas zdziwionym kolegom moim jak moją niedawną przeszłość rozjaśnił:

— Ja po rozbiorze Polski długo jeszcze posiadałem majątek na Podolu, gdzie jak na Wołyniu w gubernii Kijowskiej rządzą się dotąd dawnemi polski prawami, mogę więc powiedzieć panom, którzy tych praw nie znacie, iż urząd podsędka sądu ziemskiego naprzód jest honorowy, bo bezpłatny; powtóre, powierza się osobie obeznaney z prawem godnej ufności współobywateli, zarówno jak urząd sędziego i pisarza tegoż sądu. Oni bowiem w swoim komplecie stanowią sąd w sprawach wynikłych z nierozumień o sumy i majątki choćby największe w swoim powiecie. Dla mnie rzecz tylko dziwna, że pan w tak młodym wieku już trzy lata spełniał ten urząd.

A Kiciński przerywa:

— Że on niezawodnie był podsędkiem, poświad-
czyć mogę, bo ktoś z jego okolic wołyńskich spo-
kawszy nas na ulicy, gdyśmy tu szli razem, powitał
o tym tytułem.

Na zdziwienie pana starosty powiedziałem:

— Wyznaję, że w roku 1811, gdy mnie obra-
o na ten urząd, mając lat 21, nie miałem nawet

dość czasu, aby zasłużyć sobie na ufność, lubo szedłszy ze szkół w roku 1809, natychmiast z tem sposobie się do sądownictwa w palestrze : mierskiej. Dobre-to stosunki mego ojca w pow zjednały dla mnie ufność współziomków.

— Wierzę temu — rzecze starosta — ale nie pana na drugie trzy lata już winien byłś swej zasłudze. Cieszcie się, panowie, że macie godnego kolegę!

I czcigodny starosta zawsze mi dawał dow wielkiej życzliwości. On-to w miesiąc po wejściu m do komisji podniósł mi pensję z dziesięciu do nastu dukatów miesięcznie.

Feliński, doczekawszy się w Warszawie wy z drukarni rządowej tomu pierwszego pism sw prozą i wierszem, dawał księgarzom częściami eg plarze jego do rozprzedania i brał od nich po ruble za każdy; wzięte zaś od nich pieniądze w całość natychmiast drukarni, jako umówioną należ za wydanie tego tomu. Gdym go raz odwie dostał mi się w darze ten pierwszy tom z ręk gdzieś później znalazł zamieszczone przez niego je imię w spisie prenumeratorów, lubo nie należ do nich, bom nie wiedział, że tą drogą on d swoje wydaje. Nadto zaś, na pierwszej białej ce broszury, ręką swoją napisał te pochlebne mnie wyrazy:

„Szymonowi Konopackiemu, młodzieńcowi kich nadziei, ofiaruje przyjaciel A. Feliński“.

Tę książkę, jako najdroższą pamiątkę, dotąd lęgnuję oddawna oprawną razem z drugim to p. t. „Pisma własne i przekładania wierszem A go Felińskiego w roku 1821“, już w rok po śr jego wydane w Warszawie z drukarni M. Glück ga. Wyrazy ręką jego na pierwszym tomie n słone „*młodzieńcowi wielkich nadziei*“, powinnyby ciężać na mojem sumieniu; bo czemuż godnem v mniemania odznaczył się mój wiek długi? Społe

two tak lichą miało ze mnie pomoc, że nawet nie wyrówna korzyściom z dzikiej gruszy na polu rolniczym. Uspokaja mnie przecież to przekonanie, latami przeżyte, że nie na mnie jednym ciężą zawodne nadzieje. Ileż razy rzucone w dobrze uprawną ziemię najpełniejsze ziarno wysiliło się tylko na bujną w listki kłodygę, a dało plon szczupły! Prawidła pisowni w tym pierwszym tomie doradzane przez Felińskiego burzyły niektórych starych literatów. Jan Śniadecki, pod imieniem Zygmunta Szczeropolskiego, w liście do redaktora „Pamiętnika warszawskiego“, niby z Krzywicy dnia 21 października 1816 roku pisany, w wielu punktach co do pisowni powstaje przeciw autorowi. Skoro ten list wyszedł w Pamiętniku, Feliński z pod Żytomierza, ze wsi Wołosowa, przysłał mi replikę swoją anonimową, i w osobnym liście do mnie polecił, abym ją oddał panu Bentkowskiemu Feliksowi, redaktorowi Pamiętnika, z tem, że ją przyślano pod moim adresem z Krakowa. Autor historii literatury polskiej chętnie ją przyjął. A chociaż w początkach niektórzy, do dawnej pisowni przywykli, zbrabaniali się przyjąć uwagi Felińskiego, przecież dziś cały naród w punktach ważniejszych ściśle go śladuje. Dzisiejsza młodzież, pisząca poprawnie, nie zna jego rozprawy o pisowni, a jak ją nauczono z przekonania używa jego prawideł. O Felińskim zaś, jako o poecie, niektórzy z młodszego pokolenia nie tylko wiedzą, że mistrz Mickiewicz w roku 1828 w przedmowie do poezji swoich, w Petersburgu wyznaczonych, żartował z jego pracy nad długą poprawą umaczenia „Ziemiaństwa“ z Delila, a o jego tragedji o t. „Barbara“ zamilczał. O wrażeniu, jakie ta tragedia przy pierwszym jej przedstawieniu w Warszawie dnia 1 marca 1817 roku sprawiła, napiszę pod wspomnianą datą, a tu zostawiam pamiątkę zdziwnego przez starość sądu mego, że jak Mickiewicz niezrównany w swoim „Panu Tadeuszu“, w „Granynie“ i w „Walenrodzie“, słuszną mam prawo do nie-

śmiertelności, tak Feliński uwiecznia się przyjętą całą naród pisownią.

Z gubernii Kijowskiej przybyła do Warszawy znana mi pani generałowa Jerliczowa, rodzona pani podkomorzyny Piotrowskiej, u której mieszkałam w Bratałowie, w sąsiedztwie moich rodziców. Mieszkałam tam przez dni kilka w jej domu na wsi w Krzywe, z przyjacielem moim, a jej siostrzem Eligiusem Piotrowskim. Było to ku końcowi lat roku. Młode tam towarzystwo nasze przy różnych osobach ożywiało się powabem dwóch dziewczyn, zajmującej powierzchowności, a wysoce uczynnych panien: Klotyldy Czajkowskiej, siostry pani generałowej, i Karoliny Nieborowskiej, która była za Janem Piotrowskim, starszym Eligiusza. Połączeni szacunkiem i zażyłą znajomością między sobą, przelotnych żartów, swoimi w przechadzce za wsią używaliśmy ostatnie lata. Tam w pasiece pomiędzy sośniną znalazłam kilkanaście prześlicznych rydzów. Gdyśmy z przechadzki, nasze panny zajęły się ich smażeniem przy ogniu kominka. Wtem nadjeżdża do gości stary szambelan, Wąsowicz, ojciec pułkownika polskich, niegdyś ordynansowego oficera cesarza Napoleona I-m. Ten szambelan, jak wny ukraiński improwizator dykteryjek, mianem przez Henryka hr. Rzewuskiego bardem polskim wiodł nam tej w wysokim stopniu zdolności. Panny zajęte przy kominie smażeniem rydzów, taką nas legendą ubawił:

— Powiem asanństwu rzecz podziwu godną. Ojciec mój bawiąc w Warszawie, miał stosunek do brej z nuncyuszem znajomości, i na pamiątkę dostał od niego kamień łokciowej długości w kształcie podobnym do bruska. Czy uwierzycie mi asan? Oto patrzyłem własnymi oczami na cudowność kamienia. Bywało, zagotują na kominku czyszącą dę kryniczną. Skoro wodą zakipi, ojciec mój

ęstych u nas gości polewał wrzącą wodą ów kameń i w minutę po pewnym szumie i jakby piszczelu owego brusa, zaczynały wyrastać na nim malutkie rydze. Rosły w oczach naszych, a rosły zwiększając się nadzwyczaj prędko; i jak dorosły wielkości, jak asaństwo widzicie w tej patelni, mój cieć zrzywał je przy samym kamieniu i znów wrzącą wodą polewał brus, póty, póki nie zebrał rydzów i cały pótmisek. Otóż ów nieoceniony kamień przedł w czasie konfederacyi Barskiej.

Mnóstwo podobnych improwizacyj szambelana łama Wąsowicza mógłbym tu przywieść. Zostawię na później. O tych rydzach z kamienia przyszło mi wspomnienie ztąd, że on o nich mówił, gdy byłem na wsi u pani Jerliczowej. Ona w roku 1816 przybyła do Warszawy po radę stołecznych doktorów medycyny za silnie chorą, a wyżej wspomnianą strzenicą swoją, panną Klotyldą Czajkowską. Ja dobrze im znany, odwiedzałem je niekiedy. Chora panna Czajkowska z wielkiego osłabienia zaledwie zez pokój przejść się mogła. Młoda i piękna panna sła stopniowo, jak podcięty kwiatek. Bezdieta łowa, jej ciotka, sercem matki przywiązana do niej, ukąła stosownych do jej upodobań rozrywek. Raz byłem u niej, prosiła mnie o nowe jakie książki polskie lub francuskie. Ja zaś miesięcznie konowałem u starego Mikołaja Glücksberga coś zaszę do czytania, płacąc mu dukata na miesiąc; a bywały to zwykle albo niewinne powiastki, albo książki lukowe. Rad więc przysłużyć się chorej, przyrzecem ciotce dostarczyć coś nowego z literatury.

Gdym od nich odchodził, lokaj generałowej, za nią idący, miał wnet im przynieść żądane książki. Stępuję do księgarni na Miodowej i proszę o coś nowego, jakoby dla siebie. Młody Glücksberg daje mi dwa tomy jakiegoś dzieła francuskiego i bardzo zachwala. Nie patrzę na tytuł, wynoszę książki ulicę i czekającemu tam lokajowi oddaję. W ty-

dzień potem jestem u pani generałowej i dostrzegam, że mnie nie ze zwykłą przyjmuje ochotą. Badałam o zdrowie jej siostrzenicy; powiedziała mi tylko, iż tak jest cierpiącą, że jej widzieć nie będę, a po chwili z twarzą surową zapytuje:

— Czy pan czytał te książki, któreś przysłał dla niej?

— Nie czytałem; księgarz tylko zapewnił, że są nowe i bardzo zajmujące.

— Może dla pana. Ale nie godziło się przysyłać ich do mojego domu. Szczęściem, one były w moim tylko ręku. Spojrzałam na wszeteczność rycin i z oburzeniem rzuciłam je o ziemię. Oto one są, racz pan to plugawstwo zabrać odemnie!

Wyjęła książki z zamkniętej szuflady i dodała młodemu przestrozę:

— Niech pan odtąd pamięta, że chcąc udzielać dla przyzwoitej panny jakiegobądź do czytania książki, należy koniecznie znać ich wartość odpowiednią jej wychowaniu, aby się później nie rumienić.

Przepraszając za moją nieuwagę poważną matronę i dziękując jej za daną tak łagodnie naukę, ucałowałem siedzącą w kolano. Wyszędłszy ztamtąd, zajrzałem do tych książek... O! jakżem uczułem się winnym! Jak ciężko wyrzuciłem sobie niebacność moją! W rycinach tak wszeteczna była sprośność, na jaką tylko Francuz w wyuzdanej rozpustliwej zdobyci się może! W gniewie na te książki, które mnie na wstyd naraziły, nie czytając ich, oddałem Glücksbergowi. Wkrótce potem zgłosiła w Warszawie w ostatnim stopniu suchoty pełna zalet panna Klotylda Czajkowska. Zdawało mi się trzy lata wprzód, gdy z Eligiuszem Piotrowskim byłem na wsi u pani generałowej, że on czuł więcej niż familijne do panny Klotyldy przywiązanie. Mógł ją kochać szalenie, bo i z powabów powierzchownych i z pięknego ukształcenia mogła takie wzbudzić w młodym kuzynku uczucia.

O stosunkach ściślejszej przyjaźni pomiędzy nią panną Karoliną Nieborowską napisałem niegdyś wspomnienie w „Dzienniku Warszawskim“ pod redakcją Henryka hr. Rzewuskiego drukowane, a które nachodzi się w tomie trzecim rękopisów moich na tarcie 65. Mam w czerwonej księdze mojej, jako w imienniku, ręką Klotyldy Czajkowskiej pięknym jej charakterem na pamiątkę napisane te cztery francuskie z roku 1814 wiersze:

„L'amour est un enfant qui veut être conduit,
L'espérance est son guide, en aveugle il la suit;
Il veut qu'on le séduise, et non pas qu'on l'éclaire:
Voilà de son bandeau la cause et le mystère. C. C.”

Nie dziwię się, że wolni Szwajcarowie, przywiązani do gór ojczystych, bawiąc za granicą kraju swego, tak niezachwianą miłością tchną ku niemu, że od przyjętych za granicą obowiązków, choćby najkorzystniejszych, tajnie uchodzą, skoro zdarzy się im dosłyszeć ich śpiew narodowy. Podobnego cokolwiek doznałem wrażenia, przyszedłszy raz na wieczerzę do hotelu Wileńskiego. Mało osób i cisza jeszcze była w sali. Z drugiego pokoju, przez otwarte drzwi, dochodzi mnie nucenie dumki ludu wiejskiego okolic noich, ale tak rzewne, tak przejmujące, że w zachwycie, na palcach, aby śpiewaka nie spłoszyć, wszedłem tam i byłbym słuchał nie wiem jak długo, gdyby mi but nie skrzyznał. Nagle obejrzał się na mnie polski oficer, który tę piosnkę, oparty o odemknięte okno, samotnie nucił.

— Przepraszam pana — rzekłem mu — żem miał przerwać mu dumanie przy tak lubem dla mnie nuceniu.

— Pan — odpowiada mi — zapewne jesteś rolem z Ukrainy lub Wołynia?

— Zgadłeś, panie; Wołyniak jestem, a niedaleki sąsiad Ukrainy i dlatego owa żałośna nuta ludu naszego tak do mej duszy przemawia.

Wyjawiliśmy wzajemnie swoje nazwiska i poda-
 liśmy sobie ręce. Był to Kacper Bromirski, kapitan
 drugiego pułku ułanów, ozdobiony wojennym krzy-
 żem polskim i znakiem legii honorowej. Ma kwatere
 zwykle na prowincyi, a przybył z pułkiem na czas
 krótki i po tak zabranej znajomości odwiedzał mnie
 niekiedy. On również był rodem z Wołynia. Brat
 jego, Józef Bromirski, zajmował się gospodarstwem
 w wiosce niewielkiej, a wspólnie do nich należącej.
 Raz gdy był u mnie po przynosinach moich z Leszna
 na mieszkanie w zamku królewskim, o czem niżej
 będzie, oglądając mój apartament z posadzkami wo-
 skowanemi, zawołał:

— Co to jest, powiedz mi? Poznałem twój
 charakter: nie przez żadne łotrowstwo zamieszkałeś
 dom królewski; bierzesz piętnaście dukatów miesię-
 cznie i po spokojnej a niedługiej pracy z piórem
 w rękę już błyszczy na tobie krzyżek. Ja mam ich
 dwa wprawdzie i z takąż tylko pensją rangę kapi-
 tana; ależ na to ryzykowałem życie raniony w Hi-
 szpanii i pod Moskwą; a na kwaterze wiejskiej, nie-
 tylko posadzki, lecz nawet nie mam podłogi, bo
 u chłopu chłopskie mam mieszkanie. Co to jest!
 Zkąd tak wielka różnica w losach naszych?

— Wierzę temu — rzekłem — że wszystko Bóg
 dobrze urządził. Moje położenie jest chwilową a po-
 zorną tylko wyższością. Z tego pałacu niezadługo
 przeniosę się do domowej wiejskiej zagrody i na za-
 wsze będę niczem dla świata. A w chlubnym two-
 im zawodzie, po tak szczęśliwie przebytych goryczach
 i cierniach, po koniecznych szczeblach znaczenia,
 otrzymasz nie pozór, lecz istotną między ludźmi wyż-
 szość z miłą dla ciebie wspomnieniem poniesionych
 ofiar dla kraju.

Po wyjeździe moim z Warszawy dowiedzia-
 łem się, że Kacper Bromirski, dymisyonowany major,
 otrzymał od rządu miejsce obwodowego w Hrubie-

szowie komisarza, co odpowiadało urzędowi u nas marszałka powiatowego.

Idąc raz ulicą o rannej porze, spotkałem dobrze mi znajomego pana Śliwińskiego, odstawnego kapitana wojsk polskich. Zdało mi się, że staranniej niż zwykle był ubrany; lecz zapewne z pośpiechu nie obejrzał w zwierciadle swej twarzy. Zrobiłem mu więc uwagę, aby chustką starł pod bakenbardami świeżo pozostałe po goleniu mydło. On, dopełniwszy tego, powiedział mi:

— Rad jestem twemu spostrzeżeniu; bo ile razy zasiądziesz z brzytwą w rękę przy toalecie, będziesz mnie wspominał do śmierci; a teraz żegnam cię, bo dziś... widzimy się może po raz ostatni!

Scisnął mnie za rękę i spiesznie odszedł. Nazajutrz zrozumiałem to zagadkowe jego pożegnanie. Na kilka miesięcy przedtem głośny był o mil kilka od Warszawy następujący wypadek.

Młody, majątny obywatel pan Rafał N., był ożeniony z piękną panną, po której wziął posag milionowy. Po dwóch latach zgodnego pożycia przybył w ich sąsiedztwo najbliższe, przesiąknięte obyczajami Paryża, gdzie ostatnie a zgubne brał wyglądzenie, pan Rudolf, i objął po zmarłych rodzicach majątek. Młody a ujmującej postawy, począł często odwiedzać dom pana Rafała i zawarł z nim ścisłą jakoby przyjaźń. Państwo Rafałowstwo mieli dwuletniego syna, którego zarówno tak ojciec, jak matka, koleją na kolanach pieścili. W rok po przybyciu w ich sąsiedztwo pana Rudolfa, pan Rafał sprzedał mu ze swej stajni wierzchowego konia. Raz śród jesieni, o ciemnym wieczorze, pan Rafał, siedząc przy kominie, spokojnie rozmawiał z żoną siedzącą opo i synka trzymał na kolanach. Lecz zaledwie go spuścił na ziemię, wystrzał przez tafłę okna, trafił w samą pierś nieszczęśliwego Rafała. Służący rozbiegli się, aby szukać zabójcy. Nie znaleziono nikogo z powodu wielkiej ciemności na dworze. Lecz koń, niedawno nabyty

przez sąsiada, nastraszony snąc wystrzałem, urwał się zaczepiony cugłami u sztachet przy dworze i wprost zmierzając do znajomej mu stajni, stanął przy niej. Wprowadzono go do stajni; ten koń był dostateczną wskazówką do dosłedzenia winowajcy. Rządca dóbr zabitego Rafała, mając młodego sąsiada w podejrzeniu, dał nazajutrz rychłą wiadomość o wypadku władzy policyjnej, donosząc zarazem o kupionym przez sąsiada Rudolfa koniu, który wnet po wystrzale znalazł się osiodłany przy stajni. Na tę wiadomość, przybyły urzędnik przyaresztował pana Rudolfa, otoczywszy dom jego strażą. Skutkiem podejrzeń, rzuconych przez rządcę dóbr zabitego, urzędnik przejrzał toaletę pozostałej wdowy i znalazł w niej miłosne z panem Rudolfem korespondencye, z których docieczono jakoby znowę na pozbycie się jej męża.

Oboje współwinowajcy przywiezieni byli do Warszawy, gdzie ich osobno uwięzionych trzymano. Pan Rudolf niezadługo potem umarł w więzieniu. Wdowa zaś, przez wpływy bogatej familii z pobłażaniem osądzona, wyjednała tę dla siebie powolność, iż w oczekiwaniu na zatwierdzenie dekretu przez najwyższą władzę, dozwolono jej przenieść się z więzienia do najętej przez nią kamienicy, gdzie pod wojenną strażą zostając, była odwiedzana przez krewnych i przyjaciół. Widywałem nieraz na ulicy Długiej przy drzwiach u wejścia do tego domu dwóch z bronią żołnierzy.

Kapitan Sliwiński, jak mówiono, liczył się do znajomych jej dawniej i otrzymał bilet swobodnego jej odwiedzania; tu nieszczęsna dla niego zawiązała się miłość, która skutkiem umowy pomiędzy nimi, miała być wieńczona ślubem, skóro nastąpi oczekiwane z Petersburga potwierdzenie dekretu. Ale niestety! dnia tego, w którym go rano spotkałem, przyszedł wyrok Cesarza Aleksandra I, skazujący ją na pewną ilość różeg co piątek przez lat nie pomnę ile;

Sławiński, wystrzałem życie sobie odebrał. Nie pojmuję, jak człowiek prawy mógł się zaślepić miłością dla osoby literalnemi dowodami przekonanej o współuctwo w mężobójstwie. Jak ślepą była obojętność na wszelkie światowe przeszkody, przypuszczane jedynie pomiędzy dwiema prawie anielskimi duszami, które w czystocie swojej nietknięte są nawet pozorem jakiejbądź winy. Niedługo żyła i ta wdowa pod tak ciężką karą.

Przez rozporządzenie namiestnika Zajączka, za przybyciem do Warszawy Cesarza Aleksandra I, zmieniono dotychczasowe miejsce urzędowania komisji naszej; z piętrowych apartamentów obok sali senatorskiej, do której od nas wchodziło się na galerję, po obu jej stronach będącą, z której patrzyliśmy nieraz na tron dawnych królów polskich, począwszy od Zygmunta III, i na te same fotele, na których niedługo ojcowie ojczyzny ku dobru powszechnemu rządzili; a ta sala wysokością swoją zajmowała dwa rzędy okien: dolny i piętrowy; przeniesiono nas w drugą stronę tejże linii pałacu na dół, do ogromnej sali ejmowej, która sienią tylko była oddzieloną od senatorskiej. Bruno Kiciński ze swoich pokojów zamkowych, zwanych salą pod zegarem, przeniósł się także do najętej na Nowem Mieście kamienicy i tak ją sobie upodobał, o czem niżej wspomnę, że opuszczać jej wcale sobie nie życzył; sale zaś nasze i pokoje Kicińskiego w zamku zajmowali w ciągu bytności Cesarza ambasadrowie z Wiednia i z Berlina.

Po wyjeździe Cesarza i ambasadorów wrócili sesje komisji na dawniejsze miejsce. W kilka dni potem, gdyśmy byli na obiedzie u starosty Kickiego, on poleca Kicińskiemu, aby znów zajął salę pod zegarem z tego względu, że papiery komisji nie mogą zostawać bez pewnego nadzoru. Ten rad najętemu nieszkaniu, fałszywie tłumaczy się, że je z góry za wartą opłacił, i dodaje, o czem odemnie nigdy nie słyshał, że z pomiędzy nas ja mam niedogo-

dną na Lesznie kwaterę. Na to starosta ozwał się do mnie:

— Niech więc pan raczy przenieść się do apartamentu, który Bruno w zamku zajmował. A jeśliby robiono tam jaką trudność, bądź pan u marszałka dworu, pana Brońca, i powiedz mu, że ja w tym przedmiocie mówić z nim będę na klubie czwartkowym.

Wróciwszy do siebie, wnet nająłem dwie dryndule dla upakowania w nich wszystkich moich rzeczy, pomiędzy którymi liczyłem za najważniejsze dla mnie pierwszy tom dzieła Felińskiego, którego egzemplarze w znacznej jeszcze liczbie nie były sprzedane księgarzom. Mój gość kilkotygodniowy, Józef Piotrowski, ozdrowiawszy, wrócił do swego pułku czwartego ułanów, który w tę porę przybył do Warszawy. A ja w dniu mojej bytności u starosty Kického spokojnie nad wieczorem zamieszkałem w zamku. Nazajutrz za to silne wytrzymałem natarcie. Naprzód rano, gdy piłem kawę, tak pewny mojej siedziby, jakby jego królewska mość w swoim domu, wchodzi jakiś jegomość z pałacowej służby, ale z niższej kategorii, jak wnosić mogłem z wytartego kubraka, i zapytuje mnie, jak śmiałem w zamku nocować?

Powiedziałem mu tylko, że nie przed nim będę się z tego tłumaczył. W pół godziny przyszedł drugi we fraku, porządnie ubrany, a ten bez żadnej impozycji prosił usilnie, abym jak najprędzej wyniósł się i dodał:

— Ja z panem wojny toczyć nie będę, rzeczy jego wyrzucać nie każę; ale czyliż pan zechcesz, abym miejsce stracił?

Upewniłem tego pana, że wnet będę u marszałka dworu, aby z nim w tym przedmiocie pomówić.

Marszałek Broniec znany mi był osobiście. Janusz hr. Iliński z Romanowa, syn senatora, młodszy

urat Henryka, był czas jakiś, może pół roku, w służbie cywilnej w Warszawie przy W. Księżu, to jest zaliczony był do jego kancelaryi i otrzymał rangę radcy honorowego; potem przeniósł się do służby wojskowej, i na mocy owej rangi został oficerem w pułku gwardyi ułanów rosyjskich, konsystujących w Warszawie. Gdy obłożnie zachorował, ja niekiedy odwiedzałem go; i on raz, mając pana Brońca u siebie, zapoznał mnie z nim. Później nieraz na publicznych miejscach spotykając się, ukłon za ukłon, jako znajomi, oddawaliśmy sobie. Ubrawszy się przyzwoicie, idę do jego mieszkania w tymże zamku na dole naprzeciw moich okien. Nie zastałem go w domu. Odchodząc, gdy już jestem w sieni, podjeżdża karetą, z której on wysiada. Skoro spojrział na mnie, najuprzejmiej wita, sądząc, że przyszedł z wizytą. Wprowadzą mnie do pierwszego pokoju i grzecznie wskazuje wejście do dalszych. Ja wstrzymuję się i nie zajmując mu czasu, treściwie opowiadam cel mego przybycia.

— Jak to! Pan w zamku nocowałeś! To być nie może!

— Tak jest najrzetelniej.

— Ja o tem wiedzieć nie chcę!

— To niech o tem raczy pan wiedzieć, że jestem sekretarzem komisji handlu i żeglugi, która obok apartamentu przezemnie zajętego, miewa swoje sesye, a papiery tej komisji są pod moją wiedzą.

— Ja o tem, przebacz pan, słyszeć nie chcę, radzę, abyś pan jak najprędzej wyniósł się z zamku, bo W. Książę, który zwykle przed południem jeździ na dziedziniec zamkowy dla obejrzenia oddziału wojska na straży, jeśli dojrzy w oknach pokojów, które pan zająłeś, jakibądź dowód, że ktoś tam zamieszkał, w takim razie okropne następstwo potkać pana może!

— Ależ te pokoje przed przybyciem Cesarza

były zajmowane przez kolegę mego hrabiego Kicińskiego.

— Ja o tem nie wiedziałem.

— Niech pan raczy tymczasem zapomnieć o mnie; a że ja nie z własnej woli tu zamieszkałem, przekonasz się pan z rozmowy w tym przedmiocie z panem starostą Kickim, członkiem naszej komisji, który uprzedził mnie, że na wypadek trudności, jakich dziś doznaję, on je załatwi, widząc się z panem w klubie.

A przytem upewniłem go, że z okien moich nikt nie dostrzeże ani poзору, że ktokolwiek tam mieszka. Po takiej z panem Brońcem rozmowie pożegnałem go. Wróciwszy do siebie, poleciłem tylko memu pokojowcowi, aby nie śmiał pokazywać się w oknie wychodzącem na wewnętrzny dziedziniec, ani go otwierać, gdy W. Książę tam będzie. Odtąd najspokojniej aż do zamknięcia komisji mieszkałem w pałacu królewskim.

Nad wszelkie moje spodziewanie odebrałem, jak o tem wyżej jest wzmianka, grzeczną odpowiedź od marszałka radomyskiego z dołączonym dekretem legitymacyi mego pokojowca, Kajetana Kozłowskiego, i ten dowód jego rodowitości schowałem. Raz wróciwszy z miasta, pytam żołnierza stojącego przy wschodach na warcie o klucz do mego pokoju; on go nie miał, a przeto wnoszę, że mój służący nie wyszedł. Jakoż zastaję pokój otwarty, a służącego nie widzę, lecz słyszę głośnie łkanie. Badam, z kąd płacz pochodzi? Wtem z pod czerwonego sukna, które okrywało mój stolik, pokazuje się twarz zalana łzami mego Kajetana.

— Co tam robisz? Czego płaczesz? Wylaż zaraz!

— Jak nie płakać! Kiedy już zapisano mnie w rekruty, a i pana zapiszą, jak tu mówili.

Oddałem mu wówczas dekret jego legitymacyi, nauczyłem, jak ma się bronić na wypadek podo-

go natarcia w mojej nieobecności, a żył jego wnet mowały się. A jaką miał ten chłopiec korzyść z tego dokumentu, niżej to opowiem.

O! jak silnie ugodziła mnie w serce niespodziana wiadomość, odebrana w liście od przyjaciela! Prawdzie już dawno minął był w połowie r. 1816 żny dla mnie termin, przez nierozwagę naznaczo-przezemnie, stawienia się po upływie sześciu miesięcy lub nigdy. Nie wróciłem przecież z Warszawy, też i wrócić mi nie należało przed ukończeniem nisyi, lubo podrzędne zajmowałem w niej stanowisko; przedmiot bowiem tej jurysdykcji, traktatem siedeńskim określony, znakomitej był wagi dla wszystkich prowincyj, składających niegdyś Rzeczpospolitą ską. Pewny byłem, że i panna Bierzyńska uznała słuszność mojego postępk. Raz tylko pisałem do Wołczyńca pod adresem jej babki posyłając dwa tomy powieści pod tytułem „Malwina,“ nieośmielony jakąbądź na mój list odpowiedzią, wierdziłem się w mniemaniu, z jakim w końcu 15 roku odjeżdżałem od nich, że tam kilkoletnia zerność moja na szyderstwo tylko zasługuje u tych, którzy chociaż okazywali przedemną pozorną gorliwość, przecież zgubny dla mnie wpływ wywierali na anielską sierotę.

Przed wyjazdem z domu mógłbym uprosić koż przyjaciół, ażeby listy moje do Wołczyńca oddał pod swoim adresem i oddawał je pani podkornicy Zaleskiej w obecności jej córek i wnuczki; n sposobem mógłbym zapobiedz, aby ktoś z upromychnych przez niechętnego dla mnie opiekuna panny chwycił ich z poczty i nie oddawał dla ich podar. Przecież nie szukałem tego pośrednictwa; bo też, le wówczas byłem pewny daremnej walki z trudnościami, o tyle później zdawało się, że po ukończonej komisji zastanę ją jeszcze swobodną.

Nakoniec, w smutnych dumaniach przypuszczając niekiedy, że ona prędzej lub później oiberze ko-

gość z sześciu tych, którzy w obecności mojej dość widocznie pragnęli jej się podobać. Najgodniejszym jej ręki zdawał mi się młody, przystojny i majątny, a bardzo zacny Teodor Rylski, o którym dziś nie wiem, czy żyje. Ten powziął ku mnie wzajemną sympatyę, a łączne współubieganie się o serce uwielbianej przez nas nie ostudzało bynajmniej naszej przyjaźni; nawet na pamiątkę wspólnych dla niej uczuć, które jakoby silniej nas wiązały, dał mi obrączkę podobną do tej, jaką miał odemnie. W tem groźnym konkurentów łatwo jej było zrobić przyzwoity wybór, nie licząc do nich szalonego jak zawsze Mikołaja Przyłuskiego, którego ona, jak mi mówiono, złapała na zalotach, a nawet na uściskach swej młodej pokojówki, po którym to wypadku, już się tam później nie pokazał.

Ale jakże oburzony byłem na wiadomość z tamtych stron odebraną, że ten, co był nieznośnym dla niej, jak przedemną najszczerzej mówiła, pan Maurycy Turkuł, otrzymał jej przyrzeczenie! Przysłania mnie ta wiadomość, jak gdyby świat cały zwałił się na mnie!

— Nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! — wołałem ciągle.—O, niegodnie sprzedano jej rękę!

Nie wiadomo tylko, czy pan Turkuł obowiązał się pokwitować opiekuna z wieloletnich rachunków za czas administracji posagiem w ziemi, czy też, jak mówiono, obdarzył pannę Teofilę, wcale nieposażną, ofiarą kilkudziesięciu tysięcy złotych. Lecz to pewna, że nie zważano na wstręt panny do kawalera, bo rozeszła się wieść, że biedna sierota mdlała, gdy ją przed ołtarzem postawiono obok niego...

Lat temu dwadzieścia z górami, już po skończonym jej męczeńskim życiu... Ale o tem napiszę pod właściwą datą. Tu dodam, że gdy w Warszawie 1817 roku doszła do mnie zabójcza wiadomość o tak okropnym losie najdroższej mojemu sercu, cicho a silnie przecierpiawszy, po jakimś czasie sta-

sm się zatrzeć w pamięci, że bywałem łudzony jej łączną przychylnością. Niekiedy potępiałem cały świat, niewieści, a przecież wspomnienie chwil drogich i miłych niej bez świadka poilo mnie słodyczą, za którą mógłbym wyrzekań czułem dla niej wdzięczność.

O! Bóg to tylko widział, że byłem kochany. Do dziś ga też, świadka uczuć naszych, wzdychałem, ażeby ona była o ile można szczęśliwą z nieznośnym dla niej. Ale widzieć ją?... Uchowaj Boże! nigdy już nie miałem.

Z tem wszystkiem, sama pamięć o niej, głęboko w sercu wyryta, nie dawała w niem przystępu i miejsca podobnym wrażeniom.

W styczniu 1817 roku drogi przyjaciel mój, pan Karol Czarnocki, już wyjechał na Litwę i od tamtego czasu go nie widziałem. On przez rok cały bawiąc w Warszawie, w chwilach wolnych od mego zatrucia, w komisji, najmilszym był mi towarzyszem. Rodzice jego mieli dwóch tylko synów, z których on był młodszym. Swobodnie używał przyjemności miasta; z upodobania i wedle wysokich zdolności umysłowych, podniesionych nauką w uniwersytecie wileńskim, zajmował się pracą literacką. Niektóre jego wiersze, wiersze francuskich i włoskich, wierszem łatwym przez niego tłómaczone, bywały grywane w teatrze warszawskim. Miał też stosunki zażyłej znajomości i przyjaźni z kilkoma damami z Litwy, zamieszkałymi w Warszawie. Jemu byłem winien znajomość z panią Syldenberg, regentową litewską, która oddana czuwaniu i wychowaniu swej piętnastoletniej córki, mało miała czasu z tamtejszym światem.

Bywałem niekiedy u tej poważnej damy i po jej prośbie odwiedziłem Czarnockiego, ażeby z nią o nim pomówić. Zastałem raz przed nią na stoliku lampę olejną, którą od lat pięćdziesięciu, już dziś bez użytku, posiadała u siebie. Takie lampy, z ozdobną kolumną na podstawie, świeżo się tam wówczas zjawiały. Nad-

mieniłem o dogodności takiego oświetlenia, zwłaszcza z gazą u wierzchu, jak widziałem u niej, co czy światło mniej dla oczu rażącym.

Ona zapytała:

— A czy panu wiadomo, że wszystkie w Londynie są oświetlone takimi lampami z gazą?

Zdziwionem okiem, zaledwie dowierzając się spojrzalem na matronę.

— Pan nie wierzy? przecież *Gazeta Warszawska* donosi o tem.

— Proszę przebaczyć! Pani się myli. W Londynie są oświetlane gazem, który się wydobywa przez suchą destylację z drzewa, węgla kamiennego i wszystkich innych materij organicznych. Wszelki gaz jest pierwiastkiem do składu tych materij i z takim i taki to pierwiastek, wydobyty stosownie do tego narzędziami, przy zetknięciu się z powietrzem, daje światło mniej lub więcej mocne.

— O! jakże panu dziękuję za tę naukę. Ja raz nie czytuję Gazety, bo cierpię na oczy; ale dni temu była u mnie pewna dama, która ją czytała i ujrzawszy tę moją lampę z gazą, przypomniała mi się źle zrozumiany artykuł z Gazety o tem oświetleniu Londynu i wprowadziła mnie w taki błąd. Wierze się stało, że po raz pierwszy splotłam tę lampę przed panem. Znam takich, co radziby byli wstać, aby kosztem moim rozśmieszyć drzewa i ludzi na niejednym wieczorze. A co do pana, pan jest, że raczysz zatrzymać przy sobie moją lampę i wierność i nieuctwo.

Kochany Karol Czarnocki nie zapomniał o mojej lampie. Z domu jeździł do Odessy i tam kupił dla mnie lampę z okna wyborczego tytoniu tureckiego, który w dość niedrogo kupił pudło łubianem, przez jadącego do Warszawy adyutanta generała Niesiołowskiego, sąsiada swego i raczył mi przysłać. Towar ten drogo się płacił w Warszawie, za oko po złotych 36; w Berdyczowie po złot. 8. W Królestwie było monopolium na tę

abakę. Oficer w przejeździe przez ówczesną granicę Polski doznał pewnego względu, i nie był rewidowany jak zwykle na komorze; a dla mnie najdroższą była pamięć przyjaciela.

W czasie mego pobytu w Warszawie zdarzył się okropny wypadek. Śród zwykłej parady wojskowej na placu Saskim, gdy pod komendą w. księcia wadron drugiego pułku ułanów stał w glicie po jednej stronie naprzeciw drugiego szwadronu o całej długości czyli szerokości placu, cały zaś główny sztab, aczający w. księcia w pierwszej grupie skupił się z boku, a na głos komendanta dwaj ułani w pędzie waltownym puścili się do stojącego przeciw sobie wadronu; koń pod jednym z nich rozshukany wziął kiel, a rzuciwszy się w bok ku grupie głównego sztabu, uderza piersią swoją w adyutanta generała Sokolnickiego; adyutant, padając na swego generała, waltownie obala go na ziemię. Sokolnicki tak silnie uderzył o bruk, że czaszka mu pękła i wkrótce życia dokonał.

Kraj cały uczcił żalem zasługi wojenne starego generała, Michała Sokolnickiego. On odprowadzał relikwie wojsk polskich po stracie ich naczelnego wodza, króla Józefa Poniatowskiego, i zwłoki jego sprowadził do kraju. Uczeń niegdyś warszawskiego korpusu kadetów, wysoce naukowo ukształcony, mianowany w r. 1810 generałem dywizyi, powołany przez Napoleona I do Paryża, został tam członkiem akademii nauk w instytucie narodowym; członkiem też był wielu innych za granicą towarzystw uczonych. Wiele znał jego w języku francuskim w przedmiotach inżynierji i nadobnej literatury pod rozmaitemi wyśzlami.

Wypadek jego śmierci zdarzył się d. 24 września 1816 r. Lecz przyszło mi wspomnieć o tem pod rokiem 1817, bo wtenczas, ze sprzedawanych po nim książek, nabyłem z drugiej już ręki „Dykcyonarz“

w 2-ch tomach akademii francuskiej, formatu ćwierakowego i kilka tomów dzieła Jana-Jakóba Rousseau.

Życiorys obszerny generała Sokolnickiego znajduje się u mnie w tomie III dzieła p. t. „Cmentarz Powązkowski,” Wojcickiego, i tegoż autora artykuł o tym generale w „Encyklopedyi powszechnej” w tomie 23, na karcie 792.

Drażniony ciągle wiadomością o postanowieniu zawsze obecnej sercu mojemu panny Józefy Bierzyńskiej, zaprzestałem przez czas jakiś podtrzymać pozabione znajomości z damami. Żal mi było, że nie udało mi się nawzajem Karola Czarnockiego i podał do „Pamiętnika warszawskiego” z moim podpisem wierszyki J. B., naśladowane z lekkiej poezji Woltera pod tytułem: *Dwie miłości*. Znachodzą się one w tomie 24 moich rękopisów na karcie 9 ej. Właściwiej tam pod tytułem podałem moje naśladowanie z Yunga, tłumaczonego na język francuski, wiersz *O przyjaźni*, gdzie autor miłość potępia, co mam w tymże drugim tomie pism moich na karcie 22-ej. Jedno i drugie redaktorzy przyjął łaskawie i ogłosił drukiem. A ja tymczasem zamknięty murami zamku królewskiego, nigdzie nie wychodząc, marzyłem o ubiegłych a kwiatami nadzupstrzonych latach moich.

Śród smutnych dumań, raz około południa w dniu niedzielnym, słyszę brzęk ostrogów z przedpokojów. Wchodzi nieznan mi sztaboficer wysokiego wzrostu z osiwiłą głową, ozdobiony wojennym polskim krzyżem, i zapytuje:

— Czy tu mieszka pan Szymon Konopacki?

— Ja nim jestem. Kogóż mam zaszczyt miłować u siebie?

— Racz pan wprzód powiedzieć, czy nie jest pan synem lub krewnym przyjaciela moich lat młodszego starosty, na imię Prokopa?

— Istotnie, on jest ojcem moim.

Porywa mnie w swoje objęcie i woła:

— O! jakże się cieszę znajomością z panem

em pułkownik Euzebiusz Siemianowski. Ojciec a, sąsiadując ze szwagrem moim, Duklanem Ochona, poznał mnie u niego, gdy wróciłem z legionów i tem dawał mi dowody łaskawej przyjaźni. Ale to jest? Pan oddawna bawisz w Warszawie, a nie na wieczorach nie zdarzyło mi się ujrzeć pana. ccieź syn tak wesołego, tak towarzyskiego ojca, powinienby unikać ludzi. Tak nie będzie! Musisz iż życzliwemu wezwaniu mojemu, tembardziej, że tacy, co się upominają o niego. Dziś będzie wie-rek u łaskawej na mnie hrabiny Tarnowskiej, wie-n poważnej matrony, gdzie pana zaprezentuję. Nie nawiaj prośbie, która zasługuje na wzgląd, jakiego dziewa się przyjaciel ojca twojego.

Opowiedział mi gdzie mieszka i że przed wie-rem oczekiwac będzie mego przybycia. Rad-nie-po zachodzie słońca, dla drogich mi stosunków i mojego, jadę do pułkownika Siemianowskiego, iem zastał starca w tejsze randze, którego dziś na-sko wymknęło mi się z pamięci; krótko tam za-wiwszy, udaliśmy się obszernym powozem owego ca do hrabiny Tarnowskiej. Jadąc do niej, powie-łem panu Siemianowskiemu:

— Uległem żądaniu szanownego pana; ale zedzam, że nigdzie więcej korzystać nie mogę go dla mnie drogich stosunków z moim ojcem.

— A to czemu?

— Bo niebawem wrócić mam do domu; a prze-nocniej żałowałbym Warszawy, przyłgnąwszy do niejszych tu znajomości.

— Otóż powiem panu, że może nie tak prędko ywałbyś się od nas, gdybym ci powiedział, kto lodziutkich a bardzo miłych osób pragnie dziś pa-zobaczyć. Zostawmy tę zagadkę czasowi i woli a Boga.

Przybywamy do mieszkania pani hrabiny. Już przedpokoju słyszę wesoły gwar kobiet i muzykę pianu. Wchodzimy do sali, gdzie gwarzyła sama

młodzież; po ukłonie w przejściu, dążymy do pol obok; tam zastajemy poważną staruszkę z dobr w twarzy, otoczoną może w części matkami tamt i kilku mężczyzn. Po zwykłej prezentacji bli mnie mój pułkownik za rękę, wprowadza napow do sali i mówi:

— Proszę, ażebyście panie łaskawem patrz okiem na tego anachoretę, który wyrzekł się świ jest to syn mojego przyjaciela, obywatela wołyńs go — tu wymienił imię moje i nazwisko. — Bar dbam o to, ażeby w pewnych tu oczkach znalazł niewinny, skromny wablk, któryby wrócił światu go pustelnika!

Mówiąc to wszystko, stawia mnie przed je tam tylko znajomą mi panną Konstancją Łuszcz ską. Dobrze i pełne skromności dziewczę, z tw: rumieńcem okrytą, skłoniwszy się na moje powita rzecze do mnie:

— Jakże to dawno pan nie byłeś u mojej ci
Tłumaczyłem się jak mogłem, jakoby nadi rem ciągłego zajęcia. Ona na to:

— Przecież kolega pański, brat mój, Br częściej teraz bywając u nas, mówił nam, że p wie mniej dziś miewacie pracy niż w początkach misyi.

Gdy tak na boku rozmawiamy, panna Klen tyna Tańska, nieznana jeszcze wówczas z prac rackich, które ją później wślawiły pod imier Hofmanowej gdy wyszła za męża, a którą ja po pierwszy widziałem na tym wieczorze, wzięła na bie zarządzenie zabawami młodego towarzystwa. przód jedną z panien, nie lubiącą tańca, osadziła i fortepianie, wnet zabrzmiał huczny, żwawy ma Stają już gotowe pary i jakby umyślnie zostaw miejsce dla nas zajętych rozmową. Dostrzegłszy podaję rękę pannie Konstancji i dalejże w s udając wesołego, a ze smutkiem w duszy. Pier to raz i ostatni tańczyłem w Warszawie.

Rzecz godna zanotowania, że w ciągu mojego bawienia, gdy mi się zdawało, że wróciwszy do domu, zastanę jeszcze swobodną sercu mojemu najrozsądniejszą, nie tańczyłem przecież, lubo zdarzała się łatwość ku temu, a u tej hrabiny, los jakby na mnie zawzięty, kazał mi ze smutkiem w duszy hasać. Było tam naprzemian rozmaite tańce. Naraz z drugiego salonu, gdzie poważni wiekiem panowie grali w wista, pułkownik Siemianowski, po skończonym obrze, wpada do nas, trzymając za rękę jedną z męsztek i prosi pannę siedzącą u fortepianu, ażeby grała Polaka. Wnet liczne sformowało się koło, do którego stałem obok panny Łuszczewskiej. W czasie tego herbaty ona trzymała w ręku pięknie rozwinięty hyacynt. Aby od czegoś zacząć rozmowę z moją sąsiadką, powiedziałem, że kwiat w jej ręku świeżo rozwinięty bardzo jest odpowiedni dla niej i gdyby to malował jej portret, powinienby ją umieścić z tym kwiatkiem.

— Jeśli on podoba się panu przy mnie, to proszę przyjąć go odemnie na pamiątkę, ale zarazem proszę, aby pamięć o mnie trochę dłużej trwała, niż życie tego kwiatu, który do jutra już zwiędnie.

W milczeniu przyjąłem hyacynt i przez grzeszność osadziwszy go w pętlicy u fraka, myślałem w duszy: Przebacz, dobre dziewczę! tyś warta czystego serca, a moje zranione na zawsze!

Po herbacie i smacznych przekąskach, panna Tańska wezwała młodzież do gier wówczas powszechnych; był potem sąd, jak zwykle, za winy w grze popełnione. Przyszła kolej i na mnie uleść sądowi. Kilka panien razem dało zgodny wyrok, ażebym declamował jakiegobądź własne wiersze. Tłómaczę się im najszczerzej, że wszelkich rymowanych moich niedoścześnieści nie pamiętam, a do improwizacji wcale nie mam usposobienia. Tu panna Tańska podbiega, staje za mną i szepce:

— Ja panu pomogę, mów pan: Jezuickie mury,

walili się z góry; waliły się nagle, á la, á la dyable
 — Bardzo dziękuję pani za wyprowadzenie
 mnie z kłopotu, i wnet wśród powszechnego śmie
 chu, powtórzyłem tę jej improwizację.

Do późna w noc trwały tańce i owe zabawy
 nakoniec pułkownik Siemianowski odwiózł mnie d
 zamku. Już go więcej nie widziałem. Odjechał by
 gdzieś do znajomych na wieś. On nie należał d
 czynnej armii. Wielu było podobnych ober i ształ
 oficerów na połowie gaży, którym zabrakło miejsc
 w znacznie zmniejszonym wojsku.

Jakób Cichoński, mój ze szkół przyjaciel, ju
 awansowany na oficera gwardyi szaserów, odwiedza
 mnie niekiedy w Warszawie. Był to młodzieniec nac
 zwyczaj ujmującej postawy, kształtnej kibici, jak p
 nienka; rysy jego wdzięcznej twarzy słodki ożywi
 uśmiech; przy umysłowem niepospolitem ukształt
 niu, z ust jego co chwila wymykał się dowcip. Gd
 w pełnej świetności mundurze, ze srebrną taśmą prze
 plecty i ładownicą na niej, na pysznym koniu swoich
 lansadował czasem po jakiejś ulicy, damy wybie
 gały na balkony, ażeby mu się przypatrzeć i pożerał
 go oczyma.

W tych czasach właśnie przybyła z córką d
 Warszawy z Ukrainy bogata pani marszałkowa Abra
 mowiczowa, żona Józefa Abramowicza. Poznał si
 z nią Cichoński i zaczął tam uczęszczać. Jedynak
 u ojca pułkownika wojsk niegdyś Rzeczypospolitej
 konfederata barskiego, a dziedzica wsi Sulżyna, Fu
 torów i Brykuli, był uznany przez panią marszałko
 wą za przyzwoitą dla jej córki partyę, która miał
 też niemały posąg w przeznaczonej sobie wsi wiel
 kiej, ocenionej na pięćkroć sto tysięcy złotych. Ni
 ulega żadnej wątpliwości, że on bez trudu opanował
 serce młodej siedemnastoletniej panny Cecylii. Nie ta
 się przedemną ze swojemi względem niej zamiarami
 Oświadczył je matce panny i został przyjęty. Odk
 żono zaręczyny do czasu aż weźmie dymisyę i przy

jedzie na wieś do państwa Abramowiczów. Ten zamierzony związek uważałem za niechybny. Tymczasem... cóż na świecie pewnego?

W trzy lata później, kiedy urzędując przy komisji edukacyjnej, mieszkałem w Krzemieńcu, on od roku już ożeniony z panną Dederkałówną, z Oświecimskiej urodzoną, wchodzi do mnie i zaprasza mnie na herbatę do swej kwatery, gdzie chce prezentować mnie swej żonie. Byłem tam u nich. Uznałem w duchu żonę jego piękniejszą od panny Cecylii Abramowiczówny, ale wyjść z podziwienia nie mogę, iż dla tamtej opuściwszy ulubiony swój stan wojskowy, z inną się przecież ożenił.

Po herbacie, gdy on mnie przez miasto przeprowadza, wzywam go do S. Cira i tam przy butelce wina Sauternes, mówię mu:

— Winszuję ci bardzo miłej i młodziutkiej żony, ale przebacz, że zapytam, skutkiem jakich przeskód zerwałeś z krewną moich krewnych, Cesią Abramowiczówną?

— Nie pytaj mnie o to, bo smutno wyznać, że odmówiono mi.

I wnet o czem innem zaczął zajmującą gawędę, bardzo, jak zawsze, dowcipną. Później ta miłutka żona jego umarła, zostawiwszy mu syna i dwie córki. Następnie, zda się w 1833 roku, gdy będąc w Żytomierzu, chciałem się widzieć z Gracyanem Lenkiewiczem, ówczesnym marszałkiem gubernialnym i nie zastałem go w domu, nadchodzi tuż za mną Jakób Cichoński, natenczas marszałek powiatu Zaslawskiego, a już wdowiec. Po naszym przywitaniu się, widząc, że ma odejść, pytam go:

— Nie będziesz czekał, jak ja, na Lenkiewicza?

— Nie mogę, bo mnie czeka ze śniadaniem mój ojciec.

— Nie puszczę cię, aż mi rozwiązesz zagadkę. Wszak twój ojciec dawno już nie żyje.

— Ty, widzę, nie wiesz. Mam się żenić z Ró-

zą Zaleską, córką Seweryna i ztąd już gó nazywam ojcem.

Odszedł, a na myśl przychodzi mi wspomnienie, że za sprawą pana Seweryna Zaleskiego tyle też wylała jego siostrzenica, Józefa Bierzyńska, wydana za nieznosnego dla niej Turkuła i dzisiaj, jak mówią, los jej oplakany. Gracyan Lenkiewicz, życzliwy Cichońskiemu, był jego swatem i z wiadomości, nie wiem gdzie powziętych, upewniał go, że za panną Różą, osobą dobrą, ale mocno nieładną i zezowata, otrzyma posagu w gotowiznie półtora miliona złotych. Ożenił się Cichoński, Bóg mu dał znów troje dzieci, syna Józefa i dwie córki: Sewerynę i Józefę. A jaki mu się dostał posag, niżej powiem o tem. Ale, gdy nabywszy Ławrynowcze i Stare Bejzmy, zbliżyłem się do jego sąsiedztwa, bo o trzy tylko wiorsty od Sulżyna i ztąd nawiedzaliśmy się często, on raz będąc u mnie, na usilne moje naleganie przy butelce starego węgrzyna, wyznał istotną przeszkodę do związku swego niegdyś z Cecylią Abramowiczówną. Oto są słowa jego:

— Chcesz po mnie prawdy, oto ją masz i pewnie mnie nie potępisz. Czy znasz Edwarda Lubowidzkiego?

— Znam cokolwiek, piękny to był mężczyzna.

— Nie wiem czy wiesz, jak ta jego piękność była dla kobiet niebezpieczną i jak on, naśladowając obyczaj angielski, lubił robić o cobądź zakłady. Będąc w Petersburgu oficerem gwardyi, ujrzał raz w teatrze dwie nowo ze wsi przybyłe damy, matkę i córkę w loży, z których córka nie była wcale powabną. On zapytuje oficera, stojącego obok na parterze:

— Co to jest za poczwara?

— Nie nazywaj jej tak—mówi mu kolega—jest ona przecież zaręczona, a więc pewnie umiała się podobać, córka to znanego z poczciwości generała N. Przybyła do stolicy z matką po wyprawę.

— Cóż u licha! Chyba bardzo bogata?

— Bynajmniej, całym jej posagiem są wielkie zalety serca i rozumu.

— To być nie może, aby jej narzeczony ożenił się z nią!

— Nic pewniejszego, termin ślubu naznaczono za dwa miesiące.

— Założ się ze mną o to, że on się z nią nie ożeni.

— O! gotów jestem do zakładu, o co zechcesz, bo chociaż on mieszka na prowincyi, znam go dobrze i z jego prawości wnoszę, iż danego słowa nigdy nie zmieni.

Słowem, spór pomiędzy nimi skończył się zakładem o dwieście dukatów. Lubowidzki dla honoru wygrania zakładu, w którym szło mu o to tylko, aby narzeczony nie otrzymał ręki panny, podaje prośbę o dymisyę, poznaje się z tą generałową, pilnie przysiaduje fałdów przy jej córce i sam żeni się z tą tak nazwaną poczwara. Lecz po ślubie dnia tegoż, wygrawszy zakład, porzuca pannę młodą i zmyka do domu na Ukrainę.

— Nie chciałem ci przerywać — rzekłem mu. — Te szczegóły o nim są dla mnie wiadome; nawet dowiedziałem się coś więcej. Oto raz będąc u mojej krewnej w powiecie Skwirskim, staruszki marszałkowej Konopackiej, z jej własnych ust słyszałem, że gdy doszła do niej kursorya, przez którą rząd zapytował, czy który z obywateli nie wie, gdzie się znajduje Edward Lubowidzki i ona widząc, że życzliwi dla niego tłómaczyli się na kursoryi, że nic nie wiedzą o nim, jej zaś było wiadomo, że on od trzech lat ukrywa się przed opuszczoną żoną, podpisała się na to, że będąc blizką sąsiadką Edwarda Lubowidzkiego, wie dokładnie, że on jest we własnym domu i w tej wsi. Ale jakąż jest łączność pomiędzy zerwanym związkiem twoim z panną Cecylią a jego zakładem?

— Słuchaj! Opowiem. Zaręczyny moje zawie-

szone były w Warszawie do czasu dymisyi, którą miałem otrzymać, i do przybycia mego na wieś do rodziców panny. Dymisyę wnet otrzymałem, wracam do ojca, a ten zamiarowi memu z wielką radością błogosławi. Jadę do wsi Niemierzyniec na Berdyczów, gdzie trafiam na sam początek jarmarku sierpniowego, który zwykle przeciągał się więcej niż przez dwa tygodnie. Opatrzyłem sprowadzone z Warszawy powozy, z pomiędzy których było w czym wybrać najpiękniejszą karetę. Stajnie, napchane cugami pysznych koni, mogły mi dostarczyć jakich tylko zażadam; ale nic jeszcze nie kupuję. Trzeba mi wprzód dać się poznać ojcu panny. Przybywam do nich. Najlaskawiej przyjęty, we dwa dni potem już mam na palcu zaręczynowy pierścień, a dałem pannie pozostały z klejnotów po ś. p. matce mojej. Najszczęśliwszy wracam do Berdyczowa. Tam, nie dobiwszy jeszcze targu o karetę i konie, idę raz koło magazynu Szafenhagla i spotykam Edwarda Lubowidzkiego. Po przywitaniach on zaprasza mnie do Szafenhagla na kieliszek wina. Przyjąłem propozycję, bom był zmęczony bieganiem po mieście. Wypiliśmy butelkę szampana, prawiać o rzeczach obojętnych. On mnie nie bada, czy ja mam się żenić, ani też ja nie wspominam o tem. Aby nie być dłużnym w grzeczności, kazałem od siebie podać butelkę tegoż wina. Gdy już byliśmy na jej dokończeniu, pan Edward rozczula się, ściska mnie za rękę, wpatruje się w oczy, całuje mnie po dwakroć, chce coś powiedzieć i łzy mu się puściły. Odezwałem się do niego:

— Szczerze wchodzę w trudne twoje położenie, wynikłe z nierozważnego związku.

— Ach! nie dość na tem! bo ta szelma żyje, a ja dla niej ginę, mając najczulszą wzajemność! Żenić się nie mogę, bo z tamtą nie dadzą rozwodu. Miłe, lube dziewczę, tak namiętnie mnie kocha, że nierz wieczorami, po ciemku w ogrodzie, wystawio-

ty na szatańskie pokusy, szanuje tylko jej stan pa-
nieński, a ona biedaczka, trzymając mnie w obję-
ciu i widząc mękę moją, widocznie się skłania do
powolności, z której ja nie śmiem korzystać. Możesz
sobie wyobrazić położenie spragnionego Tantalą!

I znowu lzy mu się puściły.

— Czy wolno mi wiedzieć przez kogo tak jesteś
kochanym?

— Ty nie znasz jej pewnie, bo ona nie z two-
ch okolic. Jednak pod słowem honoru, że docho-
wasz tajemnicy, powiem ci, jest to Cesia Abramowi-
czówna.

Jakby mnie zimną wodą oblał! Rychło oprzy-
omniałem. Do niego ani słowa. Zerwałem się z miej-
sca i zapłaciłem za butelkę szampana. Podałem mu
łódkę, a wróciwszy na kwaterę, pchnąłem posłańca do
ojca panny z listem, w którym donoszę mu, że
odebrał pilną odezwę od mego ojca z zaklęciem pod
trętą błogosławieństwa, abym się jeszcze nie żenił;
że szanując wolę ojca i nie chcąc zagradzać losu
panny Cecylii, z bólem serca wracam jej pierścień,
i proszę o swój. Pan Abramowicz dość grzecznie
mi odpisał i zwrócił mi mój pierścień. Zdaje mi się,
że ty jesteś z nim w pewnym stopniu powinowactwa,
jak marszałkowa mówiła mi jeszcze w Warszawie.
On jest urodzony z Budzyńskiej, siostry twego wuja,
i przeto wiesz zapewne, co nastąpiło, że z panną
Cecylią ożenił się Erazm Lenkiewicz, młodszy brat
Gracyana, że w rok podobno po tym związku mąż
jej umarł, jednocześnie też umarła w głębi Rosyi po-
ślubiona przez Lubowidzkiego, a on wówczas ożenił
się z owdowiałą Cecylią. Rzecz dziwna, romans cią-
gnął się lat nie wiem ile, a zgodne pożycie i roku
nie trwało. Ona gdzieś za granicą przebywa, a pan
Edward, w domu zamknięty, rozpamiętywa szaleństwa
lat młodszych.

Pisząc to, nie mogę zamilczeć mego oburzenia
na nieprawość Edwarda Lubowidzkiego. Wierzę, iż

mógł szalenie kochać Cecylię. Ale czyliż kosztem jej sławy wolno mu było dobijać się o jej rękę. On pewnie wiedział, że Cichoński ma jej przyrzeczenie i aby zerwać ich związek, oczernił niewinną pannę. O! jeśli we mnie, starcu, nie przemawia już dzieciętność, Edward Lubowidzki godzien potępienia.

Nim później jeszcze pisać będę o drogim przyjacielu moim Jakóbie Cichońskim, wracam do czasów ostatnich pobytu mego w Warszawie 1817 r. Poważny wiekiem i tak dawną, jak i obecną zasługą starosta August Kicki, lubi niekiedy zajmować nas obrazami przeszłych wypadków, malujących obyczaje stolicy. Uszczypliwa baśń rozeszła się była po mieście w tym roku, jakoby nieczne kobiety, które opłacają pewny podatek za prawo do bezwstydu, podały skargę do właściwej władzy o to, że one doznają zmniejszenia rocznych dochodów z tej przyczyny, że jaśnie oświecone i jaśnie wielmożne bez żadnej opłaty mieszają się tajnie do ich rzemiosła. Ktoś z obecnych przy nas powiedział o tem staroście. Ten, dostrzegłszy nasze zdziwienie i uśmiech, zwrócił się do nas:

— Jest to cios, rzucony na te damy wyższej sfery, które nie dbając o ludzkie mniemania, zbaczały choćby niewinnie od powszechnie przyjętych zwyczajów. Ale ja, który patrzyłem na ostatki panowania Stanisława Augusta i na pierwsze lata po upadku Polski, poświadczyc wam mogę, że obok owocnych dam znakomitego imienia, dzisiejsze są jakby skromne zakonnice. Zdarzało się niekiedy widzieć, że wśród białego dnia mężczyźni przejeżdżali pryncypalne ulice karetami zupełnie obnażeni, trzymając na kolanach obnażone damy. Dziś przecie, jeśli która w utajeniu zboczy, to oddaje hołd cnocie, nosząc dla świata jej maskę. O! wielki od owych czasów ku dobremu jest postęp!

Poważny starosta Kicki lubił czasem pożartować z nami. Raz około południa wchodzi do mnie

jego kamerdyner z zaproszeniem na obiad na godzinę trzecią, a zarazem objawia mi dane mu polecenie, aby mnie uprzedził, że starosta chce wprzód ze mną widzieć się, nim zejdą się na tę godzinę moi koledzy. Wpół do trzeciej przybywam. Szanowny staruszek wzywa mnie do swego gabinetu. Wyjmuje ze swego kantorka kawałek wstążki orderu św. Stanisława i uwiązuje do pętlicy u mojego fraka.

— Proszę pana zapiąć frak starannie, aby tej wstążki nie było widać; a wśród obiadu, jakby od niechcenia, rozepniesz pan frak, aby twoi koledzy ujrzeli ten znak zasługi.

Przykrą była dla mnie ta jakby dziecinna maskarada względem towarzyszków, z którymi w serdecznych byłem już stosunkach. Nie zapiinając przeto fraka, mówię mu:

— Proszę pana starosty, abys raczył uwolnić mnie od tej komedii.

— Wcale nie, to nie jest komedya. Panowie wszyscy czterej przedstawieni jesteście do tej nagrody; odbierzecie ją od cesarza-króla. Ale ja chcę patrzeć na zdziwienie kolegów pana i chcę być świadkiem wrażenia, jakie to na nich sprawi.

Podziękowałem mu za uznanie trudów moich w komisji, jakkolwiek one były blahemi, i zapiąłem się aż po samą szyję. O! próżności nad próżnościami! Mamże ze wstydem dziś wyznać, że wówczas radość dotąd nieznana opanowała duszę moją? Śród obiadu, na skinienie starosty, przezemnie tylko dostrzeżone, rozpiąłem wierzchnie guziki fraka jakby od niechcenia, a skoro ukazał się węzeł czerwonej wstążki, nie śmiałem spojrzeć kolegom w oczy; ale starosta pewnie dostrzegł w nich nietylko zdziwienie, ale cokolwiek zmiany i w humorze, bo przemówił w tych słowach:

— Tak, tak! Panowie trzej pierwszy wstęp zrobiliście do zasług, a ten wasz kolega już trzy lata pracował bezpłatnie na Wołyniu, a potem wyrzekł

się tam urzędu, na jaki przez wyjednaną ufność został i nadal obranym, aby tu pracować w stopniu choćby niższym.

Po chwili rzekł nakoniec uśmiechnięty:

— Przebaczcie mi, że w was trochę zasmucił. Wszyscy w tymże stopniu czwartej klasy order św. Stanisława otrzymacie na przedstawienie komisji, mamy już wiadomość o tem z Petersburga. Ale nie wypada nosić wam tego znaku zasługi, aż odbierzecie patenty.

Zachowałem był ów kawałek wstążki od starosty Kickiego dla miłej o nim pamięci i jego dla mnie życzliwości; ale po upływie lat półwiecznych zostało tylko wspomnienie, a wstążeczka dawno gdzieś mi się zapodziała.

Nie spieszyłem z doniesieniem o tym orderze w częstych z Wołyniem korespondencyach; a w parę tygodni potem, idąc ulicą z kimś z moich znajomych, wstrzymany byłem przez jakiegoś służalca w dość wytartym surducie, który przemówił do mnie:

— Ja pana szukam; wszak pan jesteś...—i wymienił imię moje i nazwisko.

— Tak jest—rzekłem—któż mnie potrzebuje?

— Wysłano mnie z urzędowem pismem, które mam honor oddać panu.

Wyjmuje z bocznej kieszeni wielki opieczętowany pakiet z takim adresem: „Do W. Szymona Koppackiego, Sekretarza Komisji. Od sekretaryatu stanu.“

Potem ów posłaniec oddaje mi safianowe pąsowe pudełeczko z krzyżem. Miałem przy sobie nie więcej jak dwa talary pruskie, znaczące razem 12 złotych, i te posłańcowi za fatygę chętnie ofiarowałem.

Wróciwszy natychmiast do siebie, odczytałem z radością już mniej żywą zawarty w wielkiej kopercie patent pod dniem 9/21 stycznia 1817 roku,

z połowie po polsku i po francusku pisany, z własnoręcznym cesarza Aleksandra I podpisem, gdzie jako sekretarza komisji do uregulowania handlu żeglugi, mianuje mnie 92-m kawalerem orderu św. Stanisława czwartej klasy. Kontrasygnował ów patent minister, sekretarz stanu, Ignacy Sobolewski. Z wielką przyjemnością obejrzałem też w pudełeczku znak tego orderu z białymi orłami, których cztery nieści się bardzo symetrycznie pomiędzy ramionami krzyża; z naczelnej zaś strony, w samym środku, jest wizerunek stojącego biskupa krakowskiego w całym aparacie św. Stanisława na białej emalii, na stronie zaś odwrotnej, podobnież na emalii, jest cyfra fundatora orderu, Stanisława Augusta.

Zmiany, przez jakie order św. Stanisława przechodził, są następujące: król Stanisław August stawił go w 1765 roku, dał mu wstęgę pasową z białymi brzegami i gwiazdę na piersi, co dziś mianuje się pierwszą klasą. August, król saski, wielki książę warszawski, zachowując jedną i też samą klasę, dodał na wstędze, przy obu brzegach białych, jeździec po jednym pasku białym. Aleksander I, cesarz rosyjski, król polski, chcąc wynagrodzić zasługę w niższych stopniach, podzielił ten order na cztery klasy, na wzór orderu rosyjskiego św. Włodzimierza: zostawił bez żadnej zmiany gwiazdę na piersi i wstęgę przez plecy dla klasy pierwszej, dla drugiej dał krzyż na szyi z gwiazdą na piersi, dla trzeciej krzyż tylko na szyi, a dla czwartej krzyż mniejszy w pętlicy. Cesarz Mikołaj w ciągu swego panowania oba ordery polskie, Orła białego i św. Stanisława, nazwał orderami rosyjsko-polskimi i orły białe zmienił na złote z dwiema głowami, a stopnie orderu św. Stanisława zastosował do ustawy orderu św. Anny, to jest odjął drugiej klasie gwiazdę, zostawiając tylko krzyż na szyi; trzecią klasę oznaczył krzyżem w pętlicy, a czwartą klasę skasował. Wi-

zerunek św. Stanisława pozostał dotąd bez za-
miany na środkowej emalii krzyża, a na str-
odwrotnej cyfra fundatora orderu, Stanisława
gusta.

Wspomnieć tu jeszcze wypada o niespodzia-
jąka spotkała mnie w r. 1852. Pan Mieczysław I
szyński, wróciwszy wówczas z Warszawy, przy-
mi przy liście swoim gazetę policyi warszaw-
gdzie czytam artykuł taki: „Oberpolicmajster v
szawski wzywa pana Szymona Konopackiego, or-
św. Stanisława kawalera, byłego sekretarza byłej
misyi do uregulowania handlu i żeglugi, do staw-
nia się we własnym jego interesie.“ Nie mogąc
myśleć się, jaki mój własny interes mógłby mnie
powoływać, byłem cokolwiek zaintrygowany. M-
łaskawego dla siebie korespondenta, senatora Śl-
ckiego, zrobiłem odezwę do niego z prośbą, aby
dowiedział od oberpolicmajstra po co mnie wzy-
A gdy po trzech tygodniach żadnej od senatora
odebrawszy odpowiedzi, napisałem w tymże przed-
cie odezwę do samego oberpolicmajstra, pana g-
rała Gorłowa, gdzie mu zarazem donoszę, iż jes-
obywatелеm gubernii Wołyńskiej, powiatu Zasław-
go i że mieszkam w majątku moim we wsi Ław-
nowcach. Od niego i od senatora odebrałem ra-
odpowiedź. Pan generał Gorłow pisze, iż mu
wiadomo, po co minister polecił mu wezwać m-
a senator objawia mi domysł tamtego partykula
mu powiedziany, że po tylu latach już pewnie p-
żyłem zamierzoną liczbę pensyonowanych kaw-
rów, a przeto mam już pobierać właściwą tej kl-
pensyę, radzi przeto odnieść się do kogo ze zn-
mych w Petersburgu, a tam w kapitule orderów
two powziąć o tem wiadomość.

Na moją tam odezwę odebrałem od ś. p. J-
fa Jeżewskiego takie wyjaśnienie: że pan minis-
polecając mnie wezwać, omylił się; że chociaż
wnie przeżyłem zamierzoną liczbę pensyonowan-

ensyi przecież pobierać nie mogę, bo do niej mają prawo ci tylko kawalerowie, którzy otrzymali ten order po 1831 roku, a ja otrzymałem go w r. 1817. Tak więc i na parę butów nie zasłużyłem dźwigając ten krzyż przez lat 55, wprawdzie nie ciężki, bo zamknięty w toalecie, jako miła lat młodych pamiątka, a w której czary jakieś mają te orzeliki białe. W całej naszej gubernii nikt ich nie ma, prócz mnie jednego.

Jeśli niegdyś Stanisław Potocki, minister oświecenia w Królestwie kongresowem polskiem, mógł powiedzieć w mowie swojej śród Towarzystwa przyjaciół nauk, że tłumaczenie świątyni Wenery w Knidos przez Józefa Szymanowskiego stanowi epokę w literaturze polskiej, cóż pozostaje wyrzec po pierwszym przedstawieniu w teatrze warszawskim „Barbary“ Aloizego Felińskiego? To przedstawienie było dnia 1 marca 1817 roku i siedem razy raz po raz powtórzone było. Mam dotąd list mój, pisany o tem do autora, po którego śmierci zwrócił mi go hr. Gustaw Olizar, któremu powierzony był przegląd wszelkich pism jego i adresowanych do niego korespondencyj. W tym liście rzetelną zrobiłem uwagę, że gdyby on był na czele zwyciężkiej armii, mniej świetny byłby tryumf jego, niż po przedstawieniu jego tragedyi. W powyższym terminie, przez afisz ogłoszonym, zbiegowisko ciekawych do łóż i parteru za dnia jeszcze było nadzwyczaj wielkie. Wcześniej też niż zwykle i ja precisiuałem się, aby stanąć tuż za krzesłami na parterze. Krzesło przedemną zajął pan Nowosilcow, niegdyś kolega księcia Adama Czartoryskiego, gdy ten w pierwszych latach panowania Aleksandra I był ministrem spraw zagranicznych; teraz Nowosilcow był cesarskim pełnomocnikiem, rezydującym w Warszawie. Mówiono, że W. Książę był w dolnej łoży, ukryty za kratą.

W ciągu przedstawienia zachwycali się otaczający mnie, a nieznaną słuchacze. Umiałem wówczas

na pamięć ważniejsze tej sztuki ustępy i zapowiadałem je stojącym obok. Ztąd po pierwszym akcie, skoro spadła kurtyna, kilkunastu zbiegło się do mnie z badaniem:

— Gdzie jest autor tej tragedyi? Czemu go tu niema, abyśmy go wzniesli na rękach naszych?

Na chwilę zaślepiła mnie duma, jakby cząstka chluby spadała i na mnie, że nasz Wołynianin takiej dostąpił sławy. Ci, którzy dziś nie przyznają Felińskiemu daru poezyi, czyliż mogą zaprzeczyć temu wrażeniu, jakie wówczas sprawiły i długo jeszcze sprawiały znakomitsze ustępy tej tragedyi? Oklaski, stukanie laskami, jakieś wrzenie uczuć wychodzących na jaw na parterze i w łozach, tak było powszechne, że tam podejrzenie o umówione oklaski przez przyjaciół autora miejsca mieć nie mogło. Parter prawie cały nie znał Felińskiego. On wówczas w cichem ustroniu wiejskiem ani mógł przewidzieć takiego tryumfu. Pomnę, że nazajutrz miałem u siebie kilka osób, unoszących się nad „Barbarą.“ Po między nimi był mój dobrze znajomy z Wołynia, Kazimierz Barański, wielbiciel Szekspira, Szyllera, Goethego, który przesiąkł zagraniczną wyłącznie literaturą, szyderczo uśmiechał się na te pochwały. Zniecierpliwiony jego uśmiechami, odezwałem się:

— Cóż zarzucisz Felińskiemu? Czy nie w porę wystąpił? Czy nie trafił w ducha czasu?

— O! tego nie powiem! Przyznaję nawet, że najdoskonalej włada językiem.

— To nie umniejsza zalet „Barbary”—rzekłem— a uwagą twoją przyznajesz chwałę polskiej publiczności.

— Tak—rzecze—ale razem daję poznać, że nie trzeba na to wielkiego geniuszu, aby tę publiczność zachwycić. Aby przekonać się o prawdziem mego mniemania, niech kto przetłómaczy tę tragedyę na jakibądź język europejski, a przedstawiona w Paryżu, Londynie, Wiedniu lub Madrycie, nie zrobi by-

mniej podobnego wrażenia; gdy obce dramaty, na z język dobrze tłómaczone, zachwycają Polaków.

Zakrzyczano Barańskiego wyrzutami, że on t zimny recenzent, że nie śmiałby ogłosić drukiem ego o „Barbarze“ zdania i że Felińskiego sława ać będzie długo.

I cóż z tych oklasków?... Mole gryzą pogarne rymy klasyczne! A wśród faktów dziejowych, re jako sen przeminęły w oczach moich, i Feliń-przypomina, jak marną jest sława ziemską!

Na partykularne żądanie namiestnika, generała ączka, objawione któremuś z członków naszej ko-syi, aby dać mu do odczytania jej postanowienie jeden z punktów traktatu wiedeńskiego, byłem ślany do niego z kilku jej dziennikami. Rad by-i włożonemu na mnie obowiązкови, bo też cieka-ść mnie bodia, czy po upływie roku od ostatniej ności mojej u dostojnego starca będę przez niego znany. Zabrawszy w mój portfel papiery, jadę do acu namiestnika. U drzwi wchodowych od ulicy, óch inwalidów w niebieskich mundurach stało na tzy, a w sali, gdzie rok temu wystawiony byłem kołące przycinki sztaboficerów, dziś pustki zasta-i, nie było nawet komu zameldować mnie. Nie kam na adjutanta i, jako spełniający urzędowe ecenie, idę do znanego mi gabinetu namiestnika. dział nad książką, na teje jak w roku przeszłym rapce za stolikiem, gdzie w plikach leżały papie-

Po ukłonie, zamilczałem nazwisko moje i obo-łzek, jaki zajmuje; przemówiłem tylko:

— Komisya handlu i żeglugi, na żądanie pana ierała, przedstawia do przejrzzenia niektóre dzienni-czynności swoich.

Patrzył mi starzec w oczy; nie zgadnę, czy nie znał mnie. Wymienił tylko potrzebny mu artykuł, by z pomiędzy moich arkuszy złożyłem przed n. Odczytał go dość prędko, zrobił sobie notat-ółwkiem, oddał mi mój papier i powiedział:

— Bardzo dziękuję.

Wszystko to zajęło nie więcej, jak kwadrans.

Ta straż okaleczona przy namiestniku bez nogi, przypomina mi spotkany raz przezemnie kondukt pogrzebowy. Szedł ulicą z krzyżem w ręku ksiądz starszerek w komeżkę ubrany, za nim toczył się zwolna wóz o jednym kulawym koniu, na wozie była trumna z czarno nakreślonym krzyżem na jej wieku. A za trumną wlokło się niepewnym krokiem w niebieskich mundurach kilku inwalidów, ten bez ręki, ów na szczudle; u jednych błyszczy na piersi żołnierski znak legii honorowej, u drugich polski krzyż wojenny. W takiej paradzie z pod komendy niegdyś Napoleona Wielkiego, jechał żołnierz polski do progu wieczności. Niesie on tam skargę na zmarnowanie przez tego wodza tyle krwi polskiej, na zawiedzione nadzieje... Historia nasza, zaczawszy od Piasta, rozmaita koleją świetności i niemocy, zajmującym jest dramatem.

Z kochanym kolegą moim, Antonim Borzewskim, byliśmy w 1817 roku na publicznej sesji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie był przyjęty, jako członek czynny, znakomity mechanik, żyd z Hrubieszowa, Abraham Stern, którego nauką opiekował się czcigodny prezes tego towarzystwa, dziedzic i dobroczyńca Hrubieszowa, ksiądz Staszic. Rozprawę przy recepcji tego członka, napisaną przez niego, nie on sam czytał, z powodu złej, jak zwykle, wymowy, lecz Aleksander hr. Chodkiewicz.

Na tej sesji, gdy raz obejrzałem się po za siebie, dał mi się poznać po uśmiechu swoim tuż stojący za mną Józef Skrodzki, mój niegdyś profesor fizyki w szkole międzyrzeckiej. Znałem go wówczas klerykiem Pijarów bez żadnego jeszcze święcenia na profesyę. Gdym skończył moje nauki, wiedziałem, że on z moim szkolnym kolegą i przyjacielem, Wiktoorem Lenkiewiczem, odjechał był do Wilna, lecz później żadnej o nim nie miałem wiadomości. Tu

go widzę w świeckim ubraniu. Powitaliśmy się serdecznym uściskiem ręki. Zajęci czytana rozprawa, nie mieliśmy wolnej chwili, aby przemówić do siebie. Gdy po ukończonej sesji chciałem zbliżyć się ku niemu, już był odszedł i odszukać go nie mogłem. Z życiorysu jego w tomie XXII „Encyklopedyi powszechnej“ na kar. 554 pod imieniem Jerzego Karola Skrodzkiego widzę, że był wprzód profesorem fizyki, chemii i historyi naturalnej w liceum warszawskim, że dwa następne lata zostawał za granicą, gdzie zwiedził celniejsze instytuty i zakłady naukowe w Niemczech, Holandyi, Szwajcaryi i Anglii, że w roku 1818 mianowany profesorem uniwersytetu warszawskiego, wykładał tam swój przedmiot aż do zamknięcia uniwersytetu, że nakoniec umarł w 1832 roku. Ale ku memu zdziwieniu, nigdzie nie znalazłem wzmianki o tem, że w młodości był on Pijarem. Po uroczystem przyjęciu mechanika, Abrahama Sterna, do warszawsko-królewskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, zwiedzałem z innymi jego rachunkową maszynę mosiężną w jego mieszkaniu. Robiłem sam próbę czterech działań arytmetycznych. Za pokręceniem śruby, skoro dzwonek uderzy, już gotowy jest rezultat mnożenia lub dzielenia, choćby w największej liczbie cyfr, a objawia się on na kółkach przez otwory w mosiężnej wierzchniej tablicy, która tajemnicę tak sztucznego mechanizmu przed oczami widzów ukrywa. Za pokazanie tej maszyny, Stern przyjmował co łaska dla biednych.

Nim w roku następnym 1818 otworzony został uniwersytet, najpracowiciej oddający się naukom kolega nasz, Józef Brykczyński, chodził na publiczny wykład fakultetu prawa w języku łacińskim; my zaś trzej, Bruno Kiciński, Antoni Borzewski i ja, o wiele swobodniej rozrządzaliśmy naszym czasem po sesjach.

Raz w dniu pogodnym, a niezbyt gorącym, wyszliśmy na dalszą trochę przechadzkę, przez most na

Wiśle do Pragi. Na polu za Pragę, w zmianie ugoru, oglądaliśmy z rozpamiętywaniem smutnej przeszłości ślady w pozostałych gdzieniedzie fundamentach, dowodzące, iż niegdyś Praga przed 1794 rokiem, a może przed epoką napadów szwedzkich, zajmowała znaczniejszy obszar ziemi. Potem, drogą na lewo, przez most na rzece, oddzielającej te pola od Kępy Saskiej, doszliśmy nareszcie do tej kępy, jako celu przechadzki. Tam w dość porządnej oberży, dość rychło podano nam świeżo upieczone kurczęta i butelkę gdańskiego porteru.

Po takim przy miłej gawędce podwieczorku, spóźnionym cokolwiek, za daleko było puszczać się tąż samą drogą napowrót. Postanowiliśmy przeto z Kępy Saskiej odpłynąć czołnem wszerz Wisły do Warszawy. Ale dużo upłynęło czasu, nim służący z oberży zdołał przywołać rybaka z przeciwnego brzegu. Księżyc już wysoko wzniósł się nad nami, gdy pożądaný rybak przybył z dość obszernem czołnem. Noc jasna, w powietrzu taka cisza, iż najmniejszy powiew nie marszczył nam Wisły; płyniemy z wolna, a Borzewski, piękny jak Apollo, deklamuje nam swoje tłumaczenie o podobnej księżycowej nocy z angielskiej poezyi Ossyana. Była to chwila zachwytu, o której nie mogę zapomnieć. Kiciński i Borzewski byli starannie wychowani i oba urodziwi młodzieńcy. Pierwszy z nich, wzrostu mniernego, z nawyknięcia nad książką, pochyło się trzymał; drugi zaś znacznie wyższy, o świeżym rumieńcu, z żywym wejrzaniem czarnych oczu, przy jasných blond włosach, jak u tamtego, był niepospolicie pięknym młodzieńcem. Z przyjacielską ufnością zwierzał się przedemną, i ztąd znałem niektóre tryumfy jego urody, otrzymane bez żadnych starań. Ozdobne miał mieszkanie, bo też był synem bogatych rodziców, obywateli Księstwa Poznańskiego. Dziadek jego, jeszcze wówczas żyjący, ojciec jego matki, Nałęcz, znakomity z dawności zasłużonego imienia, zamożny tegoż Księstwa

zwatel, obdarzał go pensją dla młodzieńca niemającego osiemdziesiąt dukatów na miesiąc, co łącznie pobieraną w komisji po dukatów dziesięć miesięcznie, wynosiło na roczne jego utrzymanie się 3,340 zł. Wyjechał z Warszawy w 1817 roku, żałując już z tych trzech kochanych kolegów moich widziałem. Kiciński raz tylko pisał do mnie 1817 roku, a potem w 1820 roku, gdy m urzędował w Krzemieńcu, a o czem tu wyżej nadmieniałem. Brykczyńskim miałem wiadomość od Henryka Rzezińskiego, gdy raz był u niego na obiedzie w Żytnierzu. Zapytał mnie:

— Czy też pan zgadniesz, z kim o tobie rozmawiałem, chodząc po górach włoskich?

— Może z kimś—rzekłem—z Wołynia?

— Bynajmniej; był to zacny obywatel Królestwa Polskiego, skazany przez medyków na szukanie cieplejszego klimatu, wielki pana przyjaciel, a wyśmienity uczonek Józef Brykczyński, który, jak później dowiedziałem, umarł w Paryżu.

Tyle tylko o nim dowiedziałem się od Rzewuskiego, owoczesnego kłopotliwej sławy Jarosza Bejły. tym obiedzie u niego niżej mówić będę. Co do hr. Brunona hr. Kicińskiego, zaszedł w 1844 roku, i przed nim proroczy sen jego, napisałem najszczepiej w podaniach familijnych opowiadanie osób wiary.

Nie dziwię się, że głupia kuropatwa jest *harda*, i dostaje nad oczami znamiona z czerwonych piótek. Ale gdy człowiek wielkiego w dziejach imienia, członek towarzystw uczonych, dlatego tylko, że z tym imieniem posiada obszerne włości, całą powagą swoją objawia przed ludźmi ów tytuł kuropaty, trudno mu przebaczyć tę słabość. Odrzę mam jego hardości, wstręt niezwycięzony. Może on mieć zasługi swoje w kraju; jeśli są istotne, czołem erzę przed nimi, ale pożycie z nim nie dla mnie.

Jan hr. Tarnowski z Dzikowa był od szkół

przyjacielem Aloizego Felińskiego, jak ten opowiadanie, nim hrabiego jeszcze poznałem. We wspomnieniach moich z roku 1816 nadmieniałem, że za pośrednictwem tych pomiędzy nimi stosunków zostałem sekretarzem komisji, gdzie zasiadał pan hrabia; a czuję się w obowiązku wdzięczności względem niego. Ale czym ja winien temu, że codziennie widując go w sesjach, ile razy spojrziałem na twarz jego, na jego postawę, ile razy przemówił cokolwiek, obok mojej wdzięczności przychodziła mi na myśl kurapatwa o czerwonych nad oczami piórkach? I przebac mi ten grzech mimowolny!

Pod sam koniec naszej komisji pan hrabia zwał mnie do swego pałacu. Trudno było przewidzieć abym na cokolwiek mógł mu być przydatnym. I tak bywam. Och! kłopot! Pierwsze z ust jego wyszły z pewną impozycją wyrzeczone:—Życzę sobie, panie, by pan był przy mnie sekretarzem—przeraziły mnie. Przekrzyknąłem:—Boże, ratuj! I Bóg dobry natchnął mnie obroną:

— Przebac, panie hrabio—rzekłem— że w ważnym dla mnie przedmiocie nie stanowiąc niebezpieczeństwa, nie chcę się bez rady mego ojca, który mnie wzywa, oddać na siebie.

Tem niejako zawieszeniem mojej powołania nie obraziłem mego protektora, a serdecznie radziłem natychmiast go pożegnać. Mój ojciec istniejąco pisał do mnie w jednym z początkowych do niego listów, że skoro nie upatrzą sobie odpowiedniego miejsca do publicznej w Królestwie usługi, i wracać do domu i te pamiętne dodał mi wyrazy

— Nie trąp się tem, synu! Bóg dobry dostarczy nam środków do przyzwoitego utrzymania wszystkich pięciorga. A co do dalszej twojej kariery, byleś chciał pracować, to jeśli nie zaraz, co najmniej później współobywatele nie zapomną o tobie.

Po takim liście kochanego ojca mamże przeobrazić się w obowiązki partykularnego sekretarza, czyli pańsk

szużalca? Szczęśliwie wymknąłem się od tak twardej kolei.

W ciągu mego przebywania w Warszawie, raz idąc ulicą z Brunonem Kicińskim, wstąpiliśmy do jednego z magazynów po jakiś sprawunek. Tam zastaliśmy starca o spadających na koinierz długich siwych włosach, w długiej po kostki szaraczkowej kaponie, z pasem skórzanym o mosiężnej klamrze.

Kiciński powitał go jako swoją znajomość, a ów starzec po grzecznym ukłonie, natychmiast odszedł. Badam kolegę, kto jest ten jego znajomy?

— To—rzecze—niepospolity człowiek! historyczna postać z ostatniego wieku! To sławny Kuźma! Ujrzałem go po raz pierwszy u cześnika Lelewela, z którym cię niedawno poznałem. Czcigodny cześnik później opowiadał mi dzieje o nim, jakby zajmujący dramat. Kuźma, należąc do konfederatów Barskich, przy pomocy sprzysiężonych, bez wiedzy wodza swego Kazimierza Pułaskiego, wykradał z Warszawy Stanisława-Augusta, aby go sprowadzić do Częstochowy.

W nieoświetlonem mieście, wśród ciemnej nocy listopada 1771 roku, król, wracający od księcia Augusta Czartoryskiego do zamku, gdy przez tych konfederatów z karety został porwany, Kuźma uprowadził go za miasto; a gdy sprzysiężeni rozbiegli się szukać pojazdu, jaki dla tej ucieczki był przygotowany, on, zgubiwszy ich z oczu, podwiódł króla po ciemku pod wiatrak na polu i po długiem a daremnem ich oczekiwaniu, przewidując niepowodzenie i co go czekać może, stał zadumany z pałaszem w ręku na warcie. Mógł więc króla zabić, gdyby taki był zamiar konfederatów, i ocalić się ucieczką; przecież ukląkł przed królem i prosił o przebaczenie. Król je przyrzekł z tem, że mu przeznaczy dożywotnią pensyę, ale pod tym warunkiem, aby bez powrotu wyjechał za granicę. Kuźma zostawił króla pod wiatrakiem, a dał wiedzieć strwożonym dygnitarzom w zamku,

gdzie po niego mają wysłać karetę. Kuźmie przebaczone, lecz wyjechał był na mieszkanie do Włoch, gdzie corocznie pensya go dochodziła.

Sprzysiężony Stanisław Strawiński razem z innymi umknął, a schwytyany Walenty Łukawski, po dwóch latach ciężkiego więzienia ściętym został. Po wypadku porwania króla wnet gazety fałsz rozgłosily po Europie o zamierzonym jakoby królobójstwie przez konfederatów. Fryderyk II, nazwany wielkim, (ale nie dla nas) szukał tylko pozoru do głównej jakiejbądź winy Polaków, jako czyhający równie z całym rodem Germanów na ziemię słowiańską, i skłonił sąsiadów do pierwszego Polski rozbioru, który nastąpił w roku 1772.

Gdy w początkach zamieszkania mojego na Lesznie, będąc raz na obiedzie w hotelu Hamburgskim, usłyszałem, że oficer, obok mnie siedzący, radził młodemu podchorążemu, aby dla bezpieczeństwa złożył u bankiera w tymże hotelu swoje pieniądze z domu przywiezione, po skończonym obiedzie prosiłem tego oficera o wiadomość, jakim porządkiem dopełnia się to ubezpieczenie pieniędzy? Ten porucznik gwardyi pieszej tak był grzeczny, że mnie objaśnił, iż przy złożeniu jakiejbądź sumy w depozyt u bankiera, wiara tylko publiczna jest rękojmią bezpieczeństwa. Tam stawiający się po to wyciżca swoje pieniądze przed bankierem, potem wkłada je napowrót do woreczka, pieczęć swoją na obwiązaniu dodaje i wręcza ten swój kapitał bankierowi, a bierze od niego kwit na złożony depozyt. Bankier zapisuje w swej księdze datę, ilość pieniędzy i nazwisko depozytora, który na każde zapotrzebowanie części swego kapitału bierze je u bankiera ze swego woreczka, a bankier w pierwszym kwiecie swoim i w księdze notuje pod właściwą datą część wziętych pieniędzy.

— Jakiż procent płaci się za to bankierowi — zapytałem.

— Strona stronie żadnego od depozytu nie pla-

i procentu. Bankier zaś ma tę korzyść, że mniej nu ufającym otwiera swoją żelazną skrzynię pełną powierzonych mu pieniędzy i pokazuje księgę, gdzie są podpisy tych, którzy mu sumy swoje powierzyli.

Tak nauczony, poznałem się z bankierem w tymże hotelu na dole i złożyłem u niego mój zasób pieniężny. Następnie, młodzież wchodząca do polskiej służby wojskowej, znajomi z naszych okolic i szukający znajomości, udawali się do mnie z prośbą, abym ich pieniądze, zwykle w dukatach, pod moim imieniem składał u tegoż bankiera. Trudno się było wymówić od tej przystugi, zrobiwszy ją raz dla jednego. Wydawałem im moje kwity, a bankier je przyjmował pod moim imieniem. Gdy zebrało się było około ośmiuset dukatów takiego odemnie depozytu, raz o godzinie porannej rozeszła się wieść, że bankier w hotelu Hamburskim został okradziony. Mocno niespokojny o swój i cudzy depozyt, przybiegam do hotelu i dowiaduję się, że w nocy złodzieje zamierzali rozebrać murowaną ścianę, pod którą stoi żelazna skrzynia bankiera, że znaczną część cegieł już wylamali, ale szczęściem czujny pies ogrodowy silnym natarciem na nich obudził stróża. Złodzieje zemknęli i najmniejszej nie było szkody. Gdy komisya nasza miała się ukończyć, dałem wiedzieć owej ufającej mnie młodzieży, że mam wyjechać z Warszawy, a każdy z nich odebrał odemnie swój depozyt, pod imieniem mojem u bankiera złożony.

Po zamknięciu komisyi mieszkałem jeszcze w zamku z parę tygodni, szukając do najęcia kwatery na czas krótki przed wyjazdem z Warszawy. Bezczynność męczyła mnie. Nawiedzała mnie młodzież znajoma i koledzy moi. Raz postanowiliśmy pod przewodnictwem staruszka ze służby dworu zwiedzić wszystkie świetniejsze pałacu pokoje. Pokazywał nam starzec łóżko, na którym w roku 1806 spał Napoleon I, a po nim cesarz Aleksander I. Oglądaliśmy salę marmurową, tak nazwaną dla tego, że

ściany jej krajowym z pod Krakowa marmurem są wyłożone. Odznacza się ona portretami wszystkich królów polskich. Wpatrując się w twarze Kazimierza Wielkiego, Jagiellonów, Batorego i Sobieskiego, stawały przed nami świetne lata przeszłości, lata sławy naszej. Byliśmy następnie w sali tronowej, gdzie Stanisław August dawał posłuchania. Ozdobą jej są piękne malowidła pędzla Baciarelli'ego, rozwieszane po ścianach. Za zbliżeniem się do tronu, zastanowiły nas ciemne plamy na amarancie akşamitu z utkwionemi orłami polskimi.

W tej sali jest statua, wyobrażająca czas w postaci starca ze zwykłą kosą. Trzyma on glob ziemski, na którym jest pas z dwunastu godzinami zegaru, krążący siłą sprężyny. Kosa nieruchoma końcem swego żelazca wskazuje godziny na ruchomym pasie.

— Czemuż ten zegar nie idzie? — zapytałem starca.

— Coś w nim—rzecze—popsuło się. Pan Gogenmus długo nad nim pracował, ale darmo!

Kiedyś znów w towarzystwie Antoniego Borzewskiego jeździłem do Łazienek królewskich. Zastaliśmy zamknięte pokoje, a był tylko dozorca kaplicy, który nas do niej wprowadził. W ołtarzu widziałem piękny obraz N. Panny, ułożony z mozaiki, jakby malowidło najbogiejszego artysty. U spodu kraty, przed ołtarzem, poduszka pasowym okryta saflanem, środkowem wytłoczeniem i starciem safianu świadczyła o ugiętych tam często kolanach.

Komisya handlu i żeglugi przez kongres monarchów europejskich w Wiedniu 1815 roku, ku dobru wszystkich niegdyś prowincyj przed stycznikiem 1772 roku całą Rzeczpospolitę polską składających, tak pompatycznie postanowiona, już raportami do Petersburga, Wiednia i Berlina doniosła z Warszawy o ukończeniu powierzonego jej dzieła,

Niektórzy z naszych panów komisarzy już się wyjechali. Co do nas, młodzieży, Bruno hr. Kiciński, z ciekawości poznania stolicy państwa rosyjskiego, chciał z kimś jechać do Petersburga; Antoni Borzewski wybiera się do rodziców, mieszkańców Księstwa Poznańskiego, a wiedząc, że lada dzień i ja wyniosę się z zamku, aby opuścić Warszawę, przyszedł raz do mnie nad wieczorem, jakby przewidując, że już nigdy ujrzeć się nie mamy. Został mnie z książką w rękę nawpół leżącego na łóżku. Usiadł przy mnie i wśród milej gawędki, objąwszy mnie za szyję, zaczął całować i rzecze:

— Wspomnij kiedy o mojej szczerzej dla ciebie przyjaźni, bo skoro się rozjedziemy, to cię już nigdy nie ujrzę!...

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi mój brat miłoteczny, kochany Kazimierz Budzyński, z towarzyszem podróży, Ignacym Izbickim, i w tych nas uściskach zastali. Skoro Kazimierz przemówił:

— Czy ja się nie mylę? Czy tu mieszka...

Ja zrywam się z radością powitać go, a tymczasem Borzewski tak mi się wymknął, że ostatecznie pożegnać go nie mogłem. Nazajutrz już go nie zastałem: wyjechał był rano z Warszawy w Poznańskie. Zgadł, że po raz ostatni widziałem go wówczas.

Po zjawieniu się u mnie kochanego Kazimierza Budzyńskiego nazajutrz wyjechałem z zamku królewskiego do najętej przez niego kamienicy przy ulicy Długiej, tam, gdzie pod strażą mieszkała owa występna żona, nim skazał ją cesarz na różgi. Te przenosiny moje były ostatnich dni kwietnia 1817 r. W dniu 1-ym maja mój pokojowiec, Mikołaj Kozłowski, zażądał uwolnienia od służby i swej pensyi, którą miesięcznie z dołu zwykle mu płaciłem, to jest złotych 54, z czego miał wikt i przyzwoite ubranie.

Wynosiło to rocznie rubli 97 kop. 20. Pensya dla pokojowca na wsi wówczas niesłychana, ale w stolicy, ze względu na droższe utrzymanie, była konieczną. Za same obiady mój Mikołaj płacił miesięcznie złotych 36, zostawało mu przeto na bieliznę, na praczkę, na szewca i na całe ubranie złp. 18 na miesiąc.

Pocziwy Kazimierz, który w roku 1810 wprowadził mnie do domu podkomorzyny Zaleskiej, teraz ubolewał nademną, żem daremnie przez lat kilka wdychał do jej wnuki, która przecież zdawała się więcej mi sprzyjać niż innym, a tembardziej Turkułowi, którym pogardzała. Raz litując się nademną, powiedział:

— Przebacz! ale ty przypominasz mi jakiegoś autora bajeczek o wróblu i słowiku.

— Trembecki ją napisał — rzekłem — a chociaż ja nie słowik, słusznie tę bajkę zastosowałeś do mnie.

Na żądanie Izbickiego powiedziałem jej treść, że słowik śpiewał przed dzierlatką o swojej stałej miłości, a jurny wróbel upewniał tylko, że będzie ją ścisnął. Poeta kończy bajkę temi czterema wierszami:

„I zaraz spór rozsądzony:
Wróblowi kazano zostać,
Słowik z głosem odpędzony.
Otóż kobiet naszych postać!“

A potem ozwałem się do Kazimierza:

— Ja skoro dowiedziałem się, że już Turkuł otrzymał przyrzeczenie, sam dostrzegłem podobieństwo w położeniu słowika z mojem. Ale w miejscu powyższych czterech wierszów Trembeckiego napisałem rzetelny obraz taki:

O! bez ojca i bez matki,
Biada sieroctwu dzierlatki!

Losu ptaszyny morderca
 Wuj, nie badał uczuć serca;
 Chytrą wróbla ujęty,
 Oddał mu ją w związek święty.
 A słowik głośny żałobą,
 Płacze nad nią i nad sobą.

Ale nie mówmy już o tem. Dostyc przecier-tem. Niech moja dzierlatka będzie szczęśliwą, le być może z *nieznośnym* dla niej.

Kazimierz czasem mnie ubawił uwagami swemi i Warszawą. Zawołany wielbiciel płci pięknej, ile y dojrzał ujmujące jej powaby, wznosił oczy do ba, jakby składał cześć Bogu za takie dzieło rąk o. Przy krótkim wzroku na to jedynie u zawie-nej tasiemki nosił lornetkę. Niekiedy rano, po her-rie, wzywał mnie na przechadzkę. Raz około dzie-tej wyszliśmy na ulicę i trotuarem kroczy my bez u. O tej zwykle porze subretki spieszą z pudeł- ni kartonowemi pod pachą z magazynów modnia-; wysyłane do rozmaitych domów, gdzie żądano- tążek, ubiorków i garniowań ostatniej mody. Ka- nierz przy każdym zejściu się z takimi panienka- , porządnie i czyściutko ubranemi, chwycił swoją netkę i wznosił oczy do nieba. Po kilku takich :egładach stanął; zwraca się do mnie i wyraźnie :iwniony pyta: — Czy przy rogatkach jest osobna :aż na to, aby brzydkiej nie wpuszczać do War- :iwy?

Beżzenny jeszcze, a dość majątny, lubił rozpra- :ać o potrzebie wielkiej ostrożności w wyborze :iżonki.

— Naprzód, każda ładna, jest dla mnie anio- :n. Ale któż zgadnie? Może w sercu niejednej cze- :na mnie szatan, aby życie w piekło mi zamie- :i. Powtóre: każda z nich, skoro piękna, nie czeka :rpliwie na jednego, jaki jej od Boga będzie przezna- :ony, lecz szuka chluby przed światem i dba naj- :u-

silniej o to, aby mnóstwo mieć adoratorów, mianowicie znanych z własnego funduszu z dodatkiem nadziei po bezdzietnym stryju. Czy sądzisz, że brat mój, tak oszpecony ospą i ułomny, byłby się ożenił z piękną i starannie wychowaną Teklusią, gdyby nie mówił za nim własny jego majątek i ta u nich nadzieja, że ja w kawalerstwie umrę? O! tak, tak! Ty z tego względu jesteś daleko szczęśliwszym niż ja! Trafisz kiedyś na swoją, i będziesz pewnym, żeś ją ujął osobistemi tylko przymiotami; a mnie ciągle ta myśl dreczyć będzie, jeśli się ożenię z uboższą, że mojej żony jedynym celem były moje wioskil

— O cóż tu idzie?—rzekłem mu na to;— ja najchętniej dla twojego szczęścia odstępuję ci moje położenie, a ty oddaj mi ten swój kłopot z majątkiem.

— O! to znów co innego!—przerywa.—Ty przez lat kilka słowik przy dzierlatce, wyuczyłeś się sposobów ujęcia kobiety, a ja, lat sześć starszy do ciebie, musiałbym ten kurs nauki zaczynać i napróżno, niewyrównałbym tobie, bo w całym życiu i dwóch lada jakich nie złożyłem rymów, a twoją piosneczkę do J. B. śpiewają damy przy fortepianie. Co do tej piosneczki, dodam ci to jeszcze, iż kobiety tak są pełne miłości własnej, iż niejedna odda ci serce, byleś chciał tego, dla tej jedynie cniuby, że ty, coś tak szalenie przez lat kilka kochał twoją dzierlatkę, raczysz zalecać się do niej. Jakże ja mogę przyjąć twoje położenie finansowe wzamian za wioski, jedyną moją zaletę? Niech więc będzie jak Bóg rozporządził; a w końcu, ty się ożenisz z bogatą, jaka ci przyłgnie do serca, a ja zostanę bezzennym.

Przybył on do Warszawy niby po radę tutejszych medyków, ale istotnie, aby w świat puścić cokolwiek z rocznych dochodów za zwykle po miastach przyjemności; jego bowiem cierpienia małej były wagi i wezwany doktor nie skazywał go na ścisłą dietę. Zwykle Izbickiego i mnie ciągnął na wyszukane obiady do najlepszych restauracyj, a niekiedy

przez ciekawość liczniejszego towarzystwa do rozmaitych naprzemian traktierni. Tam Izbicki, młody jowialista, zawsze wesoły i zręczny w improwizacjach, zajmował obcych nam słuchaczy dykteryjkami. Raz w traktierni mówiono o mękach koni pocztowych. On odezwał się: — „Panowie nie możecie mieć wyobrażenia o pocztach rosyjskich. Widziałem na własne oczy kuryera w pędzie. Koło mu tylne zleciało; on nie zważa na to; zlatuje drugie, trzecie i czwarte, on zawsze pędzi i pędzi aż do drugiej stacyi; tak u nas wszystko po ukazu“. Mazury osłupieli, słuchając tak śmiałej baśni. Ale jeden z obecnych, oficer polski, powiedział mi: — „Zdarzyło się i mnie widzieć coś podobnego. Byłem zaproszony na wieczór, gdzie pewien wirtuoz miał grać na skrzypcach z towarzyszeniem fortepianu. Prawda, że grał precudnie; ale niedość na tem: oto śród jednego pasału wpada w taki zachwyty, że gdy mu struny pękały jedna po drugiej, tak, że ani jedna już nie pozostała, on zawsze grał i grał, a myśmy mu brawo sypali“. Izbicki na to: — I panu brawo się należy za trafną odpowiedź na cuda poczty rosyjskiej.

Żadnego dramatu, tragedyi, komedyi lub opery, żadnego koncertu nie opuścił Kązimierz i zawsze zadowolony wracał. Po jednym z koncertów skrzypcowych, zrobił uwagę.

— „Czemu kompozytorowie nie znają, albo nie chcą brać na temat niektórych ukraińskich pieśni, które nam tak miło mówią do duszy? — Naprzód, oni, — rzekłem — nie dla nas tylko tworzą dzieła swoje; powtóre, może słuszniej za swoją narodowością upomniałby się Szwajcar, bo on nie jak Niemiec, któremu gdzie dobrze, tam jest ojczyzna, lecz będąc za granicą w najkorzystniejszym nawet stanowisku, skoro posłyszycie nucenie krajowego śpiewu, wnet wszystko rzuca, a rwie się do swoich. Wszakże i ja przyznaję, że mile są pieśni naszego z Ukrainy ludu. W roku zeszłym 1816 był tu sławny

wiolonczelista Bromberg, który uczynił zadość twojej myśli. Po koncercie grał nam cudne waryacje z tematu jakby podsłuchanego z ust jakiejś Tatiany naszych okolic, która wiąże pańskie snopy na polu. Ten biegły artysta tak rzewne wydobywał tony ze swej wiolonczeli, że nas kilku z Wołynia wprawił w zachwycenie. Gdyśmy raz wracali z teatru, gdzie przedstawiano operę Niemcewicza pod tytułem *Jadwiga*, Kazimierz rad, że poeta wziął za przedmiot czyn znakomity młodziutkiej królowej w jej poświęceniu najdroższych uczuć ku Niemcowi, a to przez wzgląd na dobro kraju i na rozszerzenie religii, z czego powstało wiekuiste połączenie Polski z Litwą i naszemi prowincjami, mówił mi: — „Dzieje naszego narodu, nie sięgając jak w tej operze, czterech upłynionych wieków, mogłyby dostarczyć mnóstwa ważnych wypadków do dramatu, a mianowicie przed samym upadkiem kraju. Gdym ukończył nauki we Lwowie i gdy ojciec posłał mnie do palestry żytomierskiej, aby ze słuchania szermierstw adwokackich obeznac się z polskimi prawami, których używanie rząd rosyjski zostawił nam dotąd, był wówczas, jak ci niegdyś wspominałem, gubernialnym z zastępstwa marszałkiem Kajetan Miączyński. Nie otrzymał on tego zastępstwa na urząd przez wotowanie—bo pewnie byłby zleciał; bez wotowania dodano go na kandydata obranemu na marszałka dzisiejszemu senatorowi, Józefowi Ilińskiemu, który, gdy po tych najpierwszych wyborach w interesie gubernii wyjechał do Petersburga i wnet, jako mianowany przez Katarzynę II kamerjunkerem, musiał tam zamieszkać, Miączyński został tu naczelnikiem szlachty. Ja, młodzieniec wówczas, bywałem z towarzyszymi na wieczorach u niego.

Gdyśmy raz wracali z przeglądu pięknej połowy świata w Saskim ogrodzie, spotkało nas kilku żebraków jeden po drugim z wyciągniętą ręką. Kazimierz każdemu z nich udzieliwszy wsparcie, odezwał się do mnie:

— Zastanawia mnie to, że tutejsza publiczność, której część górną widzieliśmy w ogrodzie tak strojną, a więc w dostatku, nie obmyśli jakiego przytulku z funduszem na utrzymanie tych biedaków. Mówiłeś mi, że za zwykły bilet do teatru dodaje się do czterech złotych po groszy pięć na dobroczynność. Pokazuje się, że ta ofiara nie jest dostateczną. Odważyłbym się podać środek dla łatwego zaradzenia tej włóczędze żebraków. Oto niechby władza tutejsza postanowiła, ażeby każdy wjeżdżający do miasta opłacał przy rogatece składkę dla biednych w ilości zastosowanej do stanu, o jakim poświadczają będzie jego powóz. Z takiej klasyfikacji stanów, poczynawszy od lubianego wozu, któryby grosz tylko zapłacił, aż do karety, mogącej dać dziesięć razy tyle, codziennie zbierana ofiara przyniosłaby w ciągu roku ogromny fundusz na zakład dobroczynny dla biednych; wypadałoby tylko dać im jakiegobądź najłżejsze a konieczne zajęcie, ażeby zapobiedz próżniactwu, w któremby życie im obmierzło.

— Nie sądz, ażeby tu o biednych nie dbano. Są publiczne szpitale, dobroczynnością mieszkańców hojnie wspierane. Podobno w roku przeszłym na wiosnę doniosłem ci o tutejszym zwyczaju pod koniec wielkiego postu. Damy najwyższej sfery odwiedzają pałace i skromne dworki, zbierając ofiary dla biednych.

Nie mówiłem ci jeszcze o sławnym szpitalu tutejszym dla niemowląt. Gabryel Baudouin, misjonarz, rodem Francuz, przed panowaniem Stanisława-Augusta tu zamieszkały, powziął myśl natchnioną od Boga, ażeby zbierać składkę na dom dla sierot, mianowicie dla podrzutków, opuszczonych przez występne matki.

Ten z miłości bliźniego i z pokory naśladowca Chrystusa, z nieustającym trudem poświęcał się na żebraka dla niewinnie pogardzonych przez ludzi.

Mówią, że raz on wszedłszy do domu gry publicznej, zbliżył się do stolika i przemówił do gracza

przed którym najwięcej złota leżało, nie wiedząc, że ten przegrywać zaczyna. Gdy żadnej nie odebrał odpowiedzi, powtarza po raz drugi i trzeci przemówienie. W tej chwili gracz rozjątrzony nową przegraną, nie pomnąc na godność kapiańską i na sędziwy wiek jego, ofuknął i uderzył w policzek. Boudouin na to z łagodnością, godną mistrza swego Zbawiciela, rzeczenie zawołał:

— To dla mnie, a cóż dla sierot?

Gracze struchleli. Winowajca na kolanach ze łzami błaga o przebaczenie i o błogosławieństwo, a całą kupę złota swego zgarnął do puszeki sieroczej. Za jego przykładem wszyscy inni znakomicie się przyczynili. Wypadek ten stał się głośnym nie tylko w stolicy, ale i po całym kraju, a ściągnął tyle ofiar publicznych, że w roku 1756 stanął ogromny szpital dla podrzutków, sierot, kalectwa i rozmaitego rodzaju ubogich pod nazwą „Dzieciątka Jezus.“ Budowa tego gmachu kosztowała trzydzieści tysięcy dukatów.

Szkoda, żeś nie przybył tu przed świętami Zmarłychwstania Pańskiego; zwykle w wielką Sobotę szpital ten publiczność nawiedza. W tym dniu i ja roku bieżącego w towarzystwie znajomych poznałem zblizka ten zakład. Naprzód, u drzwi wchodowych, zastaliśmy niby przygotowaną cześć dla spodziewanych gości: dwóch malców na straży o wesołych twarzach, porządnie, jakby po huzarsku, ubranych. Na dole murów tego szpitala jest jeden pokój dla pisarza ciągle tam, mianowicie po nocach czuwającego. W ścianie tego pokoju znajduje się tajemny otwór, wychodzący na ulicę, z drzwiami jak cyboryum po kościołach, które obracają się na osi środkowej, a brzegami szczelnie schodzą się ze ścianą; zwracają je na noc ku ulicy wyżłobieniem miękko wystanem dla umieszczenia niemowlęcia. Ktokolwiekłoży tam dziecko, wnet zawróci owe drzwi do pokoju pisarza, a ten, zapisawszy w księdze date i dzień podrzutka,

odnosi go na górę, gdzie siostry miłosierdzia przyjmują niemowlę pod swoją opiekę.

Weszliśmy na piętro, gdzie w pierwszej ogromnej sali stało mnóstwo podwójnych kołysek, a przy nich mamki karmiące owe podrzucone niemowlęta. W dalszej sali widzieliśmy malców i dziewczęta schludnie odziane, siedzące w ławkach przy podanem dla nich śniadaniu. Uczą ich tam zasad religii rzymsko - katolickiej, czytania, pisania i arytmetyki, potem w latach odpowiednich możności zapracowania na życie chłopców oddają majstrom rozmaitych rzemiosł, a dziewczęta, już przysposobione do igły, polecają zakładom modniarek i szwaczek, lub też domom pańskim do usług po garderobach. O! Baudouin wielką położył zasługę przed Bogiem i ludzkością!

Raz idąc ulicą, spotkałem dwóch junkrów pierwszej gwardyi rosyjskiej, z których jeden, dojrawszy mnie, stanął przy przejściu jak wryty. Zrazu myślałem, że on mylnie wziął mnie za oficera; ale cywilny mój ubiór nie mógł go w ten błąd wprowadzić. Dostrzegłszy moje zdziwienie, uśmiechnął się i rzecze:

— Pan nie poznaje swego Kajetana. Oto świeżo z kolegą moim, generałowiczem Gawrońskim, btrzymaliśmy te błyszczące na kołnierzach galonki; a mam w Bogu nadzieję, że dojdę i do rangi oficerskiej. Wszystko to winienem łasce pana, żeś wyjednał dla mnie dokument o legitymacyi, za co wdzięczność do śmierci dochowam.

— Winszuję ci tej nadziei i niech ci Bóg dopomaga.

W rok potem, lub cokolwiek więcej, będąc w Romanowie u senatora, zastałem przybyłego z Warszawy hr. Janusza, który jeszcze służył w gwardyi ułanów rosyjskich. Ten mówił mi, że mój niegdyś pokojowiec, Kajetan, dobrze mu znany, bo nieraz biegał do niego z mojami bilecikami, był u niego

z kolegą swoim z wizytą, zostawszy oficerem gwardyi pieszej. Tak Fortuna kołem się toczy!

Doktór medycyny Kłosowicz, o którym wyżej wspomniałem, zaprosił mnie na obiad do siebie. Sprowadził on z za granicy Niemkę, biegłą w kucharstwie, która sztukę swoją wybornie zastosować umiała do smaku polskiego. Po wyśmienitym obiedzie przedstawił swój do mnie interes tej treści:

— Wiem, że pan wkrótce masz wracać na Wołyń, że powozu swego nie masz, a przeto wypadnie bryką żydowską najniewygodniej podróż mil kilkadziesiąt odbywać. Ja mam kocz, w którym pomieścić się mogą liczne pakunki. Kupiłem go w Wiedniu na żądanie pana Morzkowskiego, który mieszka w gubernii Kijowskiej, we wsi Koilówce. Może ta wieś nie barzo daleko od rodziców pana, do których masz wracać. Możemy przeto wzajemną sobie dogodność wypełnić: pan, najawszy warszawskiego furmana z czterema jego końmi, wygodnie w tym kocz do celu swego dojedziesz, a ja będę spokojny o dojsie tego powozu do Koilówki. Czy zgoda?

Najchętniej przyjąłem tę propozycję. I skoro w dni kilka potem dałem mu znać, że już zamierzam wyjechać z Warszawy, doktór Kłosowicz nadesłał mi ów nowy, bardzo porządny kocz i list do pana Morzkowskiego.

K O N I E C.

1900

1901

1902

1903

1904

1905

1906

1907

1908

1909

1910

1911

1912

1913

1914

1915

1916

1917

1918

1919

1920

1921

1922

1923

1924

1925

1926

1927

1928

1929

1930

1931

1932

1933

1934

1935

1936

1937

1938

1939

1940

1941

1942

1943

1944

1945

1946

1947

1948

1949

1950

1951

1952

1953

1954

1955

1956

1957

1958

1959

1960

1961

1962

1963

1964

1965

1966

1967

1968

1969

1970

1971

1972

1973

1974

1975

1976

1977

1978

1979

1980

1981

1982

1983

1984

1985

1986

1987

1988

1989

1990

1991

1992

1993

1994

1995

1996

1997

1998

1999

2000

2001

2002

2003

2004

2005

2006

2007

2008

2009

2010

2011

2012

2013

2014

2015

2016

2017

2018

2019

2020

2021

2022

2023

2024

2025

2026

2027

2028

2029

2030

2031

2032

2033

2034

2035

2036

2037

2038

2039

2040

2041

2042

2043

2044

2045

2046

2047

2048

2049

2050

2051

2052

2053

2054

2055

2056

2057

2058

2059

2060

2061

2062

2063

2064

2065

2066

2067

2068

2069

2070

2071

2072

2073

2074

2075

2076

2077

2078

2079

2080

2081

2082

2083

2084

2085

2086

2087

2088

2089

2090

2091

2092

2093

2094

2095

2096

2097

2098

2099

2100

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBORÓW.

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERAT

W Warszawie

Z przesyłką pocztową

Rocznę. (52 tomy) rs. 10	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów) „ 3

odnoszenie do domu 15 kop. kwart

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

ma

go

m.

Dopłata za oprawę:

CZT

znie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —

O C

znie. (za 26 tomów) 3 „ —

alnie (za 13 tomów) 1 „ 50

w dr

nie adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

rzar

stał

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,

Teodor Jeske-Choiński,

Dr. Julian Ochorowicz,

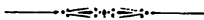
Julian Adolf Świecicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. — Telefonu 564.
Biuro: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.



Stanford University Libraries



3 6105 015 031 383

P
71

K 57
v. 2

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

--	--	--

